



SZCZEPAN TWARDOCH

# ZIMNE WYBRZEŻA



SPITSBERGEN, SZPIEDZY I NIEDŹWIEDZIE POLARNE

Wydawnictwo Dolnośląskie

**Szczepan Twardoch**

**Zimne wybrzeża**

*Wydawnictwo Dolnośląskie*

Przyjaciołom, którzy szli ze mną  
po zimnych wybrzeżach

## Spis treści:

<a href="#">ROZDZIAŁ 1.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 2.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 3.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 4.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 5.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 6.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 7.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 8.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 9.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 10.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 11.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 12.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 13.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 14.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 15.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 16.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 17.....</a>	
<a href="#">ROZDZIAŁ 18.....</a>	

## ROZDZIAŁ 19.....

Tundra nabrzeżnej równiny ściela się miękkim dywanem i zachęca do bosego spaceru, przywodząc na myśl miąższość grubych poduch ciemnozielonego mchu w litewskich puszczech.

Jednak to złudne wrażenie, nie tylko dlatego, że jest zbyt chłodno, by spacerować na bosaka. Podczas krótkiego arktycznego lata odmarza tylko wierzchnia warstwa ziemi i woda, spływająca obficie z otaczających równinę lodowców, nie schodzi w głąb, lecz zatrzymywana przez wieczną zmarzlinę nasycza ubogą glebę, zamieniając tundrę w grzęzawisko. Przykryta niskimi trawami, karłowatą wierzbą, porostami i mchem ugina się pod butem spacerowicza, a powstałe zagłębienie natychmiast podcieka mętłą wodą, jakby ktoś próbował iść po zgniłych pluszach stojącej w bajorze kanapy.

Jedynie gumowe kalosze nie przemokną w takich warunkach, a jeśli grubo wyścielone są filcem, noszącemu je człowiekowi nie zagraża również zimno. Takie właśnie obuwie nosił człowiek, który usiłował dotrzeć do ostrych stoków Lidfjellet, ale tym razem nie na wiele się przydało, gdyż człowiek ten nie szedł, lecz czołgał się. Całe jego ubranie, watowany anorak i brezentowe spodnie, przesiąkło już wodą na wskroś.

Tundra nie ugięła się za to prawie wcale pod łapami niedźwiedzia polarnego, bo łapy króla Arktyki są szerokie jak rakiety śnieżne. Niedźwiedź, który podążał za czołgającym się człowiekiem, nie wyglądał zresztą królewsko: był to wychudzony, niedawno odtrącony przez matkę trzylatek. Z nadejściem wiosny nie zdążył za cofającą się na północ granicą lodu pakowego, obfitującą w foki. Nie ważył więcej niż sto kilogramów, od pięciu miesięcy żywił się ptasimi jajami, zjadł też trochę mięsa z wyrzuconego przez ocean zgniłego cielęcia białuchy i dojadł obgryziony przez lisy szkielet renifera, potężnymi szczękami miażdżąc kości i wylizując szpik. Nie udało mu się niczego upolować, fok było bardzo mało, a dobrze odżywione letnią trawą reny bez trudu mu uciekały. Był bardzo zainteresowany pełzającym po tundrze stworzeniem, wydało mu się podobne do niewielkiej foki. Tylko zapach był dziwny, nieznan.

Człowiek widział podążającego za nim drapieżnika, czołgał się najszybciej, jak mógł, trzymając się kurczowo myśli, że stoki Lidfjellet będą dlań schronieniem.

Niedźwiedź w końcu pokonał obawę, ruszył wyciągniętym kłusem i bez trudu dognał swoją potencjalną ofiarę.

Człowiek usłyszał za sobą miękkie uderzenia łap o ziemię i zrozumiał, że nie ma już żadnych szans na ucieczkę. Odwrócił się na plecy i z pochwy przy pasie wyciągnął mały nóż fiński, wątpliwą obronę przed kłami i pazurami niedźwiedzia. Ten zatrzymał się skonfundowany tym, co zobaczył - to nie była foka i bez wątplenia nigdy wcześniej nie widział takiego stworzenia. Stworzenie zaczęło na

dodatek przeraźliwie wrzeszczeć, niczym mewa, której wydrzyk rabuje gniazdo.

Człowiek wiedział, że niedźwiedzia polarnego dość łatwo przestraszyć, krzyczał więc z całych sił, wymachiwał nożem i zdrową nogą kopnął drapieżnika w pysk, kiedy ten znalazł się w zasięgu jego buta.

Trzylatek przeląkł się tego uderzenia i natychmiast rzucił się do panicznej ucieczki. Jednak po kilkunastu sekundach galopu osłabł, głód dał o sobie znać - i niedźwiedź zawrócił. Człowiek nie przestawał wrzeszczeć, próbował ciachnąć zwierzę po oczach, kiedy było już na tyle blisko, lecz potężny cios niedźwiedziej łapy złamał mu rękę i przetrącił obojczyk. Człowiek krzyknął jeszcze głośniejsze - ale niedźwiedź był już zdecydowany i zacisnął zęby na szyi ofiary, dławiąc jej krzyk i zaraz potem łamiąc kark.

Kiedy człowiek przestał się ruszać, niedźwiedź usiadł obok niczym warujący pies i przez moment odpoczywał po walce, sapiąc ciężko. Po chwili napoczął zdobycz. W przeciwieństwie do foczej skóry z tłuszczem, watowany anorak nie był zbyt smakowity, niedźwiedź więc najpierw obgryzł porośnięte krótkim włosiem policzki człowieka i dopiero wtedy przekonał się na pewno, że to dziwne stworzenie, chociaż kościste, nadaje się do jedzenia. Rozdarł warstwy tkaniny, w którą spowity był korpus, zjadł skórę z brzucha i piersi, odrobinę tłuszczu i mięsa, wszystkie wnętrzności, obrócił trupa, wyszarpał mięso z ud i pośladków. Łydek nie ruszył, guma z filcem sprawiły, że uznał je za niejadalne.



Po godzinie odszedł, ledwie zaspokoiwszy głód, pozostawiając za sobą rozwleczone szczątki ku uciechu okolicznych lisów, które już zbiegły się na zapach krwi i z bezpiecznej odległości przyglądały się uczującemu królowi Arktyki. Biały władca północy znalazł łachę zleżającego śniegu, wytarzał się starannie, aby oczyścić futro na pysku i przednich łapach z krwi, po czym nagle, pchany instynktem niepojętym, pognął galopem ku brzegowi morza, rzucił się w wodę i popłynął przed siebie, w ocean.

## ROZDZIAŁ 1

Łódź latająca catalina nie jest pięknym samolotem. Gdzież jej do opływowych linii nowoczesnych odrzutowców, jak pasażerski De Havilland Comet czy sowiecki myśliwiec MIG-17. MIG czasem przechwytywał catalinę nad Morzem Barentsa i groźnie towarzyszył jej przez parę minut. Z kokpitu łąpało złowieszczo cyklopie oko lustrzanego wizjera hełmu, pod otwartym pyskiem samolotu sterczały trzy działka jedną salwą zdolne rozszarpać wrażliwy kadłub starej cataliny.

Zaprojektowano ją w innej epoce, w latach trzydziestych, kadłub ma gruby i spłaszczony, aby utrzymał się na powierzchni przy wodowaniu, silniki umieszczone wysoko, w uniesionym ponad kadłub skrzydle. Całość wygląda niezdarnie, niczym ociężałe, otyłe ptaszysko. Na dodatek za skrzydłem, po obu stronach kadłuba, wystają szklane kopuły jak guzy, na nosie zaś mieści się wieżyczka jak narośl. Podczas wojny siedział w niej zmarznięty strzelec i zaciskał dłonie na uchwytych kaemu, wypatrując niemieckich myśliwców.

Jednakże granatowa łódź latająca w barwach 333 Eskadry Królewskich Norweskich Sił Powietrznych, która właśnie dotykała ciężkim kadłubem zmarszczonych wód fiordu Advent, nie nosiła już uzbrojenia. Pilot samolotu, kaptein Hjalmar Rønne, w czasie wojny stacjonował w Szkocji wraz z resztą 333 Eskadry, wtedy w barwach RAF-u, latał na catalinach i wypatrywał w sinych falach Atlantyku niemieckich u-bootów.

Dziś 333 Eskadra zajmowała się transportem i misjami ratunkowymi, czasem nawet wyszukiwaniem ławic śledzi dla rybaków, co odrobinę frustrowało starych wojskowych pilotów. Jednostka stacjonowała w Sola niedaleko Stavanger, tysiąc trzysta osiemdziesiąt mil morskich na południe od fiordu Advent stanowiącego maleńką odnogę Isfjorden, który przecinał prawie na pół największą wyspę archipelagu Svalbard.

Norwegowie zwali wyspę po prostu Spitsbergenem, inne zaś narody, które nazwę Spitsbergen rezerwowały dla całego archipelagu, dla odróżnienia określały wyspę jako Spitsbergen Zachodni. Samo słowo „Svalbard” było zresztą jednym z tych toponimów, które mają wielkie znaczenie polityczne - jak chociażby „Dolny Tyrol” i „Górna Adyga” na określenie tego samego kraiku w Alpach odpowiednio z austriackiej i włoskiej perspektywy. Nazwa „Spitsbergen” nie brzmiała dość norwesko dla narodu pielęgnującego troskliwie swoją świeżej daty etniczną odrębność i tożsamość, jakaś więc uczona głowa znalazła w normańskich sagach słowo „Svalbard”. Desygnat tej nazwy nie jest znany - być może chodziło o Grenlandię, może o odkryty później przez Barentsa Spitsbergen, a może po prostu o prawdziwie zimny brzeg (bo to właśnie znaczy „Svalbard” po norwesku) - czyli o granicę lodu pakuwego. Żadnych dowodów na obecność wikingów na Spitsbergenie nie znaleziono, ale działo się to w czasach, w których brak dowodów na udowodnienie historycznych pretensji nikogo nie powstrzymywał.

U samego końca długiego na pięć kilometrów fiordu Advent, w

małej dolince odbijającej na południowy zachód od wlotu do wielkiej doliny Advent, między płaskowyżem Platåberget, a masywem Lars Hiertafjellet, u stóp dwóch niewielkich lodowców leżało Longyearbyen, górnicza osada licząca tysiąc trzystu dwóch mieszkańców. Liczba ta lada chwila miała wzrosnąć do tysiąc trzystu ośmiu, albowiem na pokładzie cataliny, oprócz pięcioosobowej załogi, trzech wielkich worków z pocztą i dziesięciu skrzynek ze świeżymi warzywami, znajdowało się sześciu pasażerów wyczerpanych siedemnastogodzinnym lotem z krótkim międzylądowaniem na lotnisku w Tromsø, do którego catalina była zdolna, bo łodziowy kadłub skrywał również koła.

Kiedy latająca łódź dotknęła wody, kapitan Rønne zmniejszył ciąg silników i catalina powoli dobiła do kei przy nabrzeżu Bykaia. Pięciu pasażerów było Norwegami. Trzech spośród nich było urzędnikami, wszyscy nosili charakterystyczne norweskie imiona i nazwiska - takie mógłby swoim bohaterom nadać pisarz, gdyby zależało mu, aby w powieści brzmiały norwesko przeciętnie. Wszyscy trzej należeli do specjalnej komisji rządu norweskiego, która miała za zadanie zbadać pewne finansowe aspekty działalności Store Norske Spitsbergen Kulkompani A/S, spółki będącej w całości własnością Królestwa Norwegii, a równocześnie właścicielem wszystkich norweskich kopalni na Svalbardzie. Store Norske administrowała przy tym całym właściwie norweskim stanem posiadania na Dalekiej Północy - praktycznie każdy mieszkaniec Longyearbyen był pracownikiem SNSK.

Kolejni dwaj pasażerowie byli małżeństwem: specjalista górniczy inżynier Jan Kjærstad wraz z żoną Lisą. Przyjechali osiedlić się na Dalekiej Północy, ponieważ Kjærstad podpisał kontrakt na trzy lata, finansowo znakomity, który - jak liczył - pozwoli mu kupić po powrocie nowiutkie volvo amazona, a może nawet jakiegoś mercedesa czy jaki tam samochód będzie szlagierem w roku 1960. Zamierzał również postarać się o kochankę, ponieważ Lisa, nordycko zasuszona niczym mumia wydobyta z wiecznej zmarzliny, dawno przestała wzbudzać w nim chociażby cień pożądania.

Szósty pasażer nie był Norwegiem. W jego dużym, zapinanym na pasek portfelu znajdowała się czerwona książeczka z wytłoczoną złotymi liniami tarczą herbową podtrzymywaną przez lwa i jednorożca. U łap heraldycznych bestii ścieliła się wstęga z francuskim napisem „Dieu et mon droit”. Napis w herbie był francuski, ale powyżej widniały już angielskie słowa: „United Kingdom of Great Britain and Northern Ireland”, poniżej zaś krótkie: „Passport”. Tylko Anglicy są narodem na tyle mocno przekonany o swojej wartości, aby w oficjalnym herbie niefrasobliwie pozostawić motto w obcym języku, który nie jest łaciną. Niemiecki oficer, otrzymujący w czasie pierwszej wojny światowej za zabicie iluś tam Francuzów order Pour le Mérite, bez wątpienia musiał czuć się nieswojo, bo dawno już zapomniano w Niemczech, że Fryderyk Wielki zabraniał mówić w swoim towarzystwie po niemiecku, twierdząc, iż język ten brzmi jak szczekanie psów. Nic dziwnego, że w czasie drugiej wojny światowej nadawano już tylko szczerze

antynapoleoński i arcyniemiecki Eiserne Kreuz.

Brytyjski paszport opiewał zaś niezbyt oryginalnie na nazwisko Johna Williama Smitha, urodzonego w roku 1929, a więc liczącego w chwili lądowania na wodach fiordu Advent lat dwadzieścia osiem i dwa miesiące.

Oprócz paszportu w portfelu spoczywały norweskie pieniądze, między banknotami zdjęcie łagodnie uśmiechniętej kobiety w okularach, jasnowłosej, po czterdziestce. Typ urody, która się dobrze i elegancko starzeje. Jeszcze mały notes bez okładek, plik zszytych kartek wsunięty w przegródkę, w notesiku wpisane ołówkiem numery telefonów obok imion: Linda, Margaret, Sophie... numery telefonów do restauracji, kas kinowych i teatralnych w Londynie i Zurychu. Obok krótki dobrze zaostrzony ołówek. Dwie aspiryny, dwie agrafki, zwitek nici, igła, dwa czarne guziki.

Portfel tkwił w zewnętrznej kieszeni wojskowej parki z ciepłą podpinką i futrzanym kapturem. Całość w kolorze oliwkowym, amerykańska. Pod kurtką, w kaburze pod pachą, spoczywał również amerykański pistolet, potężna czterdziestkapiątka z siedmioma grubymi jak palec nabojami w magazynku i ósmym w komorze, zabezpieczona i z odwiedzionym kurkiem. Pistoletu nie było widać, ale pomiędzy pasażerami - Norwegami, którzy na Svalbard jechali w szarych garniturach, jesionkach i kapeluszach o wąskim rondzie - człowiek w wojskowej kurtce i tak się wyróżniał jak lampart między antylopami.

Nie było w ogóle pewne, czy catalina będzie mogła wodować na

fiordzie, wszystko zależało od tego, jakie będą warunki - ile kry, jaka fala i jaki wiatr. Zwykle nie wodowała, zrzucano tylko worek z pocztą i ewentualnie warzywa i owoce w skrzynkach przyczepionych do spadochronów, lecz audyt, który miała przeprowadzić komisja, był sprawą tak pilną, że tym razem zdecydowano się na ten nieco ryzykowny sposób transportu zamiast zwykłego rejsu statkiem. Ale oczywiście przy trudnych warunkach wszyscy i tak wrócą do Tromsø, bo nikt nie będzie ryzykował wodowania na krze albo dużej fali. Pilot odrobinę niefrasobliwie oznajmił to swoim pasażerom dopiero w chwilę po starcie. Smith poszedł wtedy do kabiny i zapytał z głupia frant, czy nie mógłby w takim wypadku wyskoczyć ze spadochronem, ale kapitan Królewskich Norweskich Sił Powietrznych potraktował to jako dobry żart i poklepał nawet Brytyjczyka po ramieniu.

Skoro jednak wodowanie się udało, na nabrzeżu Bykaia szybko zebrał się nielichy tłumek pracowników portu i górników, ponieważ samolot, czy to na wodzie, czy na kawałku prowizorycznie utwardzonej tundry w Adventdalen, to zawsze wielkie wydarzenie. Załoga cataliny zajęła się oporzędzaniem samolotu, norwescy pasażerowie wysiedli nieco zawiedzeni, że żadne oficjalne czynniki nie pofatygowały się, aby ich powitać. Dopiero kiedy komendant portu w mundurze wybiegł ze swego biura i zaczął ścisnąć dłonie nowo przybyłym, urzędnicy, specjalista górniczy i jego zaszuszone żona poczuli się ukontentowani.

Na Johna Williama Smitha nikt nie zwracał szczególnej uwagi, bo chociaż w samolocie wyróżniał się na tle normańskich urzędników,

wyglądał jak górnik albo jeden z nielicznych naukowców - ci chętnie nosili tutaj praktyczne ubrania z amerykańskiego demobilu. Mężczyzna chwycił swój bagaż, na który składał się spory plecak oraz podłużny myśliwski pokrowiec, bez wątpienia skrywający sztucer - rzecz naturalna w rękach przybywającego na Spitsbergen, gdzie ze względu na duże szanse spotkania z *ursus maritimus* niezbyt rozsądnie jest przechadzać się bez broni poza osadą. Wyszedł z kołyszącego się na wodzie samolotu i stanął na betonowym nabrzeżu. Było chłodno, nie więcej niż pięć stopni wyżej zera, niebo przykrywał pancierz stalowych chmur i od morza szedł zdecydowany wiatr, wciskając się pod kurtkę. Kapitan portu zajęty był dostojnymi gośćmi i trajkotał coś po norwesku. Smith przed wyjazdem próbował się poduczyć tego języka, znajomość niemieckiego była w jakimś stopniu pomocna, ale facet gadał tak, że Smith nie zrozumiał praktycznie ani słowa. Sensu wypowiedzi bardziej się domyślił: komendant gratulował Norwegom odwagi, iż zdecydowali się na ryzykowną podróż powietrzną, zamiast przy płynąć statkiem.

Johnem Williamem Smithem nikt się nie interesował. Nikt nie sprawdzał paszportu ani innych dokumentów, skoro wiadomo było, że *catalina* przyleciała z Norwegii. Smith założył plecak na ramiona, starannie układając szelki, pokrowiec ze sztucerem wziął pod pachę i ruszył przed siebie. Zapewne brali go za meteorologa, glaciologa czy geologa, a przy tym Szweda, Norwega albo Polaka - Rusek bowiem popłynąłby do Barentsburga lub do portu w Colesbukta - który załapał się okazyjnie na samolot i przyleciał, by skorzystać z ostatnich



tygodni arktycznego lata.

Minął ogrodzenie portu, stanął na skraju szutrowej drogi. Jadący szosą jeep obsypał go węglowo-żwirowym pyłem. Smith rozejrzał się dookoła. Inaczej wyobrażał sobie Arktykę. W młodości czytał książki Londona i Curwooda i spodziewał się czegoś innego. W zasadzie nie wiedział czego, bo przecież nie puszcz Alaski i nie Eskimosów w igloo. Ale jednak - znajdował się na siedemdziesiątym ósmym z minutami stopniu szerokości geograficznej, do biegunowych dziewięćdziesięciu brakowało jakieś tysiąc dwieście kilometrów, a właśnie omal nie przejechał go samochód. I jeszcze węgiel. Jak okiem sięgnąć, ziemię pokrywał czarny pył przypominający mu miasto, w którym się wychował. Przed nim wyrastał niezbyt wysoki płaskowyż, na jego nierównych klifach gołym okiem dało się dostrzec pofałdowane czarne warstwy węgla. Z płaskowyżu schodziła do portu kolejka linowa rozpięta na koślawych drewnianych masztach. Po linach sunęły jeden za drugim maleńkie wózki, z których jak nabrzmiące kiście winogron zwisały wagoniki z węglem. Widać było co najmniej kilkanaście napowietrznych linii, a wszystkie zbiegały się do dziwnego budynku, złożonego z kilku odeskowanych odnóg i wznoszącego się na wysokich na dwadzieścia metrów palach jak gigantyczny pająk. Po lewej wznosił się wielki komin elektrociepłowni, wylewały się z niego kłęby szarego dymu, powoli, przygniatane ciśnieniem atmosferycznym jak flegma ze śliną sącząca się z ust idioty. Smith przypomniał sobie komin, który widział z okna swojego dzieciennego pokoju. Bardzo podobnie pluł dymem. Za

elektrociepłownią w głąb płaskowyżu wrzynała się niewielka dolinka, szeroka może na kilometr, a w niej, przytulone do morskiego brzegu, rozkwitały norweskie domki, między nimi protestancki zbór z wieżą jak kościelna, ich żywe kolory jak plamy jaskrawych farb na czarno-białej fotografii: ciężkie szare niebo, czarny pył węglowy i czarne surowe stoki gór. Śnieg gdyby spadł, nie zepsułby tego monochromatycznego wrażenia, sporo go zresztą leżało wyżej, w górach, białymi jęzorami zwieszając się w zacienionych żlebach.

Smith ruszył w stronę osady, ale nie uszedł nawet dziesięciu kroków, kiedy zatrzymało się obok niego pokryte czarnym kurzem stare volvo. W środku siedziało dwóch ludzi. Brodaty Norweg za kierownicą zaprosił go do środka, proponując podwiezienie. Smith zgodził się chętnie, bo plecak miał bardzo ciężki i nie bardzo wiedział, gdzie szukać gubernatora. Usiadł z tyłu, obok na siedzeniu stało blaszane wiadro, w którym ocierały się o siebie wielkie, podobne do pstrągów ryby.

Norweg zaczął gadać coś w swoim języku, lecz Smith przerwał mu, po angielsku, że nie rozumie - co nawet ucieszyło brodacza, który przerzucił się zaraz na angielski, przedstawił się jako Kjell Krag, przedstawił również swojego towarzysza, Haakona Sammlinga, i opowiedział o tym, że to oczywiście nie ich auto, tylko inżyniera, pożycza im, ponieważ tylko Kjell wie, gdzie łowić takie piękne røye - niestety nie wie, jak się ta ryba po angielsku nazywa. I zaraz rozgadał się o tym, jak to był w Szkocji w wojsku, potem służył właśnie tutaj, na Svalbardzie, ganiał niemieckich meteorologów, a potem sam

zwiewał przez „Tirpitzem”, który stał o właśnie tam, exactly, i walił do Longyearbyen ze wszystkich luf, a oni mieli tylko dwa małe działa, z których jedno stoi tutaj na pamiątkę. Zwolnił, aby przybysz z Wielkiej Brytanii mógł sobie dokładnie obejrzeć armatę w pancernej osłonie artylerii nabrzeżnej. Drugi pasażer, młodszy raczej postury brunet, milczał, uśmiechając się tylko.

Za działem stał opasły renifer i ocierał się grzbietem o wystającą krawędź pancerza. Renifer również stanowił dla Smitha pewne rozczarowanie - po pierwsze, stał sobie spokojnie w środku osady, nie bał się ani ludzi, ani samochodu, zajęty swędzeniem na kręgosłupie. Po drugie, był niemal karłowaty. Smith spodziewał się dumnych zwierząt wielkości jelenia, bo tak wyobrażał sobie karibu z książek Londona, tymczasem tłuste stworzenie miało pokraczne krótkie nóżki, poszarpaną sierść, na zadzie zwisającą w warkoczach sfilcowanych kołtunów, niezbyt sympatyczny pysk i przede wszystkim nie było większe od sporej sarny. Może grubsze, lecz nie większe. Brodaty Norweg zapytany zaprzeczył, jakoby ren był udomowiony - po prostu nie boją się ludzi, chociaż od czasu do czasu ktoś znudzony zastrzeli parę sztuk dla mięsa i rozrywki. Ale to raczej rzeź niż polowanie, skoro można do zwierza z pięciu kroków strzelać.

Wjechali między kolorowe domki usadowione na niskich palach, aby nie zapadały się w zmarzlinie. Ze stromego zbocza wyrastającego nad miastem wydobywał się dym, jakby cała góra płonęła w środku żywym ogniem. Smith zapytał o to swojego nowego znajomego - Norweg wyjaśnił, że to płonie pokład węgla, który Niemcy podpalili

podczas wojny i jakoś jeszcze nie zgasł. Somehow it's still burning.

Człowiek z brytyjskim paszportem pokiwał głową z fałszywym zrozumieniem. Norweg zatrzymał auto, Smith podziękował i wysiadł, zapytał jeszcze o biuro gubernatora, zwanego tu sysselmannem, co z grubsza tłumaczyło się na angielskie „szeryf”, jak ten z książek o Robin Hoodzie. Archaiczny średniowieczny tytuł, wykopany z książek i nadany gubernatorowi Svalbardu.

Kjell pokazał mu biuro palcem w sposób, który w ojczyźnie Smitha uchodziłby za grubiański.

- Tutaj jest Haugen, tu mieszkają inżynierowie i inne szychy, i tutaj jest kościół - powiedział, a następnie przesunął palec w lewo, wskazując na dolinę zamkniętą od północy jęzorem lodowca, i dodał ze swoim twardym akcentem: - Mieszkamy z Haakonem tam, w Nyben, w części dla robotników. Zapraszamy, proszę wpaść kiedyś do nas.

Uśmiechnął się i odjechał.

Smith zauważył śnieg, przykrywał szczyty gór i zalegał w płaskowyżach po drugiej stronie Adventfjorden. Panorama wybrzeża po drugiej stronie zatoki wydała mu się już bardziej polarna niż tutejszy węglowy pył, płonące zbocze płaskowyżu nad miasteczkiem, doki, wagoniki i ren przy armacie.

Zapukał i wszedł do biura. W środku siedziała sekretarka, z głębokim zgorzeniem patrząc na buty przybysza. Nie wytrzymał tego wzroku i sam przyjrzał się własnemu obuwiu starannie, nie zauważył jednak niczego nietypowego. Zwykłe wojskowe buty górskie. Z

niemieckiego demobilu. Sekretarka powiedziała coś po norwesku, lecz z delikatną przyganą, Smith zaś nie rozumiał ani słowa, więc sekretarka powtórzyła jeszcze raz, tym razem bardziej zdecydowanie. Smith dalej nie rozumiał ani słowa, za to rozumiał przesłanie, przypomniał sobie bowiem, że przed wejściem do biura stało kilka par butów. Miał je zdjąć, jakby wchodził do meczetu, nie do biura. Wzruszył ramionami, zwał plecak i sztucer tam, gdzie stał, wyszedł przed drzwi, zsuł buciory i wrócił, czując się niezbyt komfortowo w skarpetkach zupełnie nieświeżych.

Przyjrzał się dziewczynie i z pewnym smutkiem stwierdził, że jako sekretarka gubernatora jest zapewne zupełnie niedostępna, a szkoda, bo urodę miała posągową. Młoda i świetnie zbudowana, wysoka, co najmniej metr osiemdziesiąt, mocne kości, szerokie biodra, włosy tak blond, że prawie białe, spięte na karku w ciasny koczek, oczy cholernie niebieskie, a broda i nosek zgrabne, zupełnie nienordyckie, dzięki czemu nie wyglądała, w przeciwieństwie do wielu swoich rodaczek, jak powierzchownie zantropomorfizowana klacz. Pod burym sweterkiem, skromnie zapiętym aż pod szyję, piersi jednocześnie duże i wysokie.

Skarpetki udobruchały urzędniczkę, która zapytała o coś, nadal po norwesku, zapewne o coś w stylu: „Pan w jakiej sprawie?”. Smith odpowiedział po angielsku, że ma spotkanie z gubernatorem. Urzędniczka przeprosiła, również po angielsku, wstała i podeszła do drzwi. Biodra opinała spódniczka i Smith przez chwilę nie potrafił oderwać wzroku od smukłej talii i krągłych pośladków, aż westchnął z

podziwu. Piękność zaanonsowała go i Smith znalazł się w biurze sysselmana.

Za biurkiem siedział młody człowiek w eleganckim granatowym mundurze ze złotymi guzikami. Marynarski fason. Za nim wisiały dwie flagi: norweska i sowiecka. Sowiecka miała zapewne reprezentować radzieckie osady górnicze, Barentsburg, Pyramidien i Grumantbyen, wszystkie w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od norweskiej osady. Całe biuro przypominało wnętrze górskiej chaty w Alpach, tyle że było mniejsze.

Gubernator wstał, podał Smithowi dłoń, przedstawił się jako Egil Tønnessen, przywitał się uprzejmie, zapytał o podróż, wreszcie przeczytał dokładnie dokument, który Smith mu wręczył, chociaż był już wcześniej poinformowany o celu wizyty Brytyjczyka. Pieczołowicie odłożył dokument na blat, jakby trzymał w palcach akt własnej koronacji. Wygłosił wiązkę komunałów: że porównawcze studium socjologiczne społeczności górniczej w Longyearbyen i polskiej ekipy stacji badawczej w Hornsundzie uważa za nadzwyczaj ważne, że bardzo się cieszy, że to właśnie John Smith podjął się tej ciężkiej pracy... Ponieważ miał pewną orientację w naukach humanistycznych, tak naprawdę uważał, że pomysł na to studium porównawcze musiał być dziełem idioty i miał nadzieję, że tym idiotą nie jest jego gość, tylko jakiś jego oligofreniczny przełożony. Smith chętnie zgodziłby się z prawdziwą opinią gubernatora na temat zakresu jego rzekomych badań naukowych, gdyby tylko konwenanse nie zabraniały gospodarzowi tej opinii wygłosić.

Smith siedział więc na fotelu przed biurkiem i uprzejmie podtrzymywał rozmowę, ale nie mógł oderwać wzroku i myśli od czerwonego prostokąta ozdobionego złotymi narzędziami. Od sowieckiej flagi, która z drzewcem skrzyżowanym z drzewcem flagi norweskiej wisiała za plecami gubernatora. Zastanawiał się, czy to naiwność czy wyrachowanie, i miał szczerą nadzieję, że to drugie, bo zdecydowanie przedkładał cyników nad idiotów. Sysselemann zaproponował, że osobiście zaprowadzi Smitha do lokalu, który mu przydzielono, wyszli więc razem, razem wzuwali buty. Kiedy Smith podniósł plecak, a gubernator wziął pokrowiec ze sztucerem, Smith był zdziwiony, lecz nie odmówił.

Spacer nie był długi, Smith otrzymał pokój z łazienką i kuchenką w budynku w Dolnym Longyearbyen, jak później określił tę część osady na swój użytek. Czyli w Haugen. Biorąc po uwagę spitsbergeńskie standardy - własna łazienka stanowiła wyjątkowy luksus, przysługujący wyłącznie pracownikom od inżyniera w górę. Pokój miał niezależne wejście, co bardzo Smitha ucieszyło, a mieścił się w baraczkach, który ktoś, kto by doceniał trudności, jakie niesie ze sobą budownictwo na terenach arktycznych, mógłby określić mianem drewnianego budynku. Ściany z desek niedawno pomalowano na intensywną zieleń, farba jeszcze się nie łuszczyła. Młody przedstawiciel rządu norweskiego na archipelag wielkości Irlandii wręczył Smithowi klucze do pokoju i talon na alkohol, jakby był recepcjonistą w tanim motelu, i poinformował o terminach posiłków w kantine dla kadry zarządzającej, wytłumaczył również, jak dojść

do sklepiku, w którym można kupić podstawowe produkty żywnościowe i alkohol, oczywiście racjonowany na podstawie talonu.

- Racjonowanie obowiązuje wszystkich, nawet gości - dodał jeszcze. - Proszę o zrozumienie, męska społeczność odcięta od innych rozrywek bardzo łatwo mogłaby stoczyć się w pijaństwo, a pijaństwo owocuje burdami, nietrudno byłoby zburzyć delikatny spokój społeczny.

- Naturalnie, rozumiem doskonale. Zresztą przecież nie przyjechałem tutaj biesiadować, więc to żaden problem dla mnie - odparł Smith.

- Świetnie. Musi pan być bardzo zmęczony po podróży, więc dłużej nie zatrzymuję.

Uścisnęli sobie dłonie i tysiąc trzysta dziesiąty mieszkaniec Longyearbyen został sam w swoim pokoiku z łazienką, tysiąc kilometrów od bieguna północnego.

Rzucił plecak i pokrowiec z bronią na łóżko, ściągnął kurtkę, zdjął kaburę z pistoletem i schował w szafce nocnej, wielkie kopyto ledwie się zmieściło do szufladki. Do szafy wrzucił ciuchy na zmianę, kilka książek położył obok łóżka, sprzęt biwakowy zostawił w plecaku. Z pokrowca wyciągnął karabin, żaden sztucer, tylko niemiecki mauzer z małym celownikiem optycznym o niewielkim powiększeniu, zamontowanym daleko od oka, na szczyrbince. Z demobilu norweskiej armii, o czym świadczyły norweskie bicia obok niemieckiej gapy oraz przystosowanie do amerykańskiej amunicji używanej przez Norwegów. Smith złożył się z karabinu, wycelował



do beczki po ropie widocznej przez okno i skrzywił się z niechęcią. Nie lubił mauzerów, kolba wydawała mu się nieporęczna, rączka zamka w niewygodnym miejscu, a cała broń za ciężka. Z wojskowej broni wolał garanda, uczyli go obsługi tego amerykańskiego karabinu w Niemczech, jeszcze w 1946 roku, mauzer kojarzył mu się wyłącznie z dużo gorszymi czasami. Za koło podbiegunowe chciał zabrać ze sobą jakiś lekki sztucer myśliwski, najlepiej dwulufowy ekspres albo dryling, ale w Firmie poradzili mu, że z norweskim mauzerem nie będzie się rzucał w oczy, bo na Svalbardzie wszyscy je noszą do obrony przed niedźwiedziami. Zostały Norwegom po tych szczęśliwcach z Wehrmachtu, co wojnę przesiedzieli u nich jak u Pana Boga za piecem. Uparł się wtedy, że musi mieć celownik optyczny na karabinie i był nieco zawiedziony, kiedy w Stavanger odebrał broń z tak słabą lunetką. Facet odpowiedzialny za logistykę na pretensje Smitha zareagował tylko wzruszeniem ramion i wzgardliwym wyduchem warg, więc Smith wziął, co dawali, i więcej nie narzekał.

Powiesił karabin na gwoździu koło drzwi i usiadł na łóżku.

- Kurwa mać - powiedział głośno. Rzeczywistość ugięła się pod przekleństwem i Smith poczuł się nieco raźniej. Z portfela wyciągnął zdjęcie jasnowłosej kobiety, wpatrywał się w nie przez chwilę, jakby chciał na tej oglądanej tysiąc razy fotografii wypatrzyć coś nowego, po czym schował z powrotem między skórzane przegródki.

Rozebrał się, wyciągnął pistolet z szufladki, sprawdził komorę i wepchnął broń między materac a ramę u głowy łóżka, po czym obiema rękami przycisnął poduszkę do policzka i śnił o ciemnej celi

bez okna, której ceglane ściany pokrywa graffiti, ledwie widoczne w żółtym świetle żarówki przesączaającym się przez szpary w stalowych drzwiach. Najgorsze były kroki, dudniące na korytarzu. Potem marzenia senne rozmyły się w snopy barw i dźwięków, aby w końcu zgasnąć i utonąć we śnie czarnym i bezświadomym jak śmierć.

## ROZDZIAŁ 2

Obudził go wystrzał. Chwycił za kolbę pistoletu, po czym zaraz zorientował się, że był to huk z rury wydechowej samochodu. Spojrzał na zegarek. Odgarnął pled, spuścił stopy na ziemię i tak posiedział chwilę na łóżku, gapiąc się tępo na palce u nóg. Przeciągnął się, włożył spodnie i kurtkę, wsunął buty bez wiązania i pogrzebał w plecaku w poszukiwaniu papierosów. Przywiózł dziesięć paczek gauloise'ów i kilka sobranie black russian na specjalne okazje. Nie miał rano ochoty na ciężki czarny tytoń francuskich bez filtra, uznał więc, że to tak samo dobra specjalna okazja jak każda inna. Otworzył paczkę sobranie. Zawsze żał mu było je wypalać, taka śliczna paczka, otwierana jak papierośnica, i śliczne papierosy, czarne, z filtrem ze złotej folii i w złotą folię w paczce spowite. Uśmiechnął się do swoich dziwactw, wyszedł przed baraczek i zapalił.

Pogoda nie zmieniła się ani na jotę, stalowe chmury wisiały nisko nad tundrą, mieszając się z czarnym dymem z elektrociepłowni i płonącego pokładu węgla. Wypalił, wrócił do pokoju. Z plecaka wyciągnął paczkę z rozpuszczalną nescafe z amerykańskich wojskowych racji, poszperał po szafkach i znalazł dzbanek, grzałkę, trochę sztućców i naczyń. Zalał kawę wodą, wsypał mleko w proszku z saszetki i cukier. Spróbował. Napój był obrzydliwy, ale słodki i gorący, w końcu był pod biegunem, nie we włoskiej kawiarni. Z jedzenia, które przygotował sobie w Oslo na podróż, zostały mu jeszcze dwa sandwicze z niedobrego norweskiego chleba, sera i szynki, postanowił zjeść je na śniadanie. Usiadł z kanapkami i kawą

na schodkach, jadł, pił i przyjaźnie, acz zupełnie nieartykułowanie odpowiadał na pozdrowienia - pozdrawiał go każdy przechodzień, a było ich wielu, trafił bowiem na zmianę szychty w kopalni: szli grupkami w stronę sztolni, wykopanych w niewiele od pionu odchylonych zboczach płaskowyżów wyrastających nad Longyearbyen. Po śniadaniu zapalił jeszcze jednego sobranie, po czym stwierdził, że pora wyruszyć na mały rekonesans, rozejrzeć się w terenie, przywyknąć do pogody.

Wyciągnął z plecaka mapę, rozłożył na stole i studiował przez parę minut, cyrklem mierząc odległości. Szybko wyznaczył sobie trasę. Zagotował więcej wody i zrobił kawę do termosu, wziął tabliczkę czekolady, lornetkę, scyzoryk, papierosy, zapalki, pudełko amunicji do mauzera i wszystko spakował do plecaka. Pod klapą przypiął starą niemiecką zeltbahnę - wodoodporną pelerynę w maskujące plamy, z której dało się zrobić również prowizoryczny namiocik. Pistolet schował pod materacem, nie miał ochoty na noszenie dodatkowego kilograma ładunku, obok pistoletu położył grubą brązową kopertę. Wepchnął jeden po drugim pięć myśliwskich nabojów do magazynka karabinu, docisnął je kciukiem i zaryglował zamek na pustej komorze, bo nie ufał bezpiecznikowi. Nie miał zamiaru odstrzelić sobie łba przy jakimś potknięciu, a przełożenie ciężkiego bezpiecznika w mauzerze nie trwa wiele krócej niż szybkie przeładowanie odbezpieczonego zamka. Mapę schował w kieszeni anoraka razem z kompasem, przez ramię przewiesił cienki pasek futerału z małoobrazkową leicą, do której najpierw założył film.

Dodatkowy długoogniskowy obiektyw włożył do kieszeni.

W małym lusterku nad umywalką zobaczył turystę polarnika. Plecak, aparat, karabin. Wyszedł z baraczku, zamykając drzwi na klucz, i ruszył przed siebie, w stronę wybrzeża Adventfjorden, zaraz skręcił na północny zachód, potem szedł szutrową drogą wzdłuż plaży. Maszerował szybko ze wzrokiem wbitym w koleiny na drodze. Najlepiej, najskuteczniej myślał podczas spaceru, w Zurychu w takim wypadku wdrapywał się na Lindenhof i dreptał dookoła fontanny, w Londynie szedł do ulubionego malutkiego parku przy Villiers Street, niedaleko londyńskiego oddziału Firmy, i tam chodził między klombami albo przysiadał na ławce, gdzie zawsze spotykał pewnego bezdomnego weterana chwającego się swoim Military Medal. Teraz zamyślił się na dobre, tak że dopiero po godzinie szybkiego marszu stanął na plaży, rozejrzał się dookoła - krajobraz się zmienił, jakby szedł w siedmiomilowych butach: z brudu górniczej osady w parę kwadransów przedostał się w scenerię arktyczną.

Było zimno, wiało mocno, żeglarską czwórką, mewy zawisały na wietrze jak latawce, w miejscu, szeroko rozłożywszy wygięte skrzydła, jakby niewidzialna żyłka mocowała je do nabrzeżnych kamieni. Węglowy pył, dym, portowe żurawie i pozdrowienia spieszących na szychtë górników zostały za nim. Tutaj był tylko fiord w stalowym kolorze, upstrzony podskakującymi na krótkiej fali plackami kry. Lodowe czapy na odległym drugim brzegu, rudzielono-bura tundra, szarobrązowe zbocza. Wyciągnął mapę i kompas - stał na Vestpynten przy zbiegu małego fiordu Advent i wielkiego

Isfjorden. Przed nim jeszcze dobre dziesięć kilometrów marszu wąskim pasem równiny, który ciągnął się między brzegiem fiordu a wysokimi na kilkaset metrów klifami. Ruszył dalej.

Na plaży leżały śmieci wyrzucone przez morze i porzucone przez ludzi: beczki, wielkie pnie dryftowego drewna, które prądy morskie przygnały tu aż z Syberii, kawały blach, połamane szkielety łodzi i wielorybów, oblepione glonami pomarańczowe koło ratunkowe. Pancerzyki małych krabów, puste w środku, pękały pod nabijanymi żelaznymi ćwiekami podeszwami górskich butów. Co jakiś czas spośród kamieni zrywała się mała białoszara rybitwa z czarną plamką na łebku, wzbijała się w powietrze, zastygała w miejscu, bijąc skrzydłami, wykląskiwała swoje donośne bojowe zawołanie, serię krótkich trzasków, po czym spadała na Smitha, a od kilku ptaków oberwało mu się nawet maleńkim dziobkiem w głowę. Uderzenia nie były bolesne, czapka skutecznie je amortyzowała. Niestety, chociaż nie każdy atak nurkowy kończył się uderzeniem, prawie każda rybitwa zrzucała ładunek białego guana, które za trzecim razem trafiło Smitha w twarz.

Zaklął i obmył twarz lodowatą morską wodą, po czym między kamieniami znalazł bambusowy pręt długi na półtora metra. Nie miał pojęcia, skąd wziął się na svalbardzkim brzegu bambus, ale skądkolwiek był, doskonale nada się na broń „przeciwlotniczą”. Ruszył dalej, oganiając się kijem od nachalnych ptaków. Odpuszczały, kiedy oddalał się od gniazda, tyle że wychodząc z terytorium jednej rybitwy, wkraczał na terytorium następnej i już nowy lotnik wzbijał

się spomiędzy kamieni, gotów bohatersko bronić gniazda przed dwunogiem, który się zanadto zbliżył. Na szczęście natura zakodowała ptakom zasadę, że mają atakować najwyższy punkt - kiedy więc Smith szedł z kijkiem wzniesionym nad głowę, rybitwy atakowały bambus, nie trafiając w piechura ani dziobami, ani guanem.

Zastanawiał się, kiedy ostatni raz maszerował. Tak na serio było to na kursie spadochroniarskim: w szkockich górach czterdzieści, pięćdziesiąt kilometrów bez przerwy, bez snu, z enfieldem na ramieniu, pełną jednostką amunicji i ciężkim plecakiem. I dyscyplina wodna do tego, idiotyczny pomysł brytyjskich oficerów, ścisły zakaz picia wody poza zapasem w manierce, chyba mniej niż pół litra. Pół litra na dobę wypełnioną wysiłkiem! Oczywiście próbowali oszukiwać, pić wodę ze strumieni bez względu na kary, ale instruktorzy pilnowali ich z zajadłą czujnością. Kilkanaście mieli tych zabójczych marszów. Nawet tamten bezdrzewny krajobraz był podobny do svalbardzkiego.

Potem już tylko raz, po pierwszym bojowym skoku, kilkanaście kilometrów lasem, z punktu zrzutu do lokalu kontaktowego, z palcem na spuście waltera w kieszeni marynarki. Trzy lata temu. I od tego czasu - nic. Tylko spacer, najpierw na spacerniaku w pierdlu, potem w Londynie, w Zurychu i znowu w Londynie, kawiarniany ogródek, gazeta, wystawianie twarzy do słońca, jasny garnitur, oglądanie się za ładnymi dziewczynami. Wdychanie świata i ta głupia radość - żyję, żyję, jednak żyję!... Jakby się było z czego cieszyć. Trzy lata... Pasek karabinu boleśnie uciskał mu ramię, odzwyczaił się od chodzenia z

bronią.

W nadmorskim klifie wyrosła szeroka na dobry kilometr brama, wlot do Bjørndalen, Doliny Niedźwiedzia. Niedźwiedzia żadnego nie było, były za to dwie zbite z poszarzałych desek chatki, wyglądały na opuszczone. Na wszystko z wysokości krawędzi klifu patrzyły posieczone wiatrem trolle, które słońce zmieniło w kamień dawno temu, a kamień rozsadził lód, tak że został już tylko zarys sylwetki. Znowu wyjął mapę. Najpierw zamierzał pójść dołem, plażą u stóp klifu, ale teraz zmienił zdanie. Pójdzie doliną, żlebem wespnie się na Fuglefjellet i do celu swojej wycieczki dotrze z góry, nie z dołu.

Ruszył w górę doliny. W miarę jak zbliżał się do zboczy Fuglefjellet, Ptasich Gór (które wbrew nazwie były raczej płaskowyżem niż górami), powoli, lecz miarowo narastał jazgot płynący z ptasich gardziołków. Kiedy dotarł do pierwszego żlebu wyciętego w stromych ścianach doliny i zaczął się wspinać po kamiennym usypisku, spowodował maleńką lawinę, kilkadziesiąt ostrych kamieni przesunęło się parę metrów w dół. Hałas trących o siebie skał podziałał jak strzał na zawodach chartów - z gniazd, ukrytych w zakamarkach płaskowyżu, zerwało się ogromne stado alczyków, małych ptaków podobnych do pingwinów, tyle że w przeciwieństwie do swych braci z drugiej półkuli, latających. I to jak latających! Nad głową Smitha przeleciało stado wielkie, liczące może tysiąc, a może dziesięć tysięcy sztuk, nie umiał tego oszacować - furkot małych skrzydełek był ogłuszający, porównywalny tylko do dźwięku przelatującego nad głową samolotu, odrzutowca nawet. Nie



spodziewał się takiego hałasu i aż przylgnął do zbocza. Stado przeleciało nad nim jeszcze kilka razy, zanim zapadło gdzieś między kamieniami.

Wspinaczka była nieprzyjemna, kamienie uciekały spod nóg. Pokonanie czterystumetrowego przewyższenia zajęło mu dwie i pół godziny, często musiał iść na czworakach, a kiedy wreszcie znalazł się na płaskim, lekko pochyłym szczycie Fuglefjella, musiał usiąść i odpocząć parę minut. Potem spojrzął na kompas i ruszył przed siebie. Na podmokłym gruncie marsz był powolny i męczący, ale Smith miał dużo czasu. Po kolejnej godzinie natknął się na resztki instalacji, której przeznaczenie zrozumiał, gdy w porzuconej skrzyni znalazł efekty geologicznych odwiertów: kamienne długie walce, różnokolorowe warstwy skał wyborowane z głębi ziemi. Usiadł na jednej ze skrzyń, wyciągnął termos z kawą i kanapki. Po tylu godzinach marszu zimny schab z czerstwym chlebem i śladem musztardy smakował lepiej niż foie gras we francuskiej restauracji. Prawie jak na pikniku. Niebo trochę się przejaśniło, błękit nie wyrzwał zza chmur, lecz ich warstwa jakby pocieniała, tak że w oddali widział morze. I kry. Przełknął ostatni kęs, dolał sobie jeszcze kawy.

Wiatr osłabł, zrobiło się cieplej, tylko w stopy było mu zimno, bo buty zupełnie przemokły. Zapalił papierosa, złota folia na filtrze była przyjemnie chłodna. Pomacał językiem puste miejsce w górnym dziąśle po wybitej stalową pałką czwórce i piątce. Gdyby wtedy, kiedy krwawiąc z ust wrócił do celi, ktoś, kolega albo klawisz, powiedział mu, że za trzy lata będzie siedział sobie na skrzynce po

spitsbergeńskich geologach i patrzył na kry, nie uwierzyłby, to oczywiste, ale wtedy nie wierzył nawet w to, że będzie żył. Po bolesnym śledztwie i krótkim procesie dostał czapę i siedział w celi śmierci pogodzony z losem, trochę nawet pogodzony z Bogiem za sprawą wystraszonego księdza, który traktował go jak mordercę i usiłował nawrócić przed egzekucją. Nie próbował kleszki przekonywać, że jest inaczej, może zresztą wcale nie było inaczej, miał w końcu krew na rękach. Może ta obojętność go uratowała. Obojętni mu byli koledzy, których czasem wyprowadzano do piwnicy, gdzie pocisk kaliber 7,62 wyprawiał ich na tamten świat.

Siedział dobre dwa lata, nie pytał, dlaczego jeszcze go nie rozwalili, i nie hodował żadnej nadziei. Czekał obojętnie, aż go zabiorą na dół, lecz w zamian bez uprzedzenia i bez wyjaśnienia pewnego dnia wyprowadzili go, kazali się ogolić i przebrać w cywilne ubranie, zawiązali oczy, posadzili na tylnym siedzeniu Citroena i powieźli w nieznane. Sądził wtedy, że go zastrzelą gdzieś w lesie albo że wiozą na jakieś dodatkowe przesłuchanie, jechali wszakże długo. Uchyłono mu przepaskę i zobaczył wtedy faceta w mundurze, który w kroju i kolorze wyglądał jak mundur Wehrmachtu, tyle że bez oznak - na głowie facet miał czako z trójkolorową flagą. Enerdowski folkspolicaj. Wieźli go do NRD. Cztery godziny później w ciemnej berlińskiej uliczce wymieniono go na Żyda, który jak mu później powiedziano, pracował dla Philby'ego, wpadł, a Firma uratowała mu dupę, praktycznie wyrywając go z zatraskujących się już szponów MI5 i sprzedała bolszewikom. Za niego.

Dopił kawę, wytrząsnął krople z kubka na ziemię, przeciągnął się, aż strzeliły kręgi jeden po drugim. Wbił niedopałek w wilgotny mech, głęboko wciskając go palcem. Schował termos do plecaka, objuczył się swoimi bagażami i ruszył dalej, zapadając się po kostki w wilgotnej tundrze. Od nadmorskiego klifu narastał ptasi klangor, jazgot, wrzask - wszystko to mieszało się w jednostajnym głośnym szumie, który co jakiś czas wybuchał i nagle wzmagał się, by po chwili znowu przygasnąć do zwykłego poziomu. Smith doszedł do urwiska - zbocza klifu były bardzo strome, lecz nie pionowe. Zamiast buro-rudego koloru tundry pokrywała je ciemna zieleń, soczysta, wręcz tropikalna, jakby klify wyrastały nad Amazonką, a nie nad Morzem Barentsa. Uznał, że to ptasie łajno tak użyźnia jałowe skały. Znowu eksplozja jazgotu - zza urwiska wyskoczył szpetny i szczęśliwy lis polarny, wypadł wdzięcznym susem, jakby przeskakiwał przez płonącą obręcz w cyrku, z pyska wystawały mu skrzydła mewiego pisklęcia. Zanim lament ucichł, wybuchł na nowo - nad klifem pojawił się wydrzyk, wredne ptaszysko, i bił się z mewami o jakąś rybkę, uwijając się w lotniczych ewolucjach jak myśliwiec między cywilnymi awionetkami.

Szedł nadmorskim skrajem płaskowyzu pół kilometra nad poziomem morza, aż dotarł do miejsca, gdzie prostopadle z plaży w klif wrzynała się krótka stroma dolina. Grumantdalen, cel wycieczki. To było dobre miejsce, bo z klifu widział plażę, na której wznosiły się budynki zupełnie inne niż norweskie domki w Longyear - cztery murowane, solidne dwupiętrowe i kilkanaście drewnianych chat,

większych i mniejszych. Pomiedzy nimi kręciły się maleńkie szarobure ludzkie figurki ledwie widoczne na tle szaroburej ziemi, wspinały się do wrót kopalni wyrastających na drugim zboczu i nieco poniżej napępniały spore wagoniki doczepione do małej lokomotywki, która wypuszczała w niebo słuł dymu. W zboczu góry widniał tunel, w którym nikięły wąskie tory. Grumant, sowiecka kopalnia wraz z zapleczem.

Wybrał możliwie najsuchszy kawałek tundry i położył się na samym skraju klifu, ukrywając się między kamieniami. Pod sobą miał zbocze, bardzo strome zbocze, miejscami pionowe, w dole jak na dłoni zabudowania osady. Z plecaka wyciągnął lornetkę i długoogniskowy obiektyw, z kieszeni mapę. Wąskotorowa kolejka przejeżdża przez tunel pod górą i biegnie sześć kilometrów wzdłuż wybrzeża do małego porciku w Zatoce Colesa. Pogapił się na sowieckich górników przez lornetkę. Czapki uszanki, takie same jak ta, którą miał na głowie, szare kufajki i walonki na nogach. Poruszył palcami w skórzanych butach, zachlupała woda. Pomyślał, że musi sprawić sobie ogumowane walonki do łażenia po tundrze, buty strzelców alpejskich dobrze sprawdzają się na skale i lodzie, ale nie w mokrym bagnie. Wyciągnął leicę, założył długoogniskowy obiektyw, obfotografował wszystko, po czym na wszelki wypadek przewinał film, wyjął z aparatu i schował do kieszeni w spodniach.

Wstał i poszedł w górę, wzdłuż klifu, aż znalazł miejsce, gdzie mógł zejść do doliny Grumant. Musiał iść dobre dwa kilometry, na przełęcz, prawie aż pod czoło lodowca, który jak twierdziła mapa,

również nazywał się Grumant. Grumantbreen - lodowiec Grumant.

Doliną schodziło się długo i niewygodnie, był już zmęczony, aż w końcu ujrzał dachy zabudowań - ale minął jeszcze dobry kwadrans, zanim wszedł między budynki, dachy bowiem to znikwały, to pojawiały się znowu. Uznał, że to wyjątkowo irytująca dolina.

- Zdrawstwuujcie, batko - powiedział po rosyjsku do pierwszego mieszkańca Grumantu, na którego natknął się między budynkami.

Człowiek siedział na drewnianym podeście wyrastającym spod fundamentów największego z budynków, miał brodę jak patriarcha, siwą i pożółkłą od papierosów, odział się w kraciastą koszulę i uszankę z rozwiązanymi klapami sterczącymi do góry jak psie uszy. Strugał kozikiem w kawałku kości, trzymając nóż za ostrze, między palcem wskazującym a kciukiem. Paznokcie miał czarne od węglowego pyłu. Podniósł wzrok znad swojej roboty i przyjrzał się przybyszowi gadającemu po rosyjsku z głupim akcentem.

- Dzień dobry. Cóż was tu przyniosło, dobry człowieku? - zapytał Fiodor Wasiliewicz Aleksiejew, bo takie nazwisko i otczestwo odziedziczył po ojcu i takie imię nadano mu na pośpiesznym chrzcie po porodzie przedwczesnym.

Matka Fiodora przy końcu ciąży poszła na festyn na Chodynce, na którym z okazji koronacji cara Mikołaja II rozdawać miano podarki dla ludu. Podarki były, było też tysiąc czterysta trupów ludzi zdeptanych przez tych, którzy sobie swoje prezenty wywalczyli. Matka Fiodora Wasiliewicza została brutalnie odepchnięta przez chciwego, acz ubogiego kupca bławatnego spod Permu

rozkręcającego dopiero swój interesik - ów kupiec odepchnięciem uratował matce Fiodora życie, gdyż poczuła się źle i odeszła na bok, schodząc z toru, którym przez chodyńskie pola przewaliła się fala ludzkiej mierzwy, niepowstrzymana jak lodowiec spływający doliną i jak lodowiec miażdżąca wszystkich, co nie zdołali się utrzymać na powierzchni. Za falą została morena denna ludzkich ciał, muzyków, dzieci i bab, z członkami splątanymi, zgniecionymi i skrwawionymi, z twarzami przemienionymi setką butów w płaskie maski ze znakami oczu i ust.

Potem były trzy różne rewolucje, Fiodor Wasiliewicz na pierwszą był za młody, zaangażował się w drugą jako szeregowy działacz kadetów, a do trzeciej - jako konstytucyjny demokrat - włączyć się nie miał ochoty, ona za to, rewolucja październikowa, przygarnęła go sama pod swoje skrzydła i nie puszczała od czterdziestu lat.

Prywatnie Fiodor Wasiliewicz dawno porzucił kadeckie mrzonki i w swoich przekonaniach zbliżył się do poglądów czarnosecinnych, tyle że w Rosji Sowieckiej i potem w Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich publicznie wyznawać ich nie mógł, więc publicznie stał się dobrym komunistą, w sercu jednak, tam gdzie nikt nie mógł zajrzeć, urządził sobie małe panoplium: zawiesił wyimaginowaną ikonę z carem Mikołajem Męczennikiem, broń kozacką, szaszkę i kindżał, również wymyślone, i dwugłowego orła utkanego ze wspomnień. I myślał o tym, że komunizm to kara za grzechy ludu rosyjskiego, który się odwrócił od Boga, i za tolerowanie

żydowskich konspiratorów. Nie dość surowy był ojczulek car, bolszewików, mienszewików i eserów zsyłał na parę lat do wygodnych ciepłych chat w syberyjskich guberniach, gdzie ci siedzieli i ostrzyli swoje sztylety. Bolszewicy nie są głupi, uczyli się na błędach cara i nie okazują pobłażliwości nikomu - carskie zesłanie to pięć lat daleko od moskiewskich balów i salonów Pitra, bolszewickie zesłanie to nieuchronnie śmiertelny znój przy rąbaniu zmarzłych na kamień wiekowych modrzewi. Fiodor Wasiliewicz pielęgnował zatem obraz tego panoplium i czarnosecinne poglądy, kiedy zamykał oczy, a na co dzień studiował na moskiewskiej Politechnice im. Baumana i pracował jako inżynier mechanik, lojalny, acz niewyróżniający się niczym członek Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej (bolszewików), potem zaś, gdy umarł Stalin, Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego.

Na Svalbard zaciągnął się, ponieważ nie miał rodziny, a uznał, że na polarnej placówce będzie miał więcej czasu na swoje ulubione zajęcie - ciche rozmyślenia o tym, jak mogła się potoczyć historia, na swoją najtajniejszą z konspiracji, nie do przeniknięcia i nie do zinflitrowania, konspiracja to bowiem najdoskonalsza, jednoosobowa, zamknięta w głowie jednego człowieka, i tajemnica też głęboka, bo taka, która ma tylko jednego wtajemniczonego, jedyna tajemnica prawdziwa, gdyż tam gdzie dwóch, tam już zdrada. W myślach, które formowały mu się jako słowa pisane starym, cerkiewnym krojem grażdanki, słowo „chlieb” myślał z carską jacią w środku - ale jako konspirator doskonały w swej samotności, od rewolucji nie skreślił

jaci na papierze, nigdy, ani piórem, ani ołówkiem.

Tego Smith oczywiście nie wiedział, lecz miał dobre oko do ludzi, takie jak niektórzy koniarze mają do wierzchowców - starczy, że spojrzą na folbluta albo araba, i od razu powiedzą, że pewnie dobrze i szybko chodzi, choć lękliwy jest i boi się byle czego, albo na odwrót. Smith patrząc na brodatego sześćdziesięciolatka, był pewien, iż znalazł on tutaj schronienie przed ciężkim życiem w stolicy światowego proletariatu.

- Spacer, batko - odparł Smith na pytanie o cel przybycia do osady. - Jestem naukowcem z Londynu, przyjechałem do Longyearbyen niedawno.

Brodacz przyglądał się Smithowi uważnie.

- Polak? Czech? - zapytał badawczo, wnioskując z akcentu.

- Poddany brytyjski. Pochodzę z Austrii. A moją ojczyznę cały świat, moimi braćmi wszyscy ludzie dobrej woli - zażartował Smith.

Rosjanin pokiwał głową. Z budynku wyszło dwóch innych, gładko ogolonych, nie podchodzili do przybysza i Aleksiejewa, nie przeszkadzali im w rozmowie, przyglądali się tylko.

- A praca ciężka, ojczulku, tutaj, za kołem polarnym? Węgiel dobry kopiecie? - wypytywał Smith uprzejmie.

Brodacz był przekonany, że Smith kłamie co do swego pochodzenia. Wyczuwał Słowianina, to nie mógł być Niemiec czy Austriak - bo w 1945 roku nagle wszyscy austriaccy Niemcy zamienili się w Austriaków, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Albo za kopnięciem sowieckiego buta. W każdym razie Niemiec albo



Brytyjczyk nie pytałiby, jak idzie robota. Odpowiedział więc machnięciem ręki i zaprosił przybysza na herbatę. Smith zgodził się chętnie - nie spodziewał się zaproszenia, dwaj ogoleni górnicy patrzyli na niego z pewną obawą, tak jak się spodziewał, że będą się patrzeć. W końcu jeszcze parę lat temu w Związku Sowieckim kontakty z obcokrajowcami zapewniały darmowy bilet do wycinki trzystuletnich modrzewi gdzieś w obwodzie magadańskim. Dziś, za Chruszczowa, niby jest inaczej, ale ci, których pamięć sięga również przed XX zjazd partii, pamiętają, że ten sam Chruszczow znany był swego czasu jako Rzeźnik Ukrainy, kiedy za jego sprawą i pod jego nadzorem Ukraińców zagłodzono.

Weszli do murowanego budynku podzielonego w środku na mieszkalne izby wzdłuż wspólnego korytarza. Brodacz odkluczył drzwi, usiedli na zydlach przy zbitym z desek stole. W kącie stał blaszany piec, od którego promieniowało ciepło przenikające człowieka do kości jak z żadnego innego pieca. Smith znał je dobrze. Na ścianie nad wąskim barłogiem wisiała myśliwska dubeltówka, otwarta, z paskiem skórzanym smętnie obwisłym.

- Tee oder Kaffe? Kawa czy herbata? - zapytał nagle brodacz kiepską mięką niemczyzną. Bardzo go nurtowało pochodzenie gościa, który na pewno nie był Norwegiem.

Smith nie zdziwił się, słysząc język niemiecki - moskiewski inżynier w tym wieku nie znający niemieckiego byłby zjawiskiem dziwnym.

- Herbata. Kawa jakoś mi mniej smakuje za kręgiem polarnym -

odpowiedział Smith i Rosjanin był zawiedziony, bo gość mówił po niemiecku tak, jak da się mówić jedynie takim językiem, który słyszało się w kolebce. Nie wierzył mu dalej, ale odpuścił.

- Fiodor Wasiliewicz Aleksiejew - przedstawił się, wyciągając dłoń do przybysza.

- Johann Schmidt, tak mi na chrzcie dano. Królowa brytyjska zna mnie jako Johna Smitha - odparł Smith z uśmiechem.

Rosjanin pokiwał głową.

- A otczestwo u was jest?

Smith nie odpowiedział od razu. Spojrzał na Rosjanina i milczał, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią. Fiodor Wasiliewicz był pewien, że dojrzał w jego wzroku jakąś głęboką, potężną nienawiść. Albo przynajmniej ślad po niej, miejsce bowiem, w którym ta nienawiść kiedyś istniała, teraz było puste.

- Jest - odparł wreszcie Smith. - Wilhelm ojcu było na imię.

I było to tylko częściowe kłamstwo.

Gospodarz kiwnął głową, jakby zgadzał się na takie imię ojca swojego gościa. Łopatką wygarnął z pieca trochę żarzących się węgielków i wyjaśnił gościowi, że specjalnie pali tylko drewnem, dryftowym, które sam sobie zbiera, bo państwowym palić nie wolno, żeby móc robić herbatę z samowara. Do rury, która wodę podgrzewa, wsypał żarzące węgle, z wiadra nalał wody, w górnym czajniczku zaparzył esencję i po jakimś czasie pili już herbatę z konfiturami ze szklanek w misternie wycinanych blaszanych koszyczkach. Rosjanin opowiadał, jak to chodzi specjalnie aż pod Grumantbreen po lód

lodowcowy albo firn, żeby potem go topić, do picia i do herbaty, bo woda, która spływa tutaj rwącym strumieniem, niesie ze sobą smak żelazistej darni i herbata wychodzi obrzydliwa.

Wypili po dwie szklanki. Aleksiejew opowiadał o życiu na Spitsbergu. W Grumancie spędza już piątą zimę, w tym czasie tylko trzy razy wrócił na kontynent, w tym raz do Moskwy, z której pochodzi i którą kocha. Po herbacie Fiodor Wasiliewicz wyciągnął zakorkowaną drewnianym kołeczkiem flaszkę z samogonem. Ciecz była żółtawa i dość gęsta, ale smakowała wspaniale - mocna, paliła w przełyk i spływając do żołądka, rozchodziła się po ciele, jakby łykało się płynny ogień.

Fiodor Wasiliewicz częstował, Smith zatem wypił trzy spore kieliszki, zakąsił słoniną i czarnym chlebem, popił kolejną szklanką herbaty. Opowiedział, że jest socjologiem, bada norweskich górników z Longyearbyen, i był pewien, że Rosjanin mu nie uwierzył. Za następny kieliszek podziękował, nie chciał się upić, bo przed nim jeszcze dziś długa droga. Chciał się odwdzińczyć za poczęstunek, zaproponował więc swojemu gospodarzowi sobranie - Aleksiejew chętnie przyjął, zapalili razem. Smith zastanawiał się, czy Fiodor Wasiliewicz zareaguje jakoś na carskiego orła wyrysowanego na złotym filtrze, lecz jakiejś szczególnej reakcji nie zauważył.

Fiodor Wasiliewicz jednak zareagował, tyle że nie dał tego po sobie poznać, przeżył w końcu czterdzieści lat w bolszewickiej Rosji, więc ukrycie emocji przychodziło mu bez trudu. Sobranie w zasadzie nawet mu nie smakowały, wolał porządną machorkę, którą przy

każdym sztachu darła płuca i szumiała w głowie - ale smak nie miał znaczenia. Palił papierosy, które były częścią starej Rosji, po rosyjsku arystokratyczne, od osiemdziesięciu lat wytwarzane na obczyźnie i dlatego nieskażone bolszewizmem. Trzymać w wargach tę złotą folię, wdychać dym, to prawie jak rozedrzeć kurtynę tych czterdziestu ostatnich lat i wetknąć na chwilę głowę w czasy sprzed rewolucji, czasy, które Fiodor pamiętał tak dobrze, chociaż po zwycięskiej Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej cała Rosja wolała nie pamiętać, uznała bowiem, że tamte czasy skończyły się nieodwołalnie, że to nie kolejna smuta jak ta oddzielająca Rurykowiczów od Romanowów, tylko nowa epoka w historii, jak tatarskie panowanie po pierwszej Rusi.

Smith zaproponował, że sprezentuje gościowi napoczętą paczkę. W normalnych warunkach taka propozycja byłaby uznana za obraźliwą, ale tutaj, na Spitsbergenie, nie można wyskoczyć do pobliskiej trafiki, gdzie jest pełny wybór od kubańskich cygar po rosyjskie papierosy. Fiodor Wasiliewicz nie krygował się zatem, przyjął prezent z wdzięcznością i już wiedział, że nie wypali tych papierosów, będzie je trzymał w szufladzie biurka zamykanej na klucz i przyglądał się im czasem, będzie dotykał złotej folii w pudełeczku z tłoczonych tekturki, otwieranym jak papierośnica, z nazwą wypisaną złotymi literami łacińskim alfabetem, lecz nazwą rosyjską, prawdziwie rosyjską, nie sowiecką. W Moskwie trzymanie w domu papierosów z orłem Romanowów uznałby za zbyt ryzykowne, tutaj jednak mógł sobie na to pozwolić, przecie to Arktyka. W zamian za papierosy zaproponował napoczętą flaszkę samogonu, którą Smith

przyjął, schował do plecaka, podziękował za poczęstunek, uściśnieli sobie dłonie - i wyszedł. Fiodor Wasiliewicz powiedział, że go nie odprowadzi, bo ma papierkową robotę nad projektem. Korciło go, aby w kle morsą, w którym strugał sobie geometryczne wzory, wydłubać maleńką płaskorzeźbę dwugłowego orła, takiego jak na papierosach, ale po chwili uznał, że byłaby to zbyt wielka ekstrawagancja.

Smith wyszedł przyjemnie rozgrzany herbatą i bimbrem. Rozejrzał się po osadzie, trochę żalując, że nie mógł tu dokładniej pomyszkować, przyjrzeć się kopalni, pogadać z ludźmi, tyle że inni górnicy patrzyli na niego nie bardzo życzliwie, jeden nawet splunął z odrazą na ziemię i odwrócił się ostentacyjnie. W sumie rozpoznanie Grumantu robił tylko po to, żeby się rozgrzać, to nie należało do jego zadania, mógł więc już wracać. Postanowił wrócić plażą, oszczędzi sobie wspinaczki i kilometrów. Ruszył odprowadzany złymi spojrzeniami.

### ROZDZIAŁ 3

Po kamiennych otoczkach nie szło się może najwygodniej, ale i tak był to przyjemniejszy marsz niż po podmokłej tundrze, szedł więc szybko, bez odpoczynków. Plaża początkowo była szeroka na kilka metrów i delikatnie wznosiła się ku wyrastającym z niej wysokim na pół kilometra klifom, lecz stawała się coraz węższa, a w końcu zamieniła się w wąski, zalewany falami pasek kamieni pod skalną ścianą. Buty i tak miał przemoczone, więc nie przejmował się, że w niektórych miejscach musi brodzić w wodzie.

Że jest w kłopotcie, zorientował się dopiero, kiedy spojrzał za siebie. Tam gdzie wcześniej była wąska plaża, teraz fale rozbijały się bezpośrednio o strome skały. Zapomniał o przyływie. Trudno, trzeba będzie zmoknąć.

Po godzinie szedł już po pas w lodowatej morskiej wodzie. Po następnym kwadransie woda sięgała mu do piersi, w rękach, wyciągniętych nad głową niósł karabin i plecak. Filmy i aparat fotograficzny zapakował w foliowy wodoszczelny worek, który na szczęście miał ze sobą. Lornetka już się nie zmieściła, liczył, że futerał ją ochroni. Oprócz przyływu dokuczała mu również coraz wyższa fala, wiatr się wzmaczał i woda zalewała go całego, wraz z głową. W końcu fale zdołały go przewrócić raz i drugi, za trzecim razem uderzyły Smithem o skalną ścianę tak mocno, że rozciął sobie czoło i upuścił karabin. Znalazł go po chwili i ruszył dalej.

Miał dreszcze i zawroty głowy. Widział siebie na wodzie twarzą w dół, z rozłożonymi rękami, fale poruszają nim rytmicznie jak

martwą ćmą na powierzchni jeziora. Widział siebie pierwszego dnia ucieczki pod podłogą wagonu, uciekające podkłady kolejowe, ogłuszający huk kół. Przypomnił sobie zimowy obóz treningowy w dawnym ośrodku SOE w Airsaig i zajęcia z hipotermii. Praktyczne zajęcia z hipotermii, po szyję w zimowym Atlantyku i głos instruktora po angielsku z okropnym rosyjskim akcentem: „Ta woda ma pięć stopni i zabije was szybciej niż karabinowa kula. Swifter than a rifle bullet. Wy ponimajecie? Ponimajesz?”. Przesadzał oczywiście, na pewno zimna woda nie zabija tak szybko jak kula karabinowa, ale równie pewnie. Krywinski, tak się nazywał. Rotmistrz gwardyjskiego pułku samego cara dobrodzieja. Szczupły i prosty jak struna. Siwy wąs przycięty nad wargą i podkreślony w kącikach ust.

A teraz hipotermia, pierwsze stadium - pomyślał. Znał swój organizm, do tego go ćwiczone. Głowę miał ponad wodą, to plus, ręce również, ciepło traci przez zanurzone nogi i korpus, jest dość grubo ubrany, więc ma jeszcze trochę czasu, dwadzieścia minut, może dwa kwadransy. Tyle że jeśli dojdzie do drugiego stadium hipotermii, nie będzie już w stanie sam sobie pomóc, wola i rozsądek ulegną pod naporem chłodu. Zimna woda na podłodze celi, dwadzieścia centymetrów, żadnych okien, mdłe światło żarówki, leży i podziwia piękne miękkie linie słoików odbite w betonie jak liście prastarej paproci w grudzie węgla, podziwia je i czuje, jak ucieka z niego życie.

Otrząsnął się z omamów, zracjonalizował: to typowe, hipotermia, pierwsze stadium. Obejrzał się za siebie - drogi powrotnej nie było, tkwił po pachy w oceanie, pod skalnym klifem wznoszącym

się pionowo na kilkaset metrów w górę, samotna głowa w oceanie, jak Pip z „Moby Dicka”. Czytał „Moby Dicka” w czasie wojny, w czwartym roku wojny albo w piątym, Ruscy byli już blisko, jeszcze miesiąc albo dwa, a on w swoim wysokim pokoju w kamienicy zaraz obok teatru czytał „Moby Dicka” po niemiecku. A pod łóżkiem leżał pozwijany zmięty mundurek, brązowa bluza, czarne szorty, opaska na ramię. Nie założę tego, mamó, a mama mówi, musisz iść, ale ja nie chcę mamó. Stawiał krok za krokiem, fale uderzały coraz mocniej, nie da rady, to jeszcze co najmniej sześć kilometrów, nie porusza się szybciej niż kilometr na godzinę, nie da rady na pewno

Trzeba jednak było iść, więc szedł. Mama mówiła, musisz iść, ale ja nie chcę, mamó... Ależ głupi był wtedy, jakby zbiórki były w czymkolwiek gorsze od tego, co zrobili po wojnie, kiedy zebrali się w mieszkaniu kolegi i założyli tajną organizację. Czteroosobową, łączny wiek sześćdziesiąt trzy lata. Kamień.

Przed nim był kamień. Wrosły w klif rodzaj płaskiej skalnej półki, wystającej kilkadziesiąt centymetrów nad poziom morza. Odległej o może pięćset metrów. To bardzo daleko, lecz miał nadzieję, że jeszcze da radę. Krok za krokiem, fala, krok, następny, fala, krok. Nie daj, Panie Boże, tak głupio, idiotycznie umrzeć po tym wszystkim, nie może się przecież wyiębić na śmierć podczas głupiej wycieczki. Wycieczki na rozgrzewkę. Nie daj, Panie Boże, umrzeć, chociaż wcale w ciebie nie wierzę. Kamień.

Doszedł. Głaz. Śliski, mokry, ale dość pochyły. Zdołał się wspiąć. Na górze natychmiast wyjął z plecaka czekoladę i pożarł ją,



nie zjadł, tylko pożarł, wepchnął do ust, rozgryzał i połykał, jakby jadł chleb, a nie słodką, tłustą masę. Chciało mu się rzygać, przewyciężył jednak odruch wymiotny, potrzebował bowiem kalorii, żeby ogrzać zziębłą krew, która z arterii i żył w nogach płynie w górę i chłodzi serce.

Wiedział, że nie może wykonywać żadnych nagłych ruchów, żeby nagle cała oziębiona krew nie trafiła do mózgu, zjadł więc czekoladę, owinął się mokrą zeltbahną z plecaka, oparł na karabinie i stał na głazie niczym pomnik dawnego władcy, już niepopularnego, zesłany w miejsce, którego nikt nie odwiedza. Musiał stać, musiał poczekać na odpływ, nie mógł z powrotem wejść do zimnej wody. Trząśnięcie, dygotał, nogi mu mdlały - ale wiedział już, że przeżyje. Mokre ubranie wyschnie na nim prędzej czy później, a na powietrzu, nawet tak zimnym, nie traci się ciepła tak szybko jak w wodzie, organizm da radę ogrzać oziębioną krew. Przyplaci to pewnie solidnym katarem i gorączką, lecz to nic takiego. Za chwilę, za kwadrans, usiądzie i spokojnie doczeka odpływu.

Od strony Grumantbyen spomiędzy chlustu fal dobiegi terkot dwusuwowego silnika. Smith spojrział w tamtą stronę: od Grumantu płynęła łódka. Natychmiast podniósł karabin, otworzył zamek i potrząsnął bronią, aby się upewnić, że w lufie nie ma wody. Zamknął, wprowadzając nabój do lufy, przystawił broń do ramienia i strzelił - w stronę morza, by sternik przypadkiem go nie przeoczył. Łódź płynęła prosto na niego.

Pięćdziesiąt metrów od kamienia sternik zgasił silnik i wziął się

do wiosła. Niedługo później Smith rozpoznał brodatego Fiodora Wasiliewicza.

- Wskakuj, malczuk, do łódki, kiedy mnie fala przypchnie, tylko bystro!

Opancerzona blachą burta zgrzytnęła o skałę, Smith skoczył, łódź zakotłosała się, ale nie nabrała wody. Fiodor Wasiliewicz wziął się do wiosła, kilkoma długimi pociągnięciami odsunął łódź od lądu, szarpnął za linkę, motorek zaterkotał i popłynęli. Rosjanin ściągnął z grzbietu starą tielogriekę, pewnie pamiętającą jeszcze szturm na Berlin, i podał Smithowi.

- Spasibo. Specjalnie po mnie popłynęliście, Fiodorze Wasiliewiczu? - zapytał, akompaniując sobie dzwoniącymi zębami i otulając się watowaną kufajką.

- Tak toczno. Towarzysze powiedzieli, że poszliście plażą, patrzę przez okno i widzę: przyływ się właśnie zaczął. Myślę sobie, wychłodzi się Austriak na śmierć, szkoda by było. Ale wyście niegłupi, widzę, schroniliście się na kamień, doczekalibyście odpływu.

- Dziękuję wam serdecznie, Fiodorze Wasiliewiczu - powiedział Smith.

- Nie ma za co, Johann Wilgelmowiczu. Tu, w Arktyce, ludzie muszą sobie pomagać.

Dalej płynęli w milczeniu. Rosjanin nie przybijał do portu, lecz wpłynął aż w deltę Adventelvy i wysadził Smitha może kilometr od jego baraczku w Haugen. Pożegnali się serdecznie, z uśmiechem i uściskiem dłoni. Smith nie ufał Ruskiemu za grosz.

Wrócił do baraku, z ulgą ściągnął mokre i słone od morskiej wody ubrania i wrzucił do umywalki, stanął pod prysznicem i długo polewał się gorącą wodą, aż dreszcze ustąpiły. Potem zrobił sobie herbaty, popił nią pół szklanki samogonu, połknął aspirynę. Sprawdził, czy pod materacem jest pistolet i koperta, leżały nienaruszone, położył się więc, colta wsunął pod poduszkę i przykrył się po uszy pledami. Postanowił nie ujmować dzisiejszej przygody w raporcie, bo nie przynosiła mu chwały. Sięgnął jeszcze po portfel, wyciągnął fotografię, przesunął palcami po matowym papierze.

- Było dzisiaj bardzo blisko, mamó. I tak głupio - wyszeptał.

Zasnął szybko, zaciskając dłoń na kolbie pistoletu.

Fiodor Wasiliewicz płynął zaś po wzburzonym fiordzie, czasem ocierając się pancerną burtą o mniejsze kry, w przedmierzchowym czerwonym świetle, które nie przejdzie w noc, tylko przeciągnie się aż do świtu, aż wszędzie dzień wśród śnieżnych czap Isfjorden rozświetlanych w pełnej palecie pomarańczów i róż. Palił sobranie, marzył o batiuszce carze, którego unizonym sługą byłby z największą rozkoszą, i patrzył, jak słońce próbuje dotknąć horyzontu. Coraz bliżej końca dnia, coraz bliżej końca dnia...

## ROZDZIAŁ 4

Zbyszek Gorzewski i Jasio Barcz znali się jeszcze sprzed wojny, ze studiów na Uniwersytecie Warszawskim i korporacji Arkonia. Po wojnie burszowska przeszłość poszła w skrzętne zapomnienie, ale przyjaźń jakoś się ostała wbrew czasom, które nie sprzyjały przyjaźni, i kiedy Zbyszek, geolog, otrzymał od Staszka Siedleckiego w styczniu pięćdziesiątego siódmego roku zaproszenie do udziału w wyprawie na Spitsbergen, udało mu się wciągnąć w to przyjaciela, glaciologa.

Chociaż był styczeń, to trwał ciągle Październik. Zbyszka po dwóch latach wypuszczono z więzienia. Żona zostawiła go po aresztowaniu w 1950 i wyjechała do Francji. Nie winił jej za to, przed wojną nie wychodziła za nędzarza, który siedzi w więzieniu, tylko za człowieka z towarzystwa, zamożnego i szanowanego. Gorzewski po wyjściu z ubeckiej tury przez parę miesięcy żył jak ktoś, kto nie istnieje - zawieszony w pustce oddychającej polityką stolicy, bez żadnej orientacji w jej zawiłościach. Wreszcie dostał pracę w Instytucie Geofizyki PAN, tam spotkał znajomego z przedwojennych czasów, Staszka Siedleckiego, który korzystając z najcieplejszego okresu odwilży, przepchnął kandydaturę Gorzewskiego - przedstawił go jako wybitnego apolitycznego specjalistę prześladowanego zupełnie bezpodstawnie przez UB. W nieoficjalnych rozmowach rzucił coś o „różańszczyźnie” - i jakoś się w odwilżowym zamieszaniu udało. Akowska przeszłość Zbyszka po Październiku już go nie dyskwalifikowała.

Zbyszek pociągnął za sobą Jaśka Barcza, który po wojnie przyczał się cichutko na marginalnym stanowisku na uniwerku, a o swojej przeszłości w NSZ nie wspominał nawet żonie która pojawiła się w odbudowywanej Warszawie Bóg wie skąd i była jedną z beneficjentek społecznego awansu wczesnej PRL

Pod tym względem Październik nie zmieniał niczego. Tym bardziej nie wspominał o marszu przez Śląsk, Czechy aż do Bawarii, który odbył jako podporucznik czasu wojny z Brygadą Świętokrzyską, zbrojnie i smutno w niemieckim mundurze z odprutymi naszywkami i z orzełkiem na starej rogatywce, niepasującej kolorem do bluzy. Potem razem z kolegami służył w polskich Kompaniach Wartowniczych pod amerykańskim dowództwem, w ufarbowanym na czarno brytyjskim battledressie z naszywką „Poland”. Koledzy wybierali emigrację, Janek chciał wrócić, pułkownik Bohun nie aprobował tej decyzji, ale pomógł załatwić fałszywe dokumenty dipisa. Wrócił do kraju w czterdziestym szóstym, a dziesięć lat później w UB chyba dalej nikt nie wiedział o przeszłości docenta Barcza.

Nie zwierzył się z niej również Gorzewskiemu, chociaż była między nimi specjalna więź jeszcze z czasów studenckich. Uniwersytet, Arkonia i towarzyskie kontakty z falangistami Bola Piaseckiego połączyły ich wspólnotą doświadczeń. Picie wódki z paroma inteligentnymi bepistami miało również inny skutek: na Gorzewskiego zwrócił uwagę Szlomo Zerubawel, bundysta, student prawa i człowiek odważny.

Tak się złożyło, że parę dni później, przy okazji przepychanki w sprawie wyegzekwowania getta ławkowego, pewien rosły falangista złamał Zerubawelowi nos i żebro. Szlomo dwa tygodnie dochodził do siebie i kiedy w końcu wydobrzył, postanowił dokonać zemsty. Miał nielegalny brauning, na szczęście pistolet znalazła mama Zerubawela i schowała głęboko, aby jej synek nie wplątał się w kłopoty. Chcąc nie chcąc, poszedł więc Szlomo w nocne miasto, zbrojny jedynie we własnoręcznie wyszlifowany kastet. Mieszkali jeszcze w dzielnicy żydowskiej, chociaż rodzina była shaskalizowana już od dwóch pokoleń, ojciec Szloma nawet przymierzał się do zakupu mieszkania w pięknych luksach gdzieś na Mokotowie. Zerubawel ruszył więc w miasto. Szedł ulicą Nalewki, przy bramie do ogrodu na tyłach pałacu Krasieńskich przystanął, aby zapalić, lecz kiedy sięgał do kieszeni po papierośnicę, na ścieżce ogrodu zauważył Gorzewskiego wystrojonego jak na bal, leniwie przechadzającego się między ławeczkami pustego nocnego parku.

Nie znał nazwiska, nie wiedział nawet dokładnie, kto to, ale zapamiętał twarz - ten facet zadaje się z falangistami, którzy jemu, Szlomowi, złamali nos i żebro! Niezauważony prześlizgnął się za bramę i kryjąc się między drzewami, zbliżył do swojego wroga. Wtedy wsunął palce w otwory mosiężnego kastetu, zacisnął pięść i chociaż był ateistą, pomyślał sobie, że teraz jego pięść stanie się jak ośła szczęka w ręku Samsona, którą pokarze tego filistyna w cylindrze. I pokarał.

Kastet otaczający palce Szloma mosiężnymi pierścieniami nie

był wykonany właściwie, Szlomo pochodził z dobrej adwokackiej rodziny i nie wiedział, jak dokładnie powinien wyglądać kastet. Dlatego razem z zuchwą Gorzewskiego pękły również dwa palce młodego bundysty i obaj - samson i filistyn - jednocześnie wrzasnęli z bólu. Filistyn Gorzewski upadł na ziemię, trzymając się rękami za brodę, samson Zerubawel zaczął podskakiwać na ścieżce, ściskając lewicą okutą uszkodzoną prawicę, lecz oprzytomniał szybko, ból wypełnił go świętym gniewem, podbiegł więc do zbierającego się z ziemi studenta i kopnął go w gojski brzuch, mszcząc się za swoje złamane żydowskie żebro. Kopnięcie aż przewróciło Gorzewskiego na plecy, spadł mu z głowy szapoklak i potoczył się po ścieżce, a biały jedwabny szal nasiąkł brudną wodą z parkowej kałuży.

Na szczęście dla filistyna z drugiej strony nadchodził właśnie Jasio Barcz, również odziany wieczorowo - frak, biała muszka i kamizelka, cylinder po ojcu, biały szal przerzucony na plecy. Do parku podjechał tramwajem z Żoliborza, resztę drogi pokonał piechotą. W ogrodzie wyznaczył miejsce spotkania z kolegą Gorzewskim, który zamieszkiwał na Starówce. Mieli spacerkiem pójść sobie do Adrii, napić się zmrożonej wódki na parterze, zakąsić, a potem na dół, w podziemia, na dansing z obrotowym parkietem, gdzie piękne fordanserki tylko czekają na szykownych dżentelmenów. I na dole trochę potańczyć, poprzytulać się do dziewczyn, po czym zabrać je ze sobą, wskoczyć do taksówki i dalejże na róg Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej, gdzie „pokoje umeblowane” - jak głosi szyld - portier o mordzie dziobatej wynajmuje chętnie na

godziny, o czym szyld już nie wspomina.

Teraz Barcz widział całą scenę, Szlomo Zerubawel zaś, zabijaka niezbyt doświadczony, wcale go nie zauważył, Jasiek ruszył zatem biegiem, minął stawek w ogrodzie, laskę chwycił w dwie ręce i biorąc zamach jak kijem do krykieta, zdzielił Zerubawela w łeb.

Może po ostatniej bijatyce na uniwersytecie Szlomowi został w mózgu jakiś krwiak, a może po prostu miał słabą czaszkę, Barcz ani Gorzewski nigdy nie widzieli raportu z sekcji - w każdym razie rażony w głowę dzielny bundowiec upadł, kopnął parę razy czarną ziemię ścieżki, mosiężnego kastetu nie wypuścił z ręki i umarł szybciotko w ciszy przerywanej tylko ciężkim oddechem Barcza.

Obaj studenci zbiegli z ogrodu niewidziani przez nikogo, tej nocy nie zaszli już do Adrii, rozstali się szybko i wrócili pospiesznie do rodzinnych domów. I nikt nigdy nie połączył ich ze sprawą śmierci Szloma Zerubawela, która przez parę miesięcy rozpaliała na równi syjonistów, bundowców, jak i wszelkiej maści antysemitów. Wybito w imię tej śmierci trochę zębów, wyrwano trochę kudłów, rudych, blond i czarnych jak smoła, złamano jedną rękę i trzy nosy, w tym jeden z wydatnym garbem, jeden zwyczajnie zadarty i jeden aryjsko prosty (acz akurat tkwiący w twarzy należącej do szczerego Żyda), a potem przyszła wojna, winnych nie znaleziono i wszyscy zapomnieli o biednym Szlomie, któremu życie odebrała przedwojenna skłonność Barcza do hecy - bo to jego pomysłem było wystroić się na ten wieczór we fraki i cylindry. Gdyby poszli na dziwki ubrani w zwykłe garnitury, Barcz w ręku nie niósłby laski z gałką, która odebrała



Zerubawelowi szanse na ułożenie reszty życia tak, jak ułożyli sobie jego rówieśnicy.

Nie dane mu więc było szczeznąć w niemieckim obozie ani dać się zastrzelić Litwinom w Ponarach. Nie uciekł też do Nowego Jorku, gdzie mógłby zostać anarchistą, artystą lub kapitalistą, nie zbiegł również do Związku Sowieckiego, skąd mógłby wrócić do Polski Ludowej w mundurze czerezwyczajki, jako wierny uczeń polskiego szlachcica Dzierżyńskiego. Zamiast napisać zmierzchami i porankami kolejnych dziesięcioleci jedną z tych biografii, Szlomo skonał w ogrodzie na tyłach pałacu Krasieńskich i wszystko, co mógł mu przynieść dwudziesty wiek, zostało mu wtedy odebrane. Mamele i tatele Szloma przeżyli wojnę pod Otwockiem, w stodole należącej do zapiekłego antysemity, który nie starał się ich złupić do gołej skóry i brał od nich pieniądze tylko za wyżywienie. Antysemityzmu w ogóle się nie wyrzekał, chociaż odnosił go raczej do ortodoksyjnych pejsaczy śmierdzących cebulą, nie do eleganckich państwa z Warszawy, którzy chwilowo zamieszkiwali u niego na sianie. Kiedy sobie podpił, mówił, że ratuje Żydów, których nie znosi, bo to są jego Żydzi i Niemcom wara od nich. W rzeczywistości był samotnym, smutnym człowiekiem i ukrywał ich, potrzebował bowiem towarzystwa i poczucia, że jest jeszcze komuś potrzebny.

W czterdziestym szóstym Zerubawelowie wyjechali do Palestyny, oszczędziwszy ułamek przedwojennego majątku, i sami już nie wiedzieli, czy to dobrze, że ich synowi przyszło umrzeć w trzydziestym ósmym, czy raczej traktować to wydarzenie należy w

kategoriach pecha.

Śmierć Szloma Zerubawela połączyła Barcza i Gorzewskiego dziwną przyjaźnią. Gorzewski nieświadomie dokonał pewnego logicznego nadużycia i uznał, że Barcz uratował mu życie. Był mu za to nieskończenie wdzięczny i jak tylko mógł, wdzięczność tę starał się mu okazywać. Jasiek czuł sympatię do Gorzewskiego tym większą, im mocniejsze było podświadome przekonanie, iż jest zależny od jego milczenia.

Potem przyszła wojna, która ich rozdzieliła, po wojnie spotykali się parę razy w czterdziestym siódmym i czterdziestym ósmym, Barcz był wtedy sparaliżowany irracjonalną myślą, że ktoś mógłby odkopać sprawę Szloma - który wtedy stałby się bez wątpienia socjalistą Samuelem zatłuczonym w parku na śmierć przez faszystowskich pałkarzy - i w jakiś tajemniczy sposób dotrzeć do samego Barcza, który wyrobił w sobie przekonanie o nadludzkich możliwościach безпеki. Kiedy Gorzewski trafił do więzienia za AK, Barcz bał się jeszcze bardziej, że Gorzewski sypnie i opowie o tej lipcowej przedwojennej nocy.

O tę noc jednak nikt Gorzewskiego nie pytał.

Kiedy płynęli na Svalbard na pokładzie okrętu hydrograficznego Polskiej Marynarki Wojennej OH „Bałtyk”, zatłoczonego naukowcami i załadowanego sprzętem, dzieląc kajutę z sześcioma innymi polarnikami, nie mogli swobodnie porozmawiać o starych sprawach. Nikt się oczywiście nie afiszował przywiązaniem do bolszewizmu, ale nikt też na razie nie pozwalał sobie na otwarte

manifestowanie dystansu do panującej ideologii, nie znali się bowiem na tyle dobrze. Raz tylko przez przymknięte drzwi kajuty Staszka Siedleckiego słyszał Barcz, jak kierownik wyprawy - Siedlecki właśnie - opowiadał o swoich wątpliwościach co do Gomułki komuś, kogo nie było zza drzwi widać ani słyszać. Entuzjizm Października mijał dość szybko, ale wtedy właśnie Barcz po raz pierwszy usłyszał, że ktoś mówi głośno, iż cała ta odwilż to tylko mydlenie oczu, a Polska dalej jak była, tak jest sowiecką kolonią. Jasiek wówczas uciekł szybko, ponieważ bał się nawet słuchać takich rzeczy. Siedleckiego nie znał, nie wiedział, czy to nie jest jakaś prowokacja.

Potem, kiedy wpłynęli do Isbjørnhamma i zaczęła się budowa stacji, nie było czasu na rozmowy - spali w namiotach, które jak wiadomo, nie są dźwiękoszczelne. Na płaskiej nadmorskiej równinie pozostawały na razie dwie ekipy, letnia i zimowa, budując dom, w którym dziesięciu zimowników ma przetrwać kolejnych trzynaście miesięcy. Atmosfera się rozluźniła dopiero, kiedy „Bałtyk” odpłynął, a z nim ekipa letnia i marynarze - bądź co bądź uzbrojeni przedstawiciele władzy ludowej.

Szybko okazało się, że wśród całej załogi stacji jest tylko jeden komunista, Mirosław Maliński, młody, powojenny już biolog z doktoratem o teorii dziedziczenia Trofima Łysenki. Młodzian stał się przedmiotem żartów i drwin kolegów naukowców, szczególnie na tle łysenkizmu. Najbardziej zawzięty był nań radiotechnik, Antek Zakrzewski - regularnie zapytywał Malińskiego z charakterystycznym zagajeniem:

- Szanowny panie kolego, chciałem zaproponować dokonanie eksperymentu, który w sposób spektakularny obali burżuazyjną genetykę mendlowską. Otóż złapiemy, panie kolego szanowny, niedźwiedzia polarnego i zaczniemy go karmić sianem. Kolega Darek będzie wszystko filmował i będziemy sobie obserwować, jak się niedźwiedź zamienia w krowę. A jeśli nie on, to jego potomstwo przynajmniej. Skoro pokrzewkę ogrodową wystarczy karmić gąsienicami, aby otrzymać kukułkę, to z niedźwiedziem także udać się powinno, czyż nie? Najlepiej, swoją drogą, aby to była niedźwiedzica, to i świeże mleko będzie dla stacji, nieprawdaż?

Maliński pochodził z prostej rodziny, gdzie nie ceniono ciętego języka, nie potrafił zripostować, nie miał nawet poczucia humoru, potrafił jedynie odburknąć, że nie mają żadnego siana i że on jest botanikiem, po czym z zaciętym wyrazem twarzy siedział bez słowa przez parę minut, aby w swoim mniemaniu zachować twarz. Wreszcie wychodził, a żegnały go salwy śmiechu. Któregoś dnia Antek złapał larusa, wielką mewę, ze złamanym skrzydłem. Zawiązał jej na szyi sznurek jak smycz i wręczył uroczyście Malińskiemu, mówiąc, że przyda im się w stacji, oprócz dwóch owczarków podhalańskich, trzeci piesek, więc niechże szanowny kolega będzie łaskaw przejść się parę razy z tym larusem na spacer. Wabi się Azor. Aha - i niech mu przypadkiem nie wyjdzie dog ani terrier, bo te rasy się na Spitsbergen wcale nie nadają. I znowu zgodny chór bezczelnego, odważnego rechotu, chociaż dowcip nie był przecież wcale wyszukany.

Komunista zacisnął zęby i wyszedł z pachnących jeszcze

świeżością budynków. Był jednym z zimujących i wiedział, że nie będzie mu lekko w ciągu tych trzynastu miesięcy. Ukształtował się na komunistycznych przypowieściach o dzielnych pionierach i Pawlikach Morozowach, toteż w swoim naiwnym postrzeganiu świata był głęboko przekonany, iż bycie komunistą i członkiem partii zobowiązuje do nieustannego samodoskonalenia i rozwoju duchowego. Był w zasadzie poczciwy, postanowił zatem wtedy, że dowiedzie kolegom, których światopogląd warunkowały burżuazyjne przesady, iż jest dobrym naukowcem, porządnym człowiekiem, i w taki właśnie sposób przekona ich do wielkości idei Marksa i Lenina. Był więc uczynny i koleżeński, a przy okazji czasem, niezgrabnie jak cholera, wtrącał coś w rodzaju: „Co by powiedział o tym Lenin...”. Starsi i cwańsi koledzy natychmiast rozgryźli jego zamiar i bezwzględnie go wykorzystywali, zaśmiewając się przy tym zeń zupełnie otwarcie. Tylko Barcz bał się trochę, co będzie po powrocie do ludowej ojczyzny, dlatego starał się zbytnio Malińskiemu nie dokuczać.

Cała reszta załogi komunizmu szczerze nie znosiła. Raczej nie z powodów ideowych, paru kolegów polarników należało nawet do partii z koniunkturalnych względów, co nie przeszkadzało im o tejże partii wyrażać się - daleko od ludowej ojczyzny, ubeków i podsłuchów - z najwyższą pogardą. Nie znosili komunizmu, bo w przeciwieństwie do Malińskiego, pochodzącego z mazowieckiej wiejskiej biedoty, pamiętali dobrze czasy przed wojną, pamiętali, jak wyglądały sklepy, restauracje, trzy poziomy i obrotowy parkiet w

„Adrii”, pamiętali, jak się żyło wtedy, za tej okropnej sanacji, i wiedzieli przecież, jak się żyje dziś, w powojennej biedzie, siódmy rok w tej samej jesionce na grzbiecie. Niektórzy z nich wyjeżdżali już po wojnie na seminaria, czy sympozja na Zachód, do Francji, do Stanów nawet, i doskonale się orientowali, jak wygląda wyzysk człowieka przez człowieka w kapitalizmie. Potem, czując ciężar partyjnej legitymacji w kieszeni garnituru, mówili - tylko w zaufanym towarzystwie - że w kapitalizmie jest wyzysk człowieka przez człowieka, a w socjalizmie na odwrót. We Francji koledzy profesorowie pokazywali im Paryż z okien zabójczo nowoczesnego Citroëna ds, pływającego na hydropneumatycznym zawieszaniu nad paryskim brukiem miękko jak latający dywan, i wypytywali o motoryzację w Polsce. Cóż im mieli odpowiedzieć? Że właśnie cały naród świętuje uruchomienie produkcji syreny, pierwszego samochodu w pełni polskiej konstrukcji, który ze swoim dwusuwowym silnikiem do Citroëna ma się jak Kielce do Paryża? Że polski profesor samochodem jedzie wtedy, kiedy UB go zwinie z ulicy na przesłuchanie? Że warszawy na sowieckiej licencji służą partyjnym kacykom za symbol ich feudalnego statusu niczym zielone bugatti przedwojennym hrabiom? Więc nic nie mówili, a partyjne legitymacje w kieszeni ciążyły jeszcze bardziej.

O śmierci Szloma Zerubawela Jasiek Barcz i Zbyszek Gorzewski porozmawiali dopiero, kiedy „Bałtyk” po raz drugi odpłynął do Gdyni, tym razem już na długie dziesięć miesięcy, zabierając na swoim pokładzie letnią ekipę. W stacji, którą budowali przez te długie

trzy miesiące, pozostało dziesięciu polarników, dwa owczarki podhalańskie, ciągnik gąsienicowy mazur, samochód terenowy gaz, trzy dieslowskie agregaty prądotwórcze i bateria akumulatorów z okrętu podwodnego. Wcześniej, chociaż wychodzili ze stacji na długie, czasem kilkutygodniowe wyprawy, nigdy nie złożyło się tak, by wyszli razem, porozmawiali więc o tym w pokoju Barcza, sami, przyciszonymi głosami, uścisnęli sobie dłonie, jakby odzyskali i scementowali na nowo swoją przyjaźń, po czym wybrali się tylko we dwójkę w stronę Gasbreen. Gorzewski chciał pobrać próbki skał z moreny czołowej lodowca, a Barcz zgłosił się na ochotnika, aby mu towarzyszyć. Wzięli strzelbę i sztucer - na wypadek spotkania z niedźwiedziem, ale chcieli również zapolować, na foki i może na ptactwo. Była akurat wolna łódź, nie musieli zatem płynąć chybotliwą dingą, zapakowali się do „Morsa” opancerzonego blachą - przeciwko krom. Zakrzewski pomógł im zepchnąć łódź do wody, rozebrali się do majtek, chociaż było chłodno, lecz nie chcieli płynąć w mokrych spodniach. Wskoczyli w końcu do łodzi, wiosłami odepchnęli się od brzegu, odpalili dwusuwowy silniczek i popłynęli przez fiord, sycąc się dobrą pogodą. Zakrzewski nie miał nic innego do roboty, siadł więc na pustej beczce po ropie i patrzył, jak terkocząca coraz ciszej łódź maleje coraz bardziej.

Po dwóch dniach łodzią wrócił sam Jasiek Barcz. Przerażony. Wyłączył silnik, kiedy tylko widać było dno, wskoczył w spodniach do wody, wyciągnął łódź na kamienie tyle, ile dał radę, po czym pobiegł do stacji, wpadł do pomieszczenia, jak stał, w mokrych

spodniach, anoraku i czapce uszance. Polarnicy akurat jedli obiad. Barcz wysapał, zdyszany:

- Zbyszek... zaginął! Nie widzieliście rac? Strzelałem!

Łyżki, zarówno pełne konserwy z sosem, jak i te puste, powracające z ust do talerzy, zastygły w powietrzu. W mesie zapanowała cisza ciężka od kuchennych zapachów. Tylko Szalas, owczarek podhalański, leniwie podniósł się spod stołu i poczłapał do Barcza, który dysząc, stał wsparty o futrynę.

- Jak to: zaginął? - przerwał ciszę Maliński głosem piskliwym z podniecenia.



## ROZDZIAŁ 5

Obudziło go pukanie. Bardzo delikatne i uprzejme, jakby w drzwi pukała obsługa w paryskim „Ritzu”. Pokojówka z „Ritza”, piersiasta brunetka w czarnej sukience, w białym fartuszku i czepeczku. Pończoszki i krągłe pośladki pod sukienką. „Monsieur...” - szepcze speszona, kiedy podchodzi do niej i obejmuje ją w talii.

Kurwa mać!...

Usiadł na łóżku. Westchnął, przetarł oczy, wciągnął suche spodnie i otworzył. Na drewnianym schodku przed drzwiami nie było pokojówki z paryskiego „Ritza”, niestety, stał tam natomiast we własnej osobie Egil Tønnessen, gubernator całego Svalbardu zarządzający nim w imieniu dochodzącego swoich dni Haakona VII, ukochanego króla wszystkich Norwegów. Królewski zarządca nie nosił dziś galowego munduru, lecz odziany był w pikowaną kurtkę, czapkę uszankę i wysokie gumowe buty. Do pasa przypiął kaburę z coltem, takim samym jak pistolet Smitha, przez pierś przebiegał mu pas od sztucera.

- Good morning, mister Smith - zagaił, po czym nie czekając na odpowiedź, przedstawił sprawę: Polacy zimujący na Hornsundzie zgłosili właśnie przez radio zaginięcie jednego z członków wyprawy. Trzeba się tam wybrać i zorganizować poszukiwania, Smith będzie miał zatem okazję odwiedzić Hornsund. Ponieważ jest sezon letni, wyprawa popłynie gubernatorskim stateczkiem, drugim, obok psiego zaprzęgu, środkiem transportu pozostającym w dyspozycji sysselmanna.

Gubernator przedstawiał całą sytuację swoją kanciastą angielszczyzną, nie odrywając wzroku od blizny na nagim torsie Smitha, która deformowała wyblakły tatuaż. Blizna poniżej prawego obojczyka była bez wątpienia po kuli - wklęsnięcie w ciele głębokie na dwa palce, o nierównych brzegach, przebijało wykluty niebieską farbą blady rysunek kotwicy oplecionej węzem morskim.

Pół godziny później Smith w pożyczonych od gubernatora suchych gumowych butach stał na pokładzie małego motorowca. Na pomalowanej białą i czarną farbą nadbudówce, na przedniej ścianie kapitańskiego mostka, widniało godło Królestwa Norwegii: złoty lew z toporem na czerwonej tarczy. I nazwa statku: „Nordsyssel”. Nadbudówka, za mostkiem niższa o piętro, ciągnęła się aż po rufę stateczku, zadaszając pokład na całej swojej długości śmiesznymi arkadami, które łączyły się z falszburta wzdłuż burt i dookoła rufy. Na tej części nadbudówki zamocowano dwie szalupy i mniejszy z dwóch masztów, jakby do bezana; na pokładzie dziobowym wyrastał większy, przy którego stendze jak na starym żaglowcu tkwiło bocianie gniazdo. Maszty miały nawet pełen takielunek, ale Smith wątpił, aby kiedykolwiek stawiano na nich żagle.

Do poszukiwań zaangażowano połowę sił policyjnych na całym Svalbardzie - to znaczy, gubernator wybrał się osobiście, ponieważ jego zastępca miał gripę. Na statku był jeszcze sternik, mechanik i kapitan, mistycznie złączeni w jednej osobie mrukliwego Norwega z żółtą brodą, oraz osobny marynarz, niechętnie pełniący również rolę stewarda i kucharza - na wyraźny rozkaz kapitana z obrażoną miną

podgrzał na gazowej kuchence cztery konserwy, po jednej na każdego na pokładzie, i zaserwował je wraz z grubą pajdą chleba.

Zgrabny stateczek dziarsko pruł fale Isfjorden, od słabej fali kołysało się drzewce bomu przy przednim maszcie, nie dość mocno ściągnięte szotem czy topenantą. Smith mógł podziwiać szeroką, wygodną i suchą plażę wzdłuż płaskowyżu Fuglefjella, na którym wczoraj o mało nie postradał życia. Był prawie pewien, że nikt nie widział przybijającej do nabrzeża łódki Fiodora Wasiliewicza, nie opowiadał więc gubernatorowi o swojej przygodzie. Zastanawiał się, czy przyznać się, że zna polski - stwierdził, że gdyby ukrył znajomość tego języka, mógłby co prawda podsłuchać jakieś poufne rozmowy polskich polarników, niemniej korzyści byłyby o wiele mniejsze niż niedogodności w komunikacji z naukowcami z Hornsundu, przed którymi musiałby udawać, że zna tylko angielski, rosyjski i niemiecki. Poza tym jego angielszczyzna nie była przecież doskonała - była bardzo dobra, ale nie doskonała, nie mówił jak native speaker. W kołysce słuchał ojca mówiącego do matki i do niego po polsku oraz matki mówiącej do obu swoich mężczyzn po niemiecku, oboma tymi językami od dziecka władał biegle, a kiedy skończył sześć lat, jeszcze zanim wybuchła wojna, potrafił je nawet skutecznie rozróżnić i rozdzielać. W szkole od kolegów nauczył się jeszcze rozumieć miejscowy wernakularny dialekt, lecz nigdy go nie używał - matka nie odróżniała go od normalnej polszczyzny, a dla ojca była to polszczyzna zdeformowana, część dzieciństwa, którą porzucił, kiedy z biedaka stał się zamożnym przemysłowcem, tuzem katowickiej

socjety.

Kiedy więc sysselmann wyszedł na pokład stateczku, by dotrzymać towarzystwa tajemniczemu naukowcowi z Wielkiej Brytanii, ten rzucił od niechcienia, że zna polski, więc chętnie może się zająć tłumaczeniem. Gubernator wcale się nie zdziwił, w końcu człowiek, który chce badać społeczność polskich polarników - jeśli dziesięć osób to już społeczność - powinien znać polski. Nie wypytywał, skąd Smith go zna.

Czekał ich długi rejs, ponad sto dwadzieścia mil morskich, a motorowiec nie robił więcej niż osiem węzłów. Za Kapp Starostin wypłynęli z Isfjorden na wolne dziś od kry otwarte wody Morza Grenlandzkiego i sternik obrał kurs na południe, prawie wzdłuż trzynastego południka. Smith zmarzł na mocnym wietrze, toteż wszedł na mostek, gdzie było cicho i pachniało tytoniem z fajki, którą kopał stojący przy sterze szyper. Zaczęło padać, więc stary marynarz uruchomił mechanizm obrotowej szyby, pełniący taką samą rolę jak wycieraczki w samochodzie - okrągły wycinek środkowego z pięciu przednich okien mostka kręcił się z dużą prędkością, siłą odśrodkową wyrzucając krople deszczu. Diesel dziarsko terkotał, zagłuszając pokrzykiwanie paru mew, które w płonnej nadziei na posiłek ciągnęły za stateczkiem. Ocean był ciemnogrnatowy, lekko rozkołysany w szerokie, leniwe fale, w które dziób gubernatorskiego motorowca wbijał się raz za razem, ich powierzchnię wiatr marszczył jeszcze w falki drobniutkie, biegnące w zupełnie innym kierunku.

Obok szypra, przy stole nawigacyjnym, stał gubernator, niby

studiując mapy, ale więcej niż w papiery, patrzył na morze. Żeby przerwać milczenie, Smith rzucił niedbale temat dwóch spotkanych górników, Kjella Kraga i Haakona Sammlinga. Podobno Krag walczył na Svalbardzie podczas wojny?

Nie zakładał oczywiście, że Tønneson zna każdego z półtora tysiąca spitsbergeńskich górników, a jednak gubernator kojarzył nazwiska i zaraz sam wyznał, że pamięta ich obu, bo ich przyjaźń wydała mu się dziwna. Krag to Norweg kolski, który najpierw uciekł bolszewikom kutrem swojego ojca, a potem był bohaterem wojennym, ewakuował się do Szkocji i przez całą wojnę walczył z Niemcami, osobiście strzelał do „Tirpitz”, kiedy pancernik rozwałał Longyearbyen. Smith z uprzejmości nie zapytał, jaki sens miało mieć strzelanie do bliźniaka „Bismarcka” z działa kaliber siedemdziesiąt sześć milimetrów, zapytał natomiast, cóż to za etnos - Norwedzy kolscy? Gubernator wytłumaczył, że to potomkowie Norwegów spod Vardo, którzy w XIX wieku osiedlili się na półwyspie Kola zaproszeni przez cara. Potem dostali się pod władzę bolszewików, którzy zamknęli wszystkich w kołchozie.

- Wie pan, co to kołchoz, panie Smith? - wypytywał gubernator.

W każdym razie Krag porwał kuter swojego ojca i uciekł z Rosji. I tak samo potem, w czasie wojny, nie dał się Niemcom wziąć do niewoli, dzięki czemu awansował na lokalnego bohatera.

Przyjaźń ich była o tyle dziwna, że Sammling z kolei miał epizod kolaborancki. Nie wiadomo, gdzie dokładnie i jak, w każdym razie w niemieckim mundurze dostał się do niewoli amerykańskiej. No i taka

przyjaźń: quislingowiec kolaborant i bohater wojenny. Smith dobrze wyczuł ton głosu Tønnesona, kiedy ten mówił o kolaboracji - nie trzeba było nawet się wsłuchiwać, wystarczyło widzieć, jak z pogardą wydyma wargi. Pospieszył więc natychmiast ze zdziwionym pytaniem:

- Panie gubernatorze, bez obrazy, ale jak to możliwe, że pozwalacie pracować tutaj kolaborantom?

Gubernator rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Ze Svalbardu kolonię karną chcieli zrobić Anglicy, tyle że wszyscy więźniowie wymarli pierwszej zimy - tłumaczył. - Teraz też brakuje chętnych do pracy tutaj mimo wysokich pensji. Dlatego, panie Smith, kiedy ktoś podpisuje kontrakt, nie pytamy go o przeszłość.

Tymczasem lewa burta „Nordsyssela” przesuwała się wzdłuż nabrzeżnej równiny Nordenskiöldland, potem minęli Bellsund i płynęli wzdłuż wybrzeża Ziemi Wedela. Przestało padać.

- Tutaj, na Svalbardzie, prawdziwy deszcz nigdy nie trwa długo. Parę godzin najwyżej. Few hours, at the most. Co innego mżawka. O, mżyć może nawet tygodniami - powiedział po angielsku gubernator.

Smith nie podjął, rozmowy o pogodzie, pokiwał tylko uprzejmie głową i pomyślał o czekoladzie, zszedł więc, po paru godzinach gapienia się na horyzont, pod pokład, zajrzał do plecaka, zjadł pół tabliczki czekolady, popił kawą z termosu, zapalił jeszcze papierosa i położył się spać.

Obudził go huk, jakby wystrzał z potężnego działa albo odległy grom. Zerwał się z koi, spojrzął na zegarek, był już wieczór, chociaż

słońce oczywiście stało jeszcze wysoko nad horyzontem. Wypadł na pokład.

- What's going on? Co się dzieje? - zapytał sysselmanna, który siedząc oparty o nadbudówkę, czyścił pistolet i właśnie biedził się z wkręceniem łożyska lufy w zamek.

- Nic. Lodowiec Torella się cieli - odparł Egil, skinieniem głowy wskazując Smithowi kierunek, w którym powinien się obrócić.

Za lewą burtą, w odległości może trzystu metrów od statku, wprost z morza wyrastała białoniebieska fantastycznie ukształtowana ściana lodowca, pełna załamań, szczelin, firnowych wież i nawisów. Przed nimi w wodzie kołysał się wielki kawał lodu, z którego z pluskiem obsypywały się jeszcze do morza małe lawiny zamarzniętego rumoszu.

Jednostajny łomot diesla nagle zelżał, sternik musiał pociągnąć dźwignię mocy silnika w dół. Zgrzytnęła opuszczana szyba, brodata kapitańska głowa w wełnianej czapce wychyliła się z okna na mostku razem z prawą ręką i szyper wrzasnął coś po norwesku, wskazując palcem na lewo od kursu. Smith spojrzał w tamtą stronę, ale nie zauważył niczego, gubernator już patrzył przez lornetkę.

- Kapturzik - oświadczył z myśliwską emocją pobrzmiewającą w głosie. - Poluje pan?

Smith nigdy wcześniej nie polował, przynajmniej nie na zwierzęta. Stwierdził jednak, że przynajmniej będzie okazja wypróbować karabin w trudnych warunkach. Skinął więc głową, pobiegł do kajuty po broń i wrócił zaraz, przeładowując karabin.

Szyper „Nordsyssela” i kuk stali już przy maszcie, gapiąc się na fokę przez lornetki. Smith poszukał celu lunetką. Dopiero po chwili udało mu się uchwycić fokę w soczewce na dłużej niż ułamek sekundy - zwierzę było wielkie i opasłe, leżało na boku na wielkiej krze dryfującej powoli wzdłuż czoła lodowca. Prawa płetwa wisiała w powietrzu niczym kikut kaleki, nad pyskiem sterczała narośl charakterystyczna dla tego gatunku foki - od niej właśnie pochodziła nazwa: kapturzik.

Śruba nie pchała już gubernatorskiego motorowca do przodu, dryfował powoli, podnosząc się i opadając na fali, w podobnym rytmie chybotwała się kra z foką. Strzał był arcytrudny. Sto metrów. Smith usiadł na dziobie, oparł łożę mauzera o fałszburtę tuż przy dziobnicy, a łokieć o kluzę cumy, zaparł się stopami, usztywnił i obraz w lunecie mauzera kołysał się już tylko razem z falą. Powoli odnalazł ją celownikiem i przez parę amplitud fali obserwował, jak krzyż celownika przebiega po futrze foki, jasnym w ciemne plamy, jak wzór kamuflażu na mundurze spadochroniarza. W myśli przeliczył odległość, dołożył poprawkę na ruch statku i kry, przy piątej fali nacisnął na spust i chybił haniebnie. Choć zwały sadła na pozór sugerowały ociężałość, na dźwięk strzału foka płynnym ruchem zsunęła się z kry do wody. Gubernator za kapitanem i kucharzem zarechotali radośnie, jakby pudło było czymś nadzwyczajnie zabawnym. Smith stłumił złość, uśmiechnął się przepaszająco i odniósł karabin do kabiny.

Kapitan zwiększył obroty diesla, stateczek szarpnął i ruszył do



przodu, a po paru sekundach Smith poczuł miękkie uderzenie w stalową burtę. Na pokładzie gubernator wrzasnął coś po norwesku, Smith wybiegł z kabiny i zobaczył, jak Tønnessen szarpie się z klapą kabury. Chwilę trwało, nim zatrask puścił, w końcu gubernator zdołał wyciągnąć kolta, przeładował, wycelował za burtę i nacisnął na spust, ale strzał nie padł. Smith przypomniał sobie instruktora, tępego Amerykańca odpowiedzialnego za wyszkolenie strzeleckie w Kompaniach Wartowniczych. Facet był tępy, umiał za to uczyć i kiedy Smith, który w tamtych czasach nie używał oczywiście nazwiska „Smith”, po raz pierwszy otoczył palcami kolbę czterdziestki piątki, kapral Jeremiah Johnson powiedział: „Do not pull the trigger, squeeze it”. „Nie ciągnij spustu, ściskaj go”. Święta racja, sir! Pan gubernator ciągnie za spust, zamiast go ściskać, nie trzyma rękojeści dość pewnie i automatyczny bezpiecznik uniemożliwia oddanie strzału. Gubernator zaklął po norwesku i przeładował, wyrzucając zupełnie dobry nabój z komory. Smith był już przy fałszburcie ze swoim koltem w dłoni.

W granatowoczarnej wodzie dwa metry od „Nordsyssela” płynął kapturzik, jego jasna nakrapiana skóra odcinała się od ciemnej toni. Diesel terkotał, statek robił dobre pięć węzłów, zwierzę jednak nie tylko bez trudu utrzymywało taką prędkość, lecz nawet zdawało się wyprzedzać motorowiec. Kiedy głową zrównało się z dziobem statku, zaatakowało ponownie, w bezsilnej furii uderzając tłustym półtonowym cielskiem o stalowe burty. Statkiem zatrzęsło troszkę, ale oczywiście foka nie była w stanie go uszkodzić. Smith z uznaniem

pomyślał o odwadze zwierzęcia i wyobraził sobie, jak by wyglądała sytuacja, gdyby płynęli nie „Nordsysselem”, tylko łodzią, chociażby taką, w jakiej Rusek z Grumantu przybył mu na ratunek. Kapturник rąbnał w statek ponownie, Smith wycelował, strzelił, trafił w kark, tuż za głową, strzelił ponownie, trafił w korpus. Foka szarpnęła się, jeszcze raz uderzyła w statek, a Smith strzelał dalej, aż opróżnił magazynek. Żółtobrody Norweg przesunął manetkę silnika na pozycję „stop” i wypadł z nadbudówki, łapiąc bosak o zaostrozonym haku. Zdażył, choć zwierzę już tonęło, zaczepił zakrzywione ostrze o jego nozdrze i przyciągnął zdobycz do burty. Gubernator wepchnął swój pistolet z powrotem do kabury i pomógł kapitanowi - za pomocą liny, wielokrażka i silnych ramion Smitha udało im się wciągnąć potężne cielsko na pokład. Norweg ułożył fokę głową w kierunku rufy i poderżnął jej gardło, aby się wykrwawiła. Pokład obficie spłynął krwią.

Dalsze opracowanie zwierzęcia zostawili na potem, aż wrócą do Longyearbyen. Gubernator, jak się Smithowi zdawało, miał pewne wątpliwości, chciał coś powiedzieć o całym zajściu na pokładzie, być może w kwestii posiadania przez Brytyjczyka broni krótkiej, ale zrezygnował i nie rzekł nic. Płynęli dalej.

Minęli lodowiec Torrella i szli znowu na południowy wschód, aż przed dziobem wyrosły płaskie, pokryte trawą i gniazdami Wyspy Ptasie. Kapitan nie chciał iść przez wąską cieśninę oddzielającą niewielki archipelag od zatoki Nottingham, wziął zatem kurs na południowy zachód, tak że ominęli wyspy lewą burta, na wschód

kierując się dopiero na wysokości przyładka Russepynten, kiedy brzeg ustąpił i otwarły się wrota do Hornsundu. Kapitan wybiegł na dziób i przez lornetkę długo patrzył na powierzchnię morza, badając warunki lodowe w zatoce - uspokojony wrócił do sterówki.

Słońce zachodziło już od paru godzin, czarne zbocza surowych gór, z białymi pasmami wiecznego śniegu, nabierały teraz różowego blasku. Poniżej, jak ramka dla granatowych wód fiordu, ciągnął się cienki pasek rudozielonej nadmorskiej tundry, fiord zaś był czysty, lód nie upstrzył fal białymi plamami.

Szli po Hornsundzie jeszcze dobre dwie godziny, aż minęli wyniosły Przylądek Wilczka, na którym widać było jasnoszare deski husa - zbitej byle jak traperskiej chatki, która w rodzinnym mieście Smitha ledwo uszłaby za kurnik. Za przyładkiem nazwanym imieniem austriackiego hrabiego kapitan wyłożył ster na lewą burtę, skręcili mocno na północ, kilwater za rufą spienił się w ciasnym zawijasie i po paru minutach kołysali się na spokojnych teraz wodach Zatoki Białego Niedźwiedzia. Na płaskiej równinie nadmorskiej stał niski długi barak, zbudowana wielkim niewątpliwie wysiłkiem siedziba polskiej stacji polarnej. Nad barakiem wyrastały maszty radiowe, przez pożyczoną od sysselmana lornetkę Smith zauważył parę krzątających się postaci ludzkich w ciemnych ubraniach; w pewnym oddaleniu od stacji długie rzędy beczek, pewnie z ropą do agregatów - z komina w małej szopce nieopodal wydobywały się dieslowskie spaliny; po drugiej stronie szereg białych skrzynek meteorologicznych ze ściankami z deskowych żaluzji. Między ludźmi dokazywał owczarek

podhalański.

Gubernator wsunął ładunek do niemieckiej raketnicy o kolbie wygiętej jak rękojeść kowbojskiego rewolweru, wystrzelił. Nad polską stacją rozbłysnęła zielona flara, płonęła w locie parę sekund i zgasła, aby spaść na ziemię wypalonym zewłokiem z grubego kartonu.

Motorowiec sysselmanna miał dwie szalupy, ale gubernator wolał poczekać, aż Polacy przyślą swój transport. Polacy dostrzegli racę i po jakimś czasie z plaży zepchnięto sporą łódź, wskoczyło do niej dwóch polarników, uruchomili motor i podpłynęli do gubernatorskiego statku.

Na pokładzie motorowca pozostała dwuosobowa załoga, gubernator zaś i Smith wsiedli do opancerzonej przeciwko krom łódki, na której burcie wypisano nazwę „Mors”. Za sterem siedział brodaty blondyn, Smith nie umiał rozpoznać wieku, ale facet na pewno był przed czterdziestką. Drugi polarnik był starszy, gładko ogolony, spod wełnianej czapki wystawały przydługie szpakowate włosy. Obaj nosili takie same brezentowe anoraki, bure, wciągane przez głowę, pod szyją sznurowane.

- Dzień dobry - powiedział Smith.

- Oooo, Polak! - ucieszył się sternik „Morsa”. - Witam rodaka!  
Moje nazwisko Juszcak, Bronek Juszcak.

Wysupłał prawicę z jednopalczastej rękawicy i wyciągnął do Smitha. Ten uściśnął dłoń Juszcaka i przedstawił się:

- John Smith. Jestem Brytyjczykiem, mój ojciec był Polakiem, a matka Austriaczką - powiedział, kłamiąc tylko troszeczkę, mama

bowiem była Niemką, z Austrią nie miała nic wspólnego. Wiedział jednak, że dla Polaków „Austriaczka” brzmi sympatycznie, kojarzy się z dobrotliwym Franciszkiem Józefem i belle époque, słowo „Niemka” zaś brzmi jak obelga.

- Zakrzewski, radiowiec - powiedział krótko drugi polarnik i również wymienił ze Smithem uścisk dłoni.

W tym momencie obaj Polacy zdali sobie sprawę z niestosowności swojego zachowania: przywitali się najpierw z tłumaczem tylko dlatego, że mówił po polsku, zignorowali zaś gubernatora. Tönnessen na szczęście nie był osobą, która przykładałaby jakąś wyjątkową wagę do swojej funkcji, przyglądał się więc powitaniom i słuchał z uśmiechem tego szeleszczącego języka.

- How do you do, sir! - odezwał się Zakrzewski.

Juszczak pospieszył również z powitaniem i przez chwilę w chwiejącej się na svalbardzkich falach łodzi wymieniano uprzejmości, jakby przemarznięci polarnicy znajdowali się w błyszczącym polerowanym mahoniem wnętrzu angielskiego klubu dla dżentelmenów.

Po dziesięciu minutach zrobiło się nieco mniej dżentelmeńsko, bo wszyscy, nie wyłączając gubernatora, musieli wysiąść do sięgającej ud lodowatej wody i trudzić się z wyciąganiem łodzi na plażę.

Smith przezornie zdjął spodnie i buty - dzięki temu kiedy „Mors” znalazł się w końcu na brzegu, nie musiał reszty dnia spędzać w mokrym ubraniu. Oporządziwszy pospiesznie łódź, ruszyli w stronę

baraku stacji. Obok pomieszczenia z agregatami stał zaparkowany buldożer na gąsienicach i sowiecki otwarty samochód terenowy. Tundra porastająca ziemię od plaży do stacji rozorana była gąsienicami i oponami pojazdów w nieregularne, przecinające się bruzdy. Nowy mech i porosty nie zdążyły się jeszcze pojawić w zmielonej ubogiej glebie.

Weszli do baraku. Ściany z gołych desek były ledwie widoczne spod obfitości szafek, półek i schowków, na środku stał długi stół otoczony prostymi ławami, a przy stole siedzieli brodaci w większości mężczyźni, wszyscy w sile wieku, nie młodszy niż trzydzieści lat i nie starsi niż pięćdziesiąt, odziani w kraciaste koszule, swetry i wełniane podkoszulki w różnych kombinacjach. Najwyraźniej dbali o higienę, bo w powietrzu nie wisiał zapach potu charakterystyczny dla takich męskich zgrupowań. Wnętrze stacji nie pachniało najlepiej, ale był to zapach marnego tytoniu, oleju napędowego i stęchłych ubrań suszących się na grzejnikach ropnego pieca.

Kiedy Tönnessen i Smith zszuli buty i stanęli w drzwiach, polscy polarnicy rzucili się do wylewnych powitań, acz ze względu na sytuację pozbawionych zwykłej takim obrządkom radości. Kiedy sześciu ścigało się z wyciąganiem dłoni i wygłaszaniem lepszą lub gorszą angielszczyzną swoich „how do you do, sir”, „good evening, sir”, „nice to meet you, sir”, jeden siedział wyniośle przy stole, spoglądając demonstracyjnie w inną stronę. Zakrzewski, który z Juszcakiem wszedł do budynku za gośćmi, zauważył spojrzenie Smitha i szepnął mu na ucho:

- To bolszewik jest, komuch i do tego dureń, łysenkista Nie chce się bratać z imperialistami.

Smith nagle zrozumiał, skąd ta wyszukana elegancja na łodzi, skąd wymuszony angielski odkurzony nagle po dwudziestu prawie latach. Ci przedwojenni najczęściej ludzie, przed wojną wychowani i wykształceni, z rodzin, których nowy ustrój nie rozpieszczał, chcieli dowieść przybyszom, że należą do ich świata, bo też przecież kiedyś należeli. Może nie do tego świata, który jeździł buickami, alfa romeami czy hispano-suizami z figurką żurawia na chłodnicy, ale przecież ojciec Smitha, katowicki self-made man, miał własnego polskiego fiata 508. A razem z jedenaściorgiem rodzeństwa był rodem z Nieboczów, małej, zalewanej przez Odrę wsi pod Raciborzem. I pewnie ci brodacze w kraciastych koszulach też pochodzili z rodzin, które latem wyjeżdżały z Warszawy na wieś, może nawet swoim samochodem. A teraz czytają w tygodnikach porady, jak przerobić jesionkę, aby dało się ją nosić ósmy rok na grzbiecie. Smith sam widział taką gazetę - w Szwajcarii mieli w Firmie prenumeratę czasopism zza żelaznej kurtyny, przychodzących co prawda z opóźnieniem, i takie porady ukazywały się w różnych pismach kobiecych. Zamiast radzić, jak być piękną, radziły, jak przetrwać. Więc brodacze przypominają sobie przedwojenne kursy angielskiego i prezentują nienaganną kindersztubę przed sysselmannem, który jako europejski prowincjusz, zdaje się nawet tego nie dostrzegać.

Kiedy już powitanie stało się zadość, kierownik wyprawy, rudawy geolog nazwiskiem Kumor, zapytał pozornie od niechcienia:

- Rozumiem, że reszta ekipy poszukiwawczej została na statku?

Smith spodziewał się tego pytania. Dwóch ludzi - on i gubernator - to niezbyt imponujące siły do poszukiwania zaginionego. Przetłumaczył zadane po polsku pytanie gubernatorowi, ten pokiwał głową zafrasowany i zaczął się tłumaczyć z niedostatków sił i z zastępcy, który ma ciężką grypę. Ku zaskoczeniu Smitha polarnicy, chociaż również zmartwieni, po prostu przyjęli informację do wiadomości. Przystąpiono do omawiania planu poszukiwań.

Najpierw Barcz opisał dokładnie swoją z Gorzewskim wyprawę, w którym miejscu się rozdzielili, jaki mieli dalszy plan i kiedy mieli się spotkać. Dalej gubernator, stukając w mapę gumką ołówka, zaproponował podział na cztery dwuosobowe grupy i obszar poszukiwań. Transport grup na drugą stronę Hornsundu - statkiem gubernatorskim. Dodatkowo ze statku będą strzelane race i kapitan będzie patrolował brzeg, prowadząc stałą obserwację przez lornetkę. W bazie zostają trzy osoby potrzebne do stałej obsługi. Grupy poszukiwawcze zabiorą ze sobą zapasy i sprzęt biwakowy na tydzień. Kontakt stacji z motorowcem gubernatora zapewni mała radiostacja na statku.



## ROZDZIAŁ 6

Pakowanie trwało dwie godziny, następnie „Mors” w dwóch turach przewiózł nowo mianowanych ratowników na pokład „Nordsyssela”, a kiedy już wszyscy byli zaokrętowani, szyper zapuścił diesla, podniósł kotwicę i poszli na drugą stronę Hornsundu, na Sørkappland. Tam wyokrętowali się szalupą na płaski podmokły brzeg zatoki Gåshamna, obóz założyli w traperskiej chacie w kiepskim stanie, zapasy schowali w miejscu nieco oddalonym i podzielili się na grupy. Uzgodnili kolory i kombinacje flar: czerwona - „pomocy”, ale tylko w warunkach uzasadniających nadanie sygnału SOS; biała - „wracajcie do obozu, znalazł się”; dwie białe - „znalazł się, czekamy tutaj”; zielona - „potwierdzenie”. Podzielili raketnice między siebie i ruszyli. Pierwsza tura poszukiwań miała trwać trzy doby, po tym czasie wszyscy mieli wrócić do obozu i zdać relację. Jedna z grup - Barcz z Juszcakiem - wzięła ze sobą psa, owczarka podhalańskiego imieniem Szalas. Psisko obwąchiwało kurtę Gorzewskiego i wszyscy liczyli, że zdoła pomóc. Zakrzewski wyraził wątpliwość, iż podhalań to pies pasterski, nie myśliwski, więc gdzie mu tam do tropienia, ale reszta zgodnie uznała, że pies to pies, innego nie ma, zawsze jakoś pomóc może.

Smith poszedł razem z gubernatorem trawersem po zboczu masywu Savitsjtoppen i Kovalevskifjellet, ponad doliną, którą wypełniał lodowiec. Po siedmiu godzinach marszu, w czasie których nie rozmawiali wiele, rozbili obóz między Górą Kowalewskiego a Górą Gawriłowa i zmęczeni bez zwłoki poszli spać.

Rano Smith, zabrał tylko karabin i lornetkę i wspiął się na Gavrilovfjellet. Szczyt wznosił się zaledwie na jakieś sześćset metrów nad poziomem morza, ale sprawiał wrażenie znacznie wyższego, ponieważ razem z całym pasmem Gór Struvego wyrastał wprost z płaskiej nadmorskiej równiny. Cztery szczyty

- Hohenlohefjellet, Sergiejefjellet, Lidfjellet i Gavrilovfjellet - wszystkie w kształcie regularnego stożka, wyglądały jak wykreślone przez dziecko. Nazywało się to pasmo Górami Struvego, lecz Smith nie miał pojęcia, o którego Struvego chodzi: o astronoma czy o rosyjskiego polityka. Ze szczytu Gawriłowa długo obserwował otoczenie przez lornetkę, jednakże nie zauważył niczego, co mogłoby być zaginionym Gorzewskim.

Zszedł do obozu, gubernator właśnie gotował wodę na benzynowej maszynie, która kopciła okrutnie, pokrywając zewnętrzne ścianki czarnej menażki kolejnymi warstwami sadzy. Smith zdał Egilowi sprawę ze swojej wycieczki na szczyt, po czym siedli na plecach, wypili po kubku kawy i zjedli śniadanie złożone z niesmacznego chleba i konserw. Smith zapalił sobramę, poczęstował towarzysza, Norweg przyjął z chęcią, palili w milczeniu. Tønnessen nagle coś sobie przypomniał i nie wypuszczając papierosa z ust, zaczął grzebać w plecaku, aż dogrzebał się do piersiówki obciągniętej skórą. Odpiął sprzączkę i zdjął dwa miniaturowe kieliszeczki z korka, odkręcił, nalał i wręczył Smithowi jeden. Wypili. Smithem wstrząsnęło z obrzydzenia. Alkohol z dodatkiem kminku i chyba anżyku stanowił nieznośną kombinację smakową.

- Akvavit. Narodowy napój Norwegów - uśmiechnął się gubernator.

Smith podziękował wylewnie za poczęstunek, ale obiecał sobie, że więcej na tę normańską okowitę się nie skusi. Na szczęście zostało mu trochę kawy w kubku, kiedy zatem gubernator zajął się czym innym, Smith zapił wstrętny absmak resztką letniej lury z cukrem.

Byli już spakowani i obmyślali razem marszrutę nad mapą, kiedy na masywem Gór Struvego wytrysnęła bezgłośnie biała raca i zawisła na spadochronie, opadając powoli. Znaleźli go. Zaraz poszła druga. Czekaają. Gubernator odpalił zieloną racę i ruszyli szybko w stronę nabrzeżnej równiny przełęczą między Lidfjellet a Sergeijeivfjellet. Po trzech godzinach byli już po drugiej stronie masywu.

W niebo znowu poleciały dwie białe race, tak że wiedzieli już, w którą stronę mają się kierować, chociaż nie widzieli jeszcze ludzi. Dojrzeli ich po kolejnych dwóch godzinach, najpierw przez lornetkę, pochylonych nad czymś leżącym na tundrze. Obok pętał się biały owczarek, a więc byli to Barcz z Juszcakiem.

Niewątpliwie właśnie oni mieli największe szanse na znalezienie Gorzewskiego - mieli psa, poza tym Barcz był ostatnią osobą, która widziała zaginionego, zanim się rozdzielili: glacjolog Barcz chciał powtykać swoje tyczki w lodowiec Gås, a geolog Gorzewski ruszył na południe nadmorską równiną Sørkappu.

Kiedy wreszcie Smith z gubernatorem, idąc miękką tundrą, pokonali dzielący ich od Barcza i Juszcaka dystans, ujrzeli, gdzie skończyła się podróż Gorzewskiego.

- Jesteście pewni, że to on, panowie? - zapytał Smith.

Barcz milczał, ciągle wyraźnie wstrząśnięty. Juszcak wskazał palcem na trupa, już miał coś powiedzieć, lecz zaciął się, jak zacinają się jękający, jeszcze przed pierwszą głoską słowa, które chciał wymówić, aż zamknął usta z wysiłku, starając się wydusić to słowo.

Gorzewski nie miał twarzy, tylko krwawe zarysy czaszki z przerażająco pustymi dołami oczodołów. Był również wypatroszony, resztki jelit wylewały się na podarty watowany anorak.

- Obróciliśmy go - wydusił w końcu Juszcak. - Leżał na brzuchu. Niedźwiedź go zeżarł.

- Niedźwiedź zeżarł, lisy dojadły, co zostało - dodał Barcz.

Smith przetłumaczył słowa polskiego polarnika gubernatorowi. Ten odpowiedział i Smith tłumaczył dalej:

- Gubernator mówi, że musimy go zabrać do Longyearbyen, i pyta, gdzie jego broń.

Barcz wstał z klęczek.

- Mieliśmy dwie sztuki, boka i sztucer. Ja wziąłem sztucer, bo schodząc z lodowca chciałem zapolować, Gorzewski miał wziąć strzelbę, ale zostawił ją w łodzi. Namawiałem go, żeby zabrał, ale on mówił, że w lecie niedźwiedzie są daleko na północy, żaden się tu nie włóczy, a on i tak będzie miał do noszenia czterdzieści kilogramów próbek geologicznych w plecaku, więc nie będzie się jeszcze obciążał strzelbą. - Wyrzucił to z siebie szybko, rytmicznie, słowo po słowie, jak karabin maszynowy wypłuwa kule.

- Gdyby Staszek Siedlecki został w stacji, nie doszłoby do tego -

powiedział ponuro Juszczak.

- Kto? - zainteresował się Smith, chociaż wiedział doskonale, że chodzi o znanego polskiego polarnika. Siedlecki już przed wojną zrobił trawers Spitsbergenu i był organizatorem i szefem wyprawy, która zbudowała stację. Wrócił jednak do Polski na pokładzie OH „Bałtyk”, ostatnim rejsiem przed zimą. Oficjalnie na skutek choroby, a faktycznie, jak twierdził raport, który Smith czytał w Firmie przed wyjazdem, na skutek jakichś zakulisowych politycznych gier nierozpoznanej natury.

- Siedlecki. Był szefem wyprawy, ale wrócił do kraju z letnią zmianą. Kierownikiem został jego zastępca, Kumor - wyjaśnił Juszczak.

- To moja wina - nagle zrozumiał Barcz. - Nie przekonywałem go za bardzo, żeby wziął tę strzelbę. Staszek na pewno by mu nie pozwolił chodzić bez broni.

Smith przetłumaczył, gubernator pokiwał głową ze zrozumieniem i rytualnie zaprzeczył, kiedy usłyszał tłumaczenie zdania, w którym Barcz obwinił się za śmierć kolegi. Następnie wydał dyspozycje: zabiorą zwłoki na plażę i będą strzelać race tak długo, aż zauważy je kapitan „Nordsyssela”, wtedy szalupą przetransportują ciało na statek. Potem razem ruszą na południe w poszukiwaniu niedźwiedzia, którego koniecznie trzeba zabić - gubernator ze Smithem na statku, Barcz i Juszczak plażą.

Na wpół pożartego trupa ostrożnie położyli na pałatce płachtę starannie zasznurowali i zanieśli szczątki Gorzewskiego na plażę.

„Nordsyssel" musiał również zauważyć race, bo przez lornetkę widać go było na horyzoncie, szedł z południa. Strzelili jeszcze kilka rakiet, aby dokładnie oznaczyć swoją pozycję - widać było, że gubernatorski motorowiec zbliża się powoli. Z gór zeszły pozostałe dwie grupy, które też musiały zauważyć race, i po sześciu godzinach nad pożartym Gorzewskim zgromadzili się już wszyscy, a sto metrów od brzegu na sinych falach Atlantyku kołysał się „Nordsyssel". Ciało Gorzewskiego przewieźli szalupą na pokład i złożyli na dziobie, między kabestanami z łańcuchami kotwicznymi. Niczym ciało normńskiego wodza - tyle że nie podpała statku, jak wikingowie podpalali drakkar pogrzebny.

Gubernator, kierownik Kumor i reszta polarników partiami popłynęła na statek. Na lądzie został Smith, na własne życzenie, i Barcz, który czuł się odpowiedzialny za śmierć kolegi. Obaj uzbrojeni: Smith miał pistolet i sztucer, polski polarnik krótkiego mosina z lunetą na bocznym montażu i raketnicę.

Ruszyli brzegiem założywszy, że niedźwiedź niechętnie zapuszczał się będzie w głąb lądu. „Nordsyssel" powoli, z dieslem na pół naprzód, płynął wzdłuż plaży. Na dziobie stał majtek kuk z lornetką wypatrujący niedźwiedzia w wodzie. Oczywiście wiedzieli, że zwierzę równie dobrze może być dwieście kilometrów dalej w każdą w zasadzie stronę, ale gubernator twierdził, że głodujące latem niedźwiedzie, które nie zdążyły na cofający się pak, niechętnie przemierzają wielkie odległości, nie mają bowiem wystarczających zapasów energii. Na Gorzewskim miś się wiele nie posilił, dlatego Tönnessen był przekonany, że może być gdzieś w pobliżu,

rozgrzebując gniazda w poszukiwaniu jaj i piskląt i szperając na plaży w poszukiwaniu czegoś zdatnego do jedzenia: martwego szczenięcia białuchy, żywej fokki, śniętej ryby czy buta marynarskiego.

Uzgodnili nowy system komunikacji: czerwona raca - jak zwykle SOS, zielona - „niedźwiedź” z następującą po niej białą, wyznaczającą kierunek, w jakim niedźwiedzia zauważono. Biała w górę - „zatrzymujemy się”. Dwie białe w górę ze strony Smitha i Barcza: „przyślijcie szalupę”. Ustalili również, że będą stale utrzymywać kontakt wzrokowy za pomocą lornetek, tak że bardziej skomplikowane wiadomości będzie można nadać chorągiewkami alfabetem semaforowym lub morsem. Smith pożałował szybko, że przyznał się do biegłości w obu kodach, semaforowym i w alfabecie Morse'a, bo gubernator podejrzliwie spojrział na rzekomego socjologa. Smith wytłumaczył się, że pamięta jeszcze z czasów służby w marynarce. Szczęśliwie Norweg nie dopytywał, jaka to była marynarka i kiedy Smith w niej służył. Na statku nie było chorągiewek do kodu semaforowego, więc zaimprovizowano dwa komplety z czerwono-żółtych flag z Międzynarodowego Kodu Sygnałowego - flaga „Oscar” wywieszona na statku oznacza co prawda człowieka za burtą, ale nie można się było spodziewać zbyt wielu jednostek pływających w okolicy, nie musieli się zatem obawiać nieprawidłowej interpretacji sygnału.

Do zmierzchu zostało kilka godzin. Szli pospiesznie na południe, co jakiś czas lustrując widnokrąg przez lornetki. Obaj byli solidnie zmęczeni, dlatego nie rozmawiali wiele, wsłuchując się raczej we

własne ciała, w granie mięśni ud przy każdym kroku, w uderzenia serca, w plecy przygięte pod brzemieniem plecaka. Smith przyzwyczał się już do marszu i po dwóch kwadransach zdołał osiągnąć to specyficzne odrętwienie, które pamiętał z treningów w Szkocji - idzie się, nogi przestawiają się same, krok niezbyt szybki, oczy wbite w ziemię, wzrok przesuwa się po gruncie bez żadnej refleksji, a w głowie żadnej myśli, nic. Nie czuje się wtedy zmęczenia ani znużenia, człowiek staje się zwierzęcy trochę bardziej niż zwykle, idzie tak, jak bizon przemierza prerię, nie rozmyślając przecież o kolorze nieba i traw. Jest w tym zwierzęctwie pewna nauka, nauka o człowieku i jego fizycznej kondycji. I dobrą salą wykładową dla tej nauki jest Arktyka, jedyna część ziemi, którą człowiek nigdy do końca nie zawładnął, ostatni kawałek świata, po którym musi chodzić uzbrojony nie przeciwko innemu człowiekowi, lecz strzegąc się stworzeń potężniejszych od rodzaju ludzkiego; gdzie musi chronić się przed zimnem i ciemnością w wątych budkach, podczas kiedy krwawi białofutrzy królowie polarni przemierzają kraj lodów, nie zważając na lodowaty wiatr i wodę. Jedynie tu, na czubku Ziemi, przypomnieć możemy sobie odległy czas, kiedy Koroną Stworzenia byliśmy tylko potencjalnie, kiedy nasze oszczepy pękały na grubej skórze włochatych nosorożców, a kości nasze, równie kruche, miażdżone były pod słupami nóg mamucich. Kiedy szliśmy bezkresną puszczą, a różowe ciała naszych dzieci nocą znikwały w potężnych paszczach hien i niedźwiedzi, kiedy byliśmy tylko rozrzuconymi po tej zawieszanej w próżni kuli bandami słabych małych zbrojnych w



zaostrzone kije. Nieśliśmy już wtedy w sobie tę wielkość, która uczyniła z nas władców Ziemi, lecz nie było jej jeszcze widać.

Smith był jednak pewien, że gdyby ludzkość zechciała wypowiedzieć niedźwiedziom polarnym wojnę lub gdyby ich skóra stała się towarem pożądanym bardziej od słoniowej kości, zdołano by je wystrzelać wszystkie nawet w dziesięć lat.

Oni szli, „Nordsyssel” zaś płynął powoli wzdłuż brzegu, cały czas w zasięgu wzroku. Kiedy słońce dotknęło w końcu Atlantyku, Smith rozwinął chorągiewki i czekał, Barcz zaś obserwował statek przez lornetkę.

- Patrz, teraz! - powiedział po chwili.

Smith skrzyżował chorągiewki na wysokości krocza, sygnalizując początek nadawania, po czym powoli rozkładał ramiona do góry, na boki i po przekątnych, nadając prosty komunikat: „NEED REST CAMP HERE”. Chcemy odpocząć, rozbijamy obóz. Podniósł do oczu lornetkę. Kapitan wylazł ze sterówki i niedbale machnął chorągiewkami po lewej stronie, potem po lewej i do góry, nadając dwie litery: „OK”.

Rozstawili pałatki, rozesłali śpiwory, Barcz rozpalił małe ognisko z drewna dryftowego. Smith podgrzał sobie konserwę, nie wyjmując jej z puszki, polski polarnik poszedł w jego ślady. Zjedli szybko, ustalili kolejność wart - ze względu na niedźwiedzia, który mógł się zjawić w nocy - i Jasiek Barcz poszedł spać. Smith siedział na wielkiej okorowanej kłodzie, którą na brzeg bezdrzewnego Svalbardu przygnały pewnie prądy z ujścia jakiejś wielkiej

syberyjskiej rzeki. Dokładał co jakiś czas do ognia porąbanych szczapek, popijał herbatę i patrzył na zegarek, kontemplując zwalniający z każdą minutą czas. Najpierw nie myślał o niczym, potem przez głowę przebiegały mu jakieś chaotyczne, poszarpane wspomnienia, jakby poza świadomością: dom, matka, Szkocja, znowu dom, zupa, je zupę, stukanie kół pociągu i deski, między którymi leży, znowu dom, cela, przesłuchanie, wymiana w Berlinie, koszary i Waldek na akordeonie gra „Czerwone maki na Monte Cassino”...

I nagle coś zrozumiał. Widział już kiedyś Jana Barcza. Nie wiedział kiedy ani gdzie, ale gdzieś już go widział. Był tego pewien i zaczęło go to dręczyć - aż do końca swojej wachty usiłował sobie przypomnieć, skąd zna twarz Barcza; potem się zmienili, Smith przez chwilę przyglądał się polarnikowi i jeszcze przez parę kwadransów nie mógł zasnąć, obsesyjnie przeglądając wspomnienia w poszukiwaniu tej dość pospolitej twarzy.

Zobaczył ją zaraz po przebudzeniu, kiedy tylko otwierał oczy - Barcz pochylał się nad nim, potrząsając go delikatnie za ramię.

- Czas iść, kolego.

Smith mruknął coś nieartykułowanego, usiadł w posłaniu, potarł oczy kułakiem, domacał się twardego kształtu colta, po czym wstał przeciągając się, aż trzasnęły kręgi między łopatkami.

Zjedli szybko śniadanie i spakowali obóz. Smith chorągiewkami nadał do „Nordsyssela” wiadomość, że ruszają - i poszli.

Dzień dopiero się zaczął, byli wypoczęci, toteż Smith poprosił:

- Niech pan opowie o życiu w Polsce.

Barcz milczał przez chwilę, rozważając, co odpowiedzieć.

- A kiedy był pan w Polsce po raz ostatni?

- Przed wojną - skłamał Smith. - Rodzice wyjechali z Katowic w trzydziestym ósmym.

- A więc pan ze Śląska... - zamyślił się Jasio Barcz, który na Śląsku był tylko raz w życiu, kiedy z Brygadą Świętokrzyską przebiegał się do Czech.

- Tak, z Katowic.

- Teraz, wie pan, wszystko jest inaczej. Przed pięćdziesiątym szóstym było gorzej, dużo gorzej. Wie pan, ja jestem tylko doktorem, specjalizuję się w glaciologii, a nawet u nas przed pięćdziesiątym szóstym była polityka. Tak jakby lodowce były klasowo świadome. Teraz, za Gomułki, jest już inaczej, odpuścili trochę, ludzie odetchnęli, wyszli z nor i tylko, rozumie pan, szarość ta sama. Szarość, brud i ubóstwo.

- A bezpieka? - zaryzykował Smith.

Barcz spojrział nań przez ramię, aby zobaczyć jego wyraz twarzy. Smith po prostu był zadowolony.

- No, bezpieka... Wie pan, niby Różański siedzi w pierdlu, Fejgin niby też, ale i tak wszyscy się dalej boją kapusiów. MBP już nie ma, jest MSW, Urzędu Bezpieczeństwa też niby nie ma, tylko coś tam nowego zrobili. Ale konfidenci, rozumie pan, są wszędzie. Człowiek się boi z nieznajomym gadać.

- Ze mną się pan nie boi - zauważył Smith.

- Bo pan emigrant. Jeszcze ze Zbigiem dało się tak pogadać, ale

z nim to się przyjaźnimy... no, przyjaźniliśmy się jeszcze przed wojną. W korporacji razem byliśmy, w Arkonii, rozumie pan. Tylko o tym proszę nie wspominać nikomu, bo teraz u nas w Polsce były korporant to tylko trochę lepiej niż folksdojcz.

Smith pokiwał głowę. Przecież nie będzie miał facetowi za złe, że Niemców nie lubi - ani mamie, że w połowie czterdziestego pierwszego podpisała folkslistę, II kategorię.

- A pan z Anglii... - zmienił temat Barcz i znów przyjrzał mu się badawczo. - Na Andersa pan chyba za młody, prawda?

Smith zaczął się obawiać, czy jego rozmówca również nie przypomina sobie skądś jego twarzy.

- Tak, trzydziestki jeszcze nie mam. Ojciec był z kolei za stary, w trzydziestym dziewiątym stuknęła mu sześćdziesiątka, jestem późnym dzieckiem. A pan co robił w czasie wojny?

Barcz zawahał się chwilę, po czym skłamał, tak jak kłamał od dwunastu lat.

- Walczyłem we wrześniu, a potem byłem wywieziony do Niemiec na roboty. Do kraju wróciłem w czterdziestym szóstym jako dipis.

- Po co pan wracał pod władzę bolszewików? - zdziwił się Smith.

- Wie pan, ja nie wiedziałem, tam, w Niemczech, jak to wszystko w kraju wygląda. W czterdziestym szóstym to było jeszcze przed wyborami, w kraju był Mikołajczyk, myślałem, że będzie jakoś inaczej. Wiedziałem, że będą Ruscy i socjalizm, ale socjalizmu ja się

wtedy aż tak nie bałem. Myślałem, że da się jakoś normalnie żyć.

- A czemu pan teraz nie ucieknie?

- Panie, żonę mam w Warszawie i dzieci, synek trzy lata, córeczka sześć miesięcy dopiero. Mam ich tam zostawić samych, na szykany, na biedę?... Teraz, proszę pana, już za późno jest.

Świsnęło i na siwym niebie rozbłysnęła zielona gwiazda.

- Raca!... Niedźwiedź! - krzyknął Barcz.

Poszła druga, biała, nie w górę, lecz nad ziemię, do przodu, mocno do przodu. Zrzucili plecaki, z samą tylko bronią i lornetkami truchtem ruszyli przed siebie. Po stu metrach Smith przystanął, by spojrzeć przez swojego zeissa.

Na kamienistej plaży rozciągały się wielkie zwały różowosinej substancji. Smith nie miał pojęcia, co to jest, lecz przy tych zwałach, wyglądających przez lornetkę jak ogromna poleć poprzerastanej żyłkami słoniny, krzątał się mały wychudzony niedźwiedź.

- Osiemset metrów - powiedział Smith.

Barcz już patrzył przez lunetę swojego mosina.

- Za daleko - stwierdził.

Smith kiwnął głową. Ruszyli do przodu. Wiatr był południowy, w twarz, więc niedźwiedź na pewno ich nie poczuje. Oni zaś poczuli dość wyraźny smród ciągnący od dziwnej substancji na plaży. Nie było jednak czasu na komentarze.

- Dobrze pan strzelasz? - zapytał Smith w biegu.

- Radzę sobie - wydyszał Barcz skromnie, aczkolwiek był przekonany, że strzelcem jest rewelacyjnym, chociaż oczywiście przez

ostatnie jedenaście lat nie strzelał wcale. Dopiero tutaj, na Szpicu, brał karabin i paczkę naboju, szedł daleko w Revdalen, aby nie niepokoić kolegów, ustawiał kamienie i strzelał: na sto metrów, dwieście, czterysta, przypominając sobie umiejętność, z której kiedyś musiał tak często korzystać.

Smith zatrzymał się na czterystu metrach. Spojrzał przez lunetę karabinu. Niedźwiedź dalej był przy sinych zwałach.

- Strzelamy - zdecydował.

Usiadł na ziemi, zawinął lewym przedramieniem pas nośny mauzera, oparł broń o kolano, przytulił policzek do kolby, dopiero teraz przeładował. Barcz zrobił to samo i mruknął po angielsku do siebie, pod nosem:

- Lock and load.

Smith usłyszał te dwa słowa wojskowej komendy - „zabezpieczony i załadowany” - i doznał olśnienia. Przypomniał sobie, gdzie widział Barcza. Strzelnica Civilion Guard Training Center „Kościuszko” pod Heidelbergiem, czarne angielskie battledressy, białe wyposażenie, białe hełmy, stoi ich dwudziestu, amerykański kapral w płowym mundurze wrzeszczy: „Lock and load!”. A oni wciskają ładowniki z ośmioma nabojami w rozwarte paszcze garandów, po szeregu przebiega seria szczęknięć, gdy zwolnione zamki zatrząskują się na wbitych w komory nabojach. Trzy stanowiska dalej stoi płowowłosy drobny mężczyzna, starszy od Smitha, który wtedy oczywiście nie nosił tego nazwiska. Smith wie, że to były żołnierz Brygady. „Lock and load!” - krzyczy gruby kapral.

„Lock and load!“. Na lewym przedramieniu owinięty pas nośny, policzek do kolby, odbezpieczyć i strzelać! I Barcz, dwanaście lat młodszy niż teraz, cztery stanowiska dalej strzela osiem razy, szybko, po ostatnim strzale ładownik z brzękiem wyskakuje z karabinu i spada Smithowi (który wtedy jeszcze nie nosił tego nazwiska) pod nogi.

Oderwał oko od celownika, spojrzał na Barcza przytulonego do jasnej kolby mosina: oko lewe zaciśnięte, prawe zrośnięte z celownikiem, ocenia odległość, jeszcze poprawka, dwa kliknięcia pokręteł przy lunecie, dłoń z powrotem na kabłąku, ściąga spust i trzask! Krótki mosin podskakuje mocno, a Barcz już szarpie dźwignię zamka.

Smith zrozumiał, że trochę się zagapił, i szybko zerknął w swój celownik. Niedźwiedź był trafiony perfekcyjnie, widać było nawet z takiej odległości przez słabą lunetkę karabinową, jak z uniesionym zadem i łbem na ziemi usiłuje się podnieść. Postanowił więc nie strzelać - skoro Barcz trafił pierwszym strzałem, trafi i drugim. I rzeczywiście, mosin trzasnął i szarpnął po raz drugi, a niedźwiedź przewrócił się na bok.

- Świetny strzał - skomentował Smith. Nie zamierzał na razie zdradzać się ze swoją odświeżoną pamięcią.

- Dziękuję - odparł Barcz.

- Gdzie się pan nauczył tak strzelać?

- W wojsku polskim, proszę pana, w wojsku polskim... Idziemy?

Smith kiwnął głową. Poszli z gotową do strzału bronią w rękach. Smród od złogów na plaży stawał się coraz bardziej nieznośny,

dowodząc jednoznacznie organicznego pochodzenia substancji. Stanęli na dwudziestu metrach. Barcz strzelił niedźwiedziowi w łeb na wszelki wypadek, potem dla pewności, już z przyłożenia, między oczy.

Nie był to piękny okaz: młody, wychudzony tak, że wyglądał, jakby ktoś do zbyt dużego worka schował szkielet. Teraz leżał na boku, zmierzwiłone brudne futro spływało krwią, kości miednicy i łopatki sterczały pod skórą. Był niewielki, nie wyższy od wyrosniętego doga, chociaż oczywiście - mimo przeraźliwej chudości - potężniejszej budowy. Nie przypominał jednak w niczym potężnych, spasionych drapieżników z londyńskiego zoo - bo tylko tam Smith wcześniej widział niedźwiedzia polarnego. Tamte, wylegujące się na skałach, ważyły pewnie i trzy czwarte tony, młody chudzielec zastrzelony przez Barcza nie miał więcej niż sto dwadzieścia kilogramów.

Od niedźwiedzia jednak ciekawsze wydały im się zalegające na plaży złogi. Śmierdziały niemiłosiernie, padliną i zjełczalym tłuszczem, odór przychodził falami, jakby nad ziemią przewalały się kłęby ociężałych oparów, niosąc ze sobą maleńkie cząstki sinoróżowej masy. Po krótkiej chwili Smith miał wrażenie, że w powietrzu unosi się tłusta zawiesina promieniująca z tej dziwnej pulpy i osadzająca się na wnętrzach nozdrzy i w ustach.

- Co to jest? - zapytał Barcza, który nie przejmując się smrodem, klęczał już nad substancją i jak by to określił naukowiec, badał jej właściwości fizykalne. Co oznaczało dokładnie, że dźgał ją sztychem



noża.

- Nie wiem - odparł. - Zdarza się czasem, że ocean wyrzuca takie coś na brzeg, chociaż nigdy nie słyszałem, żeby wyrzuciło tutaj, na Spitsbergenie. Anglicy mówią na to „blob”, ale to tylko słowo, które niczego nie wyjaśnia. Pewnie jakieś tkanki morskiego zwierza, wieloryba albo kałamarnicy, w stanie rozkładu.

Smith wzruszył ramionami. Substancja była bez wątpienia organiczna i zwierzęca, lecz padliny nie przypominała w żadnym razie, nie było w masie niczego, co pozwalałoby ją przyporządkować do jakiejś zwierzęcej cielesności - nie była ani tłuszczem, ani mięsem, nie miała skóry ani żadnych organów, kości, ości, macek ani przyssawek, niczego, co by wykraczało poza obrzydliwą jednorodność gigantycznego połcia nibysłoniny.

„Nordsyssel” opuścił szalupę, szła już w kierunku plaży.

Dwanaście godzin później gubernatorski motorowiec wracał do Longyearbyen. Zlikwidowano obóz w Gåshamna, polscy polarnicy zostali w stacji, przez radio nadali do polski smutną wiadomość o śmierci Gorzewskiego. Na pokładzie stateczku leżały trzy ciała: na wpół zjedzonego człowieka, wychudzonego młodego niedźwiedzia i szalonej foki kapturowej, która z tajemniczych powodów postanowiła zaatakować statek gubernatora. I tak płynęli niczym połączenie norweskiego traperskiego kutra, jakich wiele jeszcze dwadzieścia lat wcześniej pływało za morskami, niedźwiedziami i fokami na Svalbard, Ziemię Franciszka Józefa czy na Nową Ziemię nawet w tajemnicy przed innymi, i statku karawanu wiozącego opakowane w trumnę z

brezentowej płachty szczątki polskiego polarnika.

Z powrotem płynęli dłużej, bo zerwał się silny północny wiatr, w ciągu godziny rozbijał się do szóstki i szli na mocnej dziobowej fali, od której Smith natychmiast dostał choroby morskiej. Zapewnienia kapitana i gubernatora, iż fala od dziobu to jeszcze nic, dopiero fala baksztagowa - o, to dopiero jest powód do wymiotów! - wcale mu nie pomogły, wyrzygał więc, co mógł, po czym poszedł spać. Obudził go dopiero odgłos stalowej burty trącej o opony na nabrzeżu w Longyearbyen.

Zmęczony chorobą morską, pożegnał się zdawkowo z gubernatorem, ucinając krótko jego wylewne podziękowania za uczestnictwo w wyprawie, i poszedł do swojego baraku. W pokoju obmył się przy umywalce, przeprał bieliznę i skarpetki, po czym nie mając nic lepszego do roboty, wlaź w pościel z książką. „On the beach” Nevila Shute'a, nowość, kupił w Londynie tuż przed wyjazdem. Od dzieciństwa miał pewien zwyczaj, nieco śmieszny - przed rozpoczęciem lektury przez jakiś czas kontemplował okładkę, nawet jeśli była zupełnie nudna, liternicza. Teraz tak samo: leżał na plecach, ścisnął niezbyt grubą książkę w obu dłoniach wyciągniętych nad głowę i oglądał ilustrację na obwolucie: grupa pięciu osób na plaży, dwie kobiety i mężczyźni w mundurach, ciemnozielone morze albo rzeka, niebo jasnozielone, na niebie swobodną czcionką nazwisko autora, na dole, na tle wody, szarymi wersalikami tytuł. Na wszystkim białe pasma, ni to dymu, ni mgły, swobodnie pociągnięte pędzlem. Nie podobała mu się ta okładka. Zajrzał pod obwolutę - tutaj

już tylko jasny beż, tytuł, autor i wydawnictwo, Heinemann, Melbourne-London-Toronto. Pościskał jeszcze chwilę książkę w palcach, w końcu otworzył i zaczął czytać.

Wciągnął się prawie natychmiast w spokojny smutny nastrój tej dziwnej postnuklearnej Australii, wolno przygotowującej się na nadchodzącą nieuchronnie śmierć, czytał powoli i uważnie, skoncentrowany nad sensem każdego zdania. W efekcie zasnął nad trzydziestą stroną.

Śnił spokojnymi marzeniami o smutnym świecie z powieści, jakby pisane słowa bardziej odcisnęły się w jego umyśle niż polowanie na polarnego niedźwiedzia na zimnych brzegach sinego oceanu.

## ROZDZIAŁ 7

Plaża była zupełnie inna niż zimne kamienie Svalbardu, obmywane morzem zimnym jak ostrze sztyletu, była piaszczysta, z białym drobnym piaskiem, wilgotnym, takim, który ugina się sprężysto pod bosą stopą. Morze też było inne - ciepły błękitny ocean kołysał się jak hamak pod palącym słońcem. Nad plażą zwisały bukiety palm. I tylko w powietrzu czuć było zapach śmierci.

Nad tą plażą rozległo się pukanie. Smith nagle usiadł na łóżku, całkowicie przytomny. Ktoś znowu zapukał, a Smith sięgnął po pistolet w odruchu, który nawet jemu wydał się śmieszny - ale jednak sięgnął, sprawdził komorę i dopiero wtedy zapytał po angielsku:

- Kto tam?

Odpowiedź padła po norwesku, parę słów, których Smith nie zrozumiał, wstał więc i uchylił drzwi. Zimne powietrze boleśnie dotknęło jego bosych stóp i nagiego torsu, a za drzwiami na schodach stał niewielki człowiek w granatowej kurtce, czapce z nausznikami, gładko ogolony, o twarzy zniszczonej. Smith przypomniał go sobie - to pasażer volva, którym Kjell Krag podwiózł Smitha pierwszego dnia, zaraz po wodowaniu cataliny. Smith dopiero teraz zauważył, że ma twarz zniszczoną cierpieniem, przybysz zaś przypomniał sobie, że Smith nie zna norweskiego, przedstawił się więc po niemiecku, jako Haakon Sammling, jakby ani przez chwilę nie podejrzewał, że Smith mógł zapamiętać jego imię i nazwisko z przelotnego spotkania w samochodzie. Smith zaś odpowiedział swoją swobodną niemczyzną, że oczywiście pamięta i zaprosił go do środka, przeprosił za negliz,

szybko naciągnął spodnie i sweter, zrzucił z krzesła jakieś szpargały.

Haakon usiadł, kładąc czapkę i powykrzywiane reumatyzmem dłonie na kolanach. Włosy miał niezbyt nordyckie, bo czarne, siwizną przytarte na skroniach, czoło zwinięte w kilka głębokich zmarszczek, które podobno objawiają światu skłonność do zamyśleń.

Smith zaproponował herbatę, Sammling grzecznie odmówił, gospodarz zatem po prostu czekał, aż gość wyjawi sprawę, która go tu sprowadza. Haakon zaczął powoli, niemieckim raczej słabym, tłumaczyć, że spotkali się wtedy w samochodzie, i mówi się, że jest pan naukowcem podobno, socjologiem, a on, prosty górnik, trochę się interesuje naukami społecznymi, trochę czyta i chciał się zapoznać, może zadać parę pytań.

Smith się przestraszył. Owszem, wiele się zmieniło od momentu, w którym drastycznie przerwał swoją zwykłą szkolną edukację, aby przez dobrych kilka lat uczyć się tylko życiowych mądrości i strzelania w Kompaniach Wartowniczych, a potem zdobywać wiedzę zupełnie nieakademicką w ośrodkach treningowych w Szkocji. Kiedy go potem, tyle już lat temu, zrzucili nad Polską, był zupełnie innym człowiekiem niż wtedy, kiedy z Polski uciekł, ale intelektualnie nie rozwinął się prawie wcale. Dopiero w Firmie parę mądrych osób zajęło się jego edukacją i w ciągu dwóch lat, w Zurychu i w Londynie, nadrobił zaległości. Tak czy inaczej, na socjologii nie znał się prawie wcale, przeczytał jakąś książkę przed wyjazdem, zapamiętał parę nazwisk, Weber, Tönnies, Znaniecki, parę tytułów książek, zabrał ze sobą metodologiczny podręcznik do robienia ankiet i był w stanie

symulować „bycie socjologiem” przed laikami, bo też nie spodziewał się spotkać prawdziwego socjologa w tym kraju górników i traperów. Rzecz więc w tym, na ile ów mały górnik zagłębił się w socjologię.

Jednakże nie miał wyjścia, wdał się w rozmowę. Uspokoił się szybko: górnik nie przyszedł go sprawdzać, miał zresztą ten charakterystyczny rys człowieka prostego, acz inteligentnego, który w dojrzałym wieku zaczyna się samodzielnie kształcić - było słyhać, że wiele przeczytał, sporo wie, brakowało mu natomiast pewnej swobody w żonglowaniu myślą, łatwości syntezy, przechodzenia z jednego tematu do drugiego. Rozmawiali o Chestertonie, którego Smith trochę czytał, chociaż głównie powieści kryminalne, lecz Sammling mówił o pisarzu tak, jakby poszukiwał u niego konkretnych informacji, danych czy myśli. Nie szukał paradoksów, nie szukał wdzięku czy dowcipu, tylko konkretnych argumentów. Smith szybko się połapał, że górnik ma zdecydowanie antykomunistyczne inklinacje i u Chestertona poszukuje argumentów na rzecz odważnej tezy, iż komunizm jest zły. Może spierał się ze swoimi lewicującymi kolegami, kto wie? W każdym razie swoboda i bezpretensjonalność, z jaką Sammling przyszedł do nieznanego obcokrajowca, aby porozmawiać o książkach, bardzo się Smithowi podobała - mały Norweg miał cechę u górnika zaskakującą, przekonanie, iż intelektualne poszukiwanie prawdy w pełni usprawiedliwia towarzyską niezręczność, jaką w istocie była ta wizyta. A może po prostu Sammling był człowiekiem na tyle prostym, że tej niezręczności w ogóle nie zauważał?

Rozmawiali kilkanaście minut, Sammling pytał jeszcze, czy pan

Smith zabrał ze sobą może jakieś ciekawe książki, które mógłby pożyczyć na parę dni. Smith pokazał swoją skromną podrózną biblioteczkę, ale górnik samouk nie był zainteresowany, ponieważ po pierwsze, książki były po angielsku, a po drugie, były powieściami - tym, że brytyjski naukowiec przywiózł tylko powieści, Haakon był wyraźnie zawiedziony, może nawet nieco zaskoczony. Wyznał Smithowi, że zupełnie nie widzi sensu w czytaniu beletrystyki, bo przecież to wszystko nieprawda, powieści opisują sprawy, które wcale się nie wydarzyły. Po czym wstał, uklonił się niezgrabnie i chciał już wychodzić, Smith go jednak powstrzymał, chciał bowiem coś mu jeszcze powiedzieć. Zastanowił się chwilę nad odpowiedzią, ubierając się do wyjścia na śniadanie do kantyny. Sammling stał już w drzwiach i przyglądał się łakomie broni wiszącej na kołku i w końcu Smith zaczął mówić po niemiecku, trochę beładnie.

- Wie pan, panie Sammling, myślę, że nie ma pan racji. Czasem w powieści, w wymyślonych zdarzeniach czy wśród wymyślonych bohaterów, zawiera się jakaś prawda ogólniejsza.

W tym momencie stwierdził, że jego słuchacz może nie rozumieć skomplikowanej niemieczyny, spróbował więc wytłumaczyć.

- Taka prawda o epoce lub o tym, co się rozgrywa między ludźmi. To jest taka prawda literacka, wie pan, bo pisarz w powieści też może skłamać, tak samo jak historyk. Rozumie pan, panie Sammling? - pytał.

Pan Sammling rozumiał, kiwał głową.

- Jest coś takiego jak literackie kłamstwo - ciągnął Smith. - Ale

ono nie polega na tym, że w powieści opisane są rzeczy, które się nigdy nie wydarzyły. Polega to na tym, że z tych fikcyjnych wydarzeń czy bohaterów, które składają się na książkę, wynika jakaś fałszywa rzeczywistość. Ale jestem pewien, panie Sammling, że w fikcji czasem zawrzeć można taką prawdę o świecie, której nie da się wyłożyć wprost.

Sammling słuchał uważnie.

- Wie pan, ja tak nigdy nie myślałem o powieściach. Proszę, niech mi pan powie więc, jaką książkę by mi pan doradził, Herr Smith, w jakiej powieści jest zawarta jakaś ważna prawda o świecie? Taka prawda, jakiej, nie znajdę u różnych myślicieli? - zapytał po niemiecku.

Smith zamyślił się. Nie spodziewał się takiego pytania. Odpowiedział dopiero, kiedy wyszli przed barak, pod szare polarne niebo.

- Naprawdę żadnych powieści pan w życiu nie czytał?

Sammling pokręcił głową.

- No to niech pan poczyta coś... - zawahał się. - Coś Dostojewskiego. Na pewno macie jakieś norweskie albo niemieckie przekłady.

- Znam rosyjski tak samo dobrze jak norweski, a po niemiecku ledwie gadam - odparł Norweg.

Smith nie wytrzymał, zapytał. O obóz jeniecki, o to, czy rzeczywiście walczył po stronie Niemców. Wypowiadał te słowa po niemiecku, nie po norwesku czy angielsku, nie używał słowa



„kolaborant” - i dzięki temu pytanie nie brzmiało jak obelga.

I może dlatego właśnie Sammling postanowił mu o wszystkim powiedzieć. Wbrew temu, co kazałby mu uczynić w takiej sytuacji Kjell, wbrew temu, co sam wiedział, że powinien robić. Poczł po prostu, że dobrym słuchaczem tej długiej historii będzie ten dziwny obcokrajowiec, który bynajmniej nie przypomina socjologa, a raczej byłego żołnierza. Sammling potrafił rozpoznać kogoś, kto był w prawdziwym wojsku.

Zaczął więc mówić, a kiedy mówił, po prostu szli przed siebie drogą prowadzącą na plażę i potem w stronę Bjørndalen. Smith nie zaszedł na śniadanie, a Sammling postanowił znieść burę od kierownika i może nawet obcięcie premii za spóźnienie do pracy.

- Wie pan, bardzo ciężko mi zasnąć, bo kiedy śpię, to śnię o więzieniu.

Powiedział tylko to zdanie, po prostu, po czym zamilkł.

- Ja też - przyznał bezwiednie Smith. - Ja też śnię o więzieniu, o przesłuchaniach i o celi śmierci.

Zaraz tego pożałował, ale słowa padły. Sammling spojrzał na niego i zrozumiał, że Smith mówi prawdę. Nie dopytywał o to, w jakim więzieniu, dlaczego, za co, po prostu przyjął to do wiadomości i mówił dalej.

Najpierw był Murmańsk, cela pod zarządem instytucji znanej jako Wsierosijskaja czeriezwyczajnaja komisija po bor'bie s kontrrewoluczej, spekulaczej i priestupleniami po dołżnosti. Czyli Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją,

Spekulacją i Nadużyciami Władzy. Lub po prostu Czerezwyczajka. Albo jeszcze krócej - Czeka. Zaraz po tym, jak Murmańsk opuścili Biali i zachodni interwenci. Nosił wtedy jeszcze swoje prawdziwe nazwisko, Harald Krag. Tak, właśnie tak jak Kjell Krag, jest jego bratem. Wtedy siedział krótko, trzy miesiące, później go wypuścili i wrócił do Tsypnawołek na Półwyspie Rybackim, porośniętym tundrą krótką jak murawa na tenisowym korcie - w tym czasie ojciec miał jeszcze kuter i jakoś żyli, łowiąc ryby w Morzu Barentsa. Potem, w 1930 roku, ojcu zabrali kuter i wszystkich Norwegów kolskich wcielono do rybackiego kołchozu „Polarnaja zwiezda”. Wtedy miał już trzydzieści lat i aresztowali go za to, że krytycznie wyrażał się o bolszewizmie. Doniósł na niego brat cioteczny - rywalizowali o względy pewnej ślicznej Białorusinki, Mariny, którą rewolucyjna zawierucha rzuciła na kolskie wybrzeże. Na niewiele to się zresztą kuzynkowi zdało, bo niedługo potem doniosła nań Marina i akurat trafiła na zły humor pewnego komisarza spowodowany atakiem podagry. Komisarz na wszelki wypadek rozstrzelał i Marinę, i Frederika. Takie to były czasy.

Harald siedział wtedy w Murmańsku, potem przenieśli go do Archangielska, potem na Wyspy Sołowieckie - w łagrze Krag był jedynym w całym baraku zekiem, dla którego podróż na Sołówki była podróżą na południe. Na Sołówkach przesiedział dziesięć lat, dwie trzecie wyroku. W trzydziestym siódmym dowiedział się, że Kjell porwał kuter i uciekł do Norwegii, do Vardo, skąd przodkowie Kragów wypłynęli sto lat wcześniej, aby na zaproszenie Aleksandra II

osiedlić się na Półwyspie Kolskim. W każdym razie resztę rodziny Kragów rozstrzelano za tę zbrodnię i Harald został sam.

Wypuścili go wcześniej, przed końcem wyroku, i w 1940 wcielili do Armii Czerwonej. Kiedy Hitler najechał na ZSRR, razem z kolegami cieszył się jak dziecko, bo ich jednostka stacjonowała niedaleko granicy, w Wilnie. Poddali się zdziwionemu niemieckiemu motocykliście nazwiskiem Duncker, który potem chwalił się, że w pojedynkę wziął do niewoli całą bolszewicką kompanię. Nie nachwalił się tym zresztą zbyt długo, ponieważ miesiąc później mina przeciwpiechotna, niemiecka zresztą, rozerwała go na dwa osobne kawałki, z których żaden nie był w stanie samodzielnie podtrzymać ciągłości istnienia Heinricha Dunckera jako istoty ludzkiej.

Krag trafił do obozu jenieckiego, w którym zdołał przekonać Niemców, że jest Norwegiem, aryjczykiem czystej krwi, i że chce walczyć z bolszewizmem. Pół roku później miał stopień SS-Scharführera w 5 dywizji Waffen-SS „Viking” i rzeczywiście walczył z bolszewizmem. Najpierw był mechanikiem w kompanii naprawczej przy pułku czołgów, gdzie zdobył uprawnienia spawalnicze, lecz bezustannie słał monity z prośbą o przeniesienie na front, tak że w końcu ktoś się nad podstarzałym dziwakiem zlitował i Harald Krag został grenadierem pancernym. Walczył w kotle czerkaskim, potem bił się w Warszawie z Polakami, którzy strzelając do Niemców, własnymi rękami budowali sobie celę bolszewickiego więzienia. Bił się z nimi niechętnie, bo wolał strzelać do sowietów, nie do ich odległych sojuszników - ale tylko póki nie zobaczył dzieci, chłopców

dziesięcio- dwunastoletnich, którzy biegali z pocztą polową, a czasem, kiedy powstańczym oddziałem dowodził jakiś wyjątkowo fanatyczny patriota, trzynasto- i czternastolatków z bronią w ręku. Wtedy uznał, że w narodzie, który wysyła na wojnę swoje dzieci, jest coś nieludzkiego, coś potwornego, i nabrał nagle ochoty do walki.

Potem były Węgry, Budapeszt, odwrót na zachód, później widział takich samych chłopców jak w Warszawie wcielonych do Volkssturmu - z pancerfaustami kryli się w ruinach miasteczek, czekając na sowieckie pułki pancerne, i ginęli albo co gorsza, udawało im się przeżyć i dostawali Żelazny Krzyż, przypinany do wątej piersi przez pułkowników o nalanych karkach i ciężkich, trzęsących się policzkach, czerwonych, pociągniętych sinym cieniem wygolonego zarostu. Wtedy uznał, że nie tylko Polacy są nieludcy, i stracił przekonanie do walki za Niemcy. Chciał zdezerterować, ale uznał, że to bardziej niebezpieczne niż walka do końca, wiele bowiem niemieckich drzew i latarni obciążały wtedy sznury naprężone pod ciężarem zwłok tych Niemców, którzy komuś wydali się niedostatecznie oddani sprawie klęski.

Podдали się Amerykanom. W obozie jenieckim Harald dowiedział się o szaleństwie, które spadło na jego własny naród. W Europie wynaleziono wtedy pojęcie „kolaboranta” - dawny neutralny „współpracownik” zamienił się w coś jednoznacznie złego i karłowatego moralnie, „kolaborować” można było tylko z „okupantem”, a „okupantem” mogli być tylko Niemcy. Nie słyszał, aby ktoś mówił per „kolaboranci” o fińskich komunistach, którzy

podczas wojny zimowej szli za sowieckimi żołnierzami instalować komunistyczny rząd. Natomiast Finowie walczący z nim ramię w ramię w „Wikingu” - oni owszem, byli kolaborantami. Zdaje się, że nawet starego Mannerheima ochrzczono mianem kolaboranta. W Norwegii, jak powiadano, przywrócono karę śmierci specjalnie po to, aby rozstrzelać Quislinga, którego nazwisko zresztą stało się synonimem tej moralnie karłowatej postawy.

Harald myślał czasem o tym, że zabiera tego tłuszciocha Churchilla, kiedyś żołnierza i awanturnika, dziś tylko tłustego polityka, i pokazuje mu jego sojuszników, z którymi współpracując, nikt nie stawał się quislingiem. Pokazuje mu obóz na Sołówkach, pokazuje mu chociażby kołchoz rybacki „Polarnaja zwiezda”, pozwala mu żyć w kołchozie przez tydzień, a potem rozwala mu łeb. Przystawia lufę parabelki do tej nalanej gęby i naciska na spust, raz i drugi, i kolejny, aż opróżni magazynek.

Wtedy w obozie zaczęto opowiadać, że Anglosasi oddają Sowietom byłych obywateli sowieckich, którzy walczyli ramię w ramię z Niemcami. Oddawali ich na pewną śmierć od kuli albo w łagrze. Harald Krag chciał walczyć z komunistami, a nie zginąć z ręki komunistów, wiedział zatem, że musi zrobić wszystko, żeby nie wrócić do Sowietów. Rozwiązanie przyszło samo - w tym samym baraku mieszkał inny Norweg, Haakon Sammling, którego Krag w zasadzie nawet nie znał, służył bowiem w innym pułku. Ale to akurat nie miało znaczenia, bo Sammling, poddany króla Norwegii, umierał na tyfus. Był od Kraga młodszy o siedem lat i zupełnie do niego

niepodobny, któżby jednak zwrócił na to uwagę w obozie zamieszkanym przez dwanaście tysięcy ludzi? Krag przyszedł do konającego Sammlinga w nocy i po prostu poprosił go: daj mi swoje życie, bo tobie już ono niepotrzebne. Sammling w przeblasku świadomości między długimi godzinami majaczeń rozważył prośbę kolegi i wyraził zgodę. Miał rodzinę w kraju, rodziców i brata, ale otrzymał od nich list, w którym wypierali się go jako niemieckiego pachołka i gorąco zapewniali, że znać go więcej nie chcą. Z myślą o człowieku, który teraz będzie żył jego życiem, odpisał im, że wykurował się z tyfusu i że skoro się go wyparli, przeklina ich, zrywa z nimi kontakt na wieki i mogą się pocałować w sam środek dupy. Trzy dni później w komendanturze obozu zgłoszono śmierć Haralda Kanutowicza Kraga, kolaboranta i obywatela sowieckiego, Haakon Sammling zaś, kolaborant i poddany norweski, został zwolniony z obozu w roku 1947. Prawdziwy Sammling pochodził z Oslo, dlatego noszący teraz jego nazwisko Krag osiedlił się w Tromsø, byle jak najdalej od wszelkich dawnych znajomych Haakona.

Pracował jako spawacz w porcie i po dwóch latach poczuł się na tyle pewnie, że pojechał do Vardo poszukać swego młodszego brata Kjella. Znalazł go bez trudu, od razu pierwszego dnia, kiedy przeszedł się po nabrzeżu i poznał kuter ich ojca. Kjell dalej łowił na nim dorsze w Morzu Barentsa. Pod obłazącą farbą na burcie można było się jeszcze dopatrzeć grażdanką wypisanego imienia stateczku, „Czajka”, Mewa.

Przesiedzieli wtedy razem cały wieczór nad ruską wódką ze

szmuglu, bo nie udało im się nigdy przywyknąć do obrzydliwego smaku akvavitu, urzęnęli się w trupa, opowiedzieli sobie wszystko, Harald swoje dzieje, a Kjell o tym, jak spędził wojnę wśród Wolnych Norwegów w Szkocji i wrócił do Vardo w glorii bohatera. Po czym rozstali i nie widzieli przez następne dwa lata, po cóż bowiem mieliby się spotykać, o czym mówić? Po dwóch latach Kjell Krag zapukał do drzwi Haakona Sammlinga i zaproponował, by razem wyjechali do pracy, do kopalni na Svalbard.

Po przegadanej z Kjellem nocy Haakon zgodził się bez wahania - rytm pracy, piwa z kumplami ze stoczni, snu i znowu pracy stawał się dlań coraz bardziej nieznośny, coraz bardziej przypominał mu nibyżycie w kołchozie „Polarnaja zwiezda”, w łagrze na Sołówkach i w amerykańskim obozie jenieckim, w kontraście do życia prawdziwego, którego w ciągu swoich pięćdziesięciu pięciu miał tylko trzy krótkie lata w plamistym mundurze z opaską piątej dywizji na mankiecie.

Ot i cała opowieść o tym, skąd zna rosyjski.

Zawrócili, weszli z powrotem między zabudowania. Norweg udał się do pracy, a Smith poszedł na śniadanie do kantyny dla inżynierów.

O tej porze przy stolikach nie było już prawie nikogo, tylko jeden chudy i wysoki jak tyczka inżynier zaczytał się w gazecie nad filiżanką kawy. Śniadanie było w formie bufetu, leżał chleb i obfity wybór serów, ryb, była jajecznica na elektrycznej płycie, kawałki podgrzanego bekonu obok, owoce, mleko i wysokie termosy z kawą. Smith w zasadzie przyzwyczał się jeść europejskie śniadania, kawę i

croissanta z dżemem, nawet w Londynie rzadko kiedy jadał full breakfast, ale tutaj był ciągle głodny, naładował więc sobie pełen talerz jadła, wziął filiżankę z kawą i pożarł wszystko szybko i w milczeniu. Norweg z gazetą nie zwracał nań uwagi, Smith wyszedł zatem bez pożegnania.

Spieszył się trochę, bo postanowił, że odwiedzi dziś Fiodora Wasiliewicza Aleksiejewa, aby podziękować mu za ratunek i odwdzińczyć się przynajmniej butelką jakiegoś trunku.



## ROZDZIAŁ 8

- Nadieżda, Nadieżda... - szeptał Fiodor Wasiliewicz, kiedy kobieta zrzucała z siebie tielogriekę i kolejne warstwy odzieży. Pracowała w jadalni i była żoną jednego z górników, impotentą, który nie potrafił uczynić zadość jej wybujałemu temperamentowi. Była rosła, wysoka, miała trzydzieści siedem lat i rozłożyste białe ciało. Większość tego ciała układała się na jej potężnym zadzie i wokół bioder, skóra była lekko pofałdowana, jak powierzchnia wspaniale wyrobionego ciasta. Piersi, już wolne od ubrania, wielkie i ciężkie, miały duże, rozlane brodawki, wykarmiła tymi piersiami czwórkę dzieci, które zostały w Murmańsku, najstarsze urodziło się przed wojną. Była blondynką, jej krocze i pachy porastały włosy jaśniejsze niż na głowie.

Fiodor Wasiliewicz uważał, że jest wyjątkowo piękna. Nigdy by się z nią nie ożenił, bo zbyt pociągała go seksualnie, ożenić mógłby się tylko z jakimś wiotkim dziewczęciem, chudym i bezpierzynym, jak Audrey Hepburn, mógłby takie dziewczę wielbić, adorować i szanować, ale cielesny pociąg czuł tylko do takich kobiet, biodrzastych i tłustych. Nadieżda Pietrowna była chyba większa od niego, a przede wszystkim była mu posłuszna. Kiedy w ciągu dnia rzucał: „Nadieżdo Pietrowna, przyjdźcie do mnie dziś wieczorem”, zjawiała się niezawodnie, wymyta i świeża, wchodziła do izby, zamykała za sobą drzwi i rozbierała się na środku izby, w świetle dnia polarnego, stawała naga i czekała, aż do niej podejdzie.

Bez wstydu zostawała do rana, Fiodor Wasiliewicz był bowiem

kimś, a wszyscy wiedzieli, że jej mąż, skądinąd dobry i porządny człowiek, jest impotentem, więc nikt się nie dziwił, że kobieta w jej wieku ma swoje potrzeby, i tym bardziej nikt się nie dziwił, dlaczego spośród wszystkich mieszkańców Grumantu wybrała akurat Fiodora.

Dziś też została aż do rana, z jego izby poszła prosto do roboty, gotować śniadanie dla górników. Fiodor Wasiliewicz został sam ze swoim grzechem, którego świadomość nie przerażała go jakoś nadzwyczajnie, chociaż istotnie bał się piekła, bo przecież umrzeć mu przyjdzie zapewne bez przyjęcia Świętych Darów z darochranitelińcy, bez namaszczenia świętym olejem, nikt nawet pewnie nad nim nie odczyta kanonu na rozłączenie duszy i ciała. Ale sama świadomość grzechu przypominała mu jednak o jego tajnym prawosławiu. O tym, że w swojej jednoosobowej konspiracji przeciwko komunizmowi jest integralny. W grzechu czuł się bardziej chrześcijaninem, ponieważ komunista nie grzeszy, może najwyżej złamać komunistyczne zasady, ale nie zgrzeszyć. A skoro on, Fiodor Wasiliewicz grzeszył, to znaczyło, że jest prawosławny. Wyobraził sobie, jak zakreśla znak krzyża, szeroko, od czoła po pępek, lecz ręka nawet mu nie drgnęła, mogli przecież podglądać.

Ktoś zapukał do drzwi - inaczej, niż pukali mieszkańcy Grumantu, którzy uderzając kostkami palców w deski, starali się robić to jak najciszej, ledwie słyszalnie, dyskretnie i najgrzeczniej jak to tylko możliwe. To pukanie natomiast było głośnie i zdecydowane, aż Fiodorowi Wasiliewiczowi wnętrzości skręciły się jak sznur na samą myśl o tym, kto mógłby tak pukać. Skoczył więc na równe nogi i

przypomniał sobie, że jest nagi. Nie mógł przecież z dyndającą na wierzchu kuśką otworzyć drzwi komuś, kto tak puka. Zwykłego górnika nie musiałby się wstydzić, ale to na pewno nie był zwykły górnik. Naciągnął drelichowe spodnie i narzucił koszulę, krzycząc usprawiedliwiająco, że już leci, momencik. Gdyby rzecz działa się pół wieku wcześniej, dodałby zapewne „wasze błagorodie”, dziś wszakże tego uczynić nie mógł.

Za drzwiami stał Smith, poznany niedawno inostraniec. Inny człowiek radziecki, nieważne, czy na Spitsbergu, w Odessie, we Władywostoku albo w Berlinie, drugich odwiedzin inostrańca przestraszyłby się nie na żarty, ale nie Fiodor Wasiliewicz. Nie znaczy to jednak, iż Fiodor Wasiliewicz nie zadawał sobie pytania, cóż takiego przygnało tutaj pana Smitha ponownie, jakież może mieć w tych odwiedzinach interes.

- Zdrawstwujię, Fiodorze Wasiliewiczu - powiedział Smith swoim dziwnym rosyjskim. Wyciągnął ku gospodarzowi przewiązaną wstążką flaszkę pełną brązowego płynu. - Whisky. Z podziękowaniem, żeście mi życie uratowali wtedy, na morzu.

Fiodor Wasiliewicz przyjął butelkę, uśmiechnął się, lecz nie był zbyt zadowolony z prezentu. Nie żeby nie lubił whisky, bardzo lubił, dużo bardziej niż samogon albo wódkę, whisky smakowała antykomunistycznie, reakcyjnie, musiał zatem lubić whisky. Nie lubił po prostu, kiedy ktoś mu się odwdzięcza, wolał być wierzycielem wdzięczności.

Zaprosił gościa do stołu, zamiast samogonu wyciągnął flaszkę

stolicznej, nieotwartą jeszcze, słoik ogórków małosolnych, też nie ruszony, ukraińskie sało i chleb. Usiedli, Fiodor Wasiliewicz rozkroił wiktuały, wypili pierwszy kieliszek, zakąsili. Wódka, gorzałeczka, jakąż radość dał Bóg swoim dzieciom, kiedy pouczył je, jak należy destylować zacier ze zbóż lub kartofli, jak odlewać fuzle, rektyfikować, rozcieńczać, tak aby w końcu w szkle przejrzystym znalazł się napój jak kryształ, ogień z wodą ożeniony - a wychylony, spłynął w przetyk, w żołądek, żeby po chwili popłynąć razem z krwią, zagrać, zabuzować w żyłach i otulić głowę kokonem z miękkiej waty, rozsypać ściśnięte węzły mięśni, rozluźnić język i serce i w końcu szarpnąć całym jestestwem człowieka w tym kończącym spazmie, kiedy już niet sił gułał', kiedy pijak się zrywa od stołu i gnie jak dąb przez drwali podcięty, zwała się na posadzkę szumiąc rąk swych gałęziami, z hukiem, lecz miękko, bełkocze swoje: „Izwinitie, pożałujsta" albo to samo po polsku, czeski czy w innym słowiańskim języku i matuś gorzałeczka zasnuwa mu oczy bielmem, wyciągając go ze złego świata w ociężałe odmęty pijackiego snu, w szczęśliwą bezświadomość, w które każdy równy każdemu, czy to gensek, czy generał major, batiuszka w czerń przyodziany czy zek, co właśnie z łagru wyszedł po piętnastce czy dziesiątce i w pierwszej napotkanej knajpie wychyla ćwierć w gardło spragnione i wyschłe. Ruski, Germaniec, Polak czy Amerykaniec, wszyscyśmy synowie matuszki gorzałki, wszystkich nas kocha tak samo, czy odwiedzamy ją w zakurzonej flaszcze samogonu, sześciokątnej butelce z bourbonem, z whisky, przepalanką, starką, koszerną pejsachówką, słodką gdańską

wódką z płatkami złota, polską żubrówką, okowitą czy stoliczną.

Wypili i drugi raz, w milczeniu. W sumie cieszył się z odwiedzin, życie na Spitsbergu nie obfituje w okazje do spotkań z interesującymi ludźmi, bo przecież interesujący nie są ci górnicy, Ruskie i Ukraińcy, ściągnięci tutaj z Doniecka albo wyciągnięci akurat skądś z łagru, jeśli jakiś specjalista był potrzebny. A inżynierowie, inteligencja pracująca, to młodziaki wyuczone najczęściej już po wojnie, żaden nie pamiętał prawdziwej Rosji - car, carskie kirasjery i kadeci, czynownicy i esery należeli dla nich do świata bajek o koniku garbusku i Ilii Muromcu. A ten tutaj, ni to Anglik, ni to Niemiec, jakąś słowiańską krew również bez wątplenia posiadający, był przecież kimś ze świata innego, ze świata sprzed rewolucji właśnie, chociaż taki młody.

Smith zaś był w sumie zdziwiony i zaskoczony. Być może to Arktyka czyni ludzi, nawet Rosjan, skłonnyimi do otwartości. Ale przecież inni mieszkańcy Grumantu odwracali wzrok, kiedy dziarskim krokiem wszedł do osady. Bali się, to było widać na pierwszy rzut oka, a Fiodor Wasiliewicz Aleksiejew nie bał się wcale, pił, klepał po ramieniu, opowiadał o pogodzie, o tym, jak z łodzi polował na białuchy, prawie jak u Hermana Melville'a, bo sam wyporządził sobie harpun i złowił samca, dobre tysiąc dwieście kilogramów, wielkiego jak perszeron. Rozmawiali tak, pijąc, kilka kwadransów, aż nagle Rosjanin odsunął od siebie kieliszek, spoważniał, jowialność i szerokie uśmiechy odpadły mu od twarzy jak warstwa zeschniętego tynku.

- Wie pan, skąd nazwa „Grumant”? - zapytał po niemiecku.

Smith pokręcił głową.

- Pomorcy, Rosjanie, co to osiedli na półwyspie Kola i wzdłuż wybrzeży Morza Białego, przyplýwali tutaj na polowania od siedemnastego wieku i podobno wierzyli, że docierają do wybrzeży Grenlandii. „Grumant” to zniekształcona „Grenlandia” właśnie.

Gość zgodził się uprzejmie, nie będzie przecież obwieszczal, że go to wcale nie obchodzi.

- Mówię o tym - dodał Fiodor już po rosyjsku - bo będzie mi to potrzebne w historii, którą chcę teraz opowiedzieć, a którą znam od naocznego świadka.

Wychylił kieliszek, zagryzł ogórkiem i zaczął mówić, wolno, po niemiecku, co kwadrans przepłukując gardło maleńkim stakancykiem wódki. Smith był początkowo niezbyt zainteresowany, ale gospodarz był dobrym narratorem, historia była wartka, ciekawa i trzymająca w napięciu, więc szybko zapomniał o zniecierpliwieniu.

Kiedy dwie godziny później pożegnał się serdecznie z Fiodorem Wasiliewiczem u stóp klifu, był lekko pijany i mocno poruszony opowiadaniem Rosjanina. Gospodarz odprowadził go aż na plażę i zdziwionego pouczył, iż właśnie zaczął się odpływ i spokojnie suchą stopą obejdzie po kamienistej plaży całe Fuglefjella. Smith za przyjęcie podziękował, jakoś odruchowo po niemiecku, i ruszył w drogę.

Fiodor Wasiliewicz Aleksiejew odprowadzał go wzrokiem, machając nawet ręką na pożegnanie, kiedy tylko Smith się odwracał -

i bał się. Lekko ośmielony wódką zrobił coś, co teraz, kiedy stał na plaży, wydawało mu się najodważniejszym, najbardziej brawurowym postępkim w całym jego długim rosyjskim życiu. Przekroczył mianowicie wszelkie granice: opowiedział historię prawdziwą, na głos odrzucił - a przynajmniej podał w wątpliwość - marksistowsko-leninowskie dogmaty. I zrobił to wobec inościa, człowieka, którego prawie nie zna i który bez wątpienia nie jest dokładnie tym, za kogo się podaje. Nie był w stanie zrozumieć motywów własnego postętku, ale wiedział, że jeśli wejrzy gętko w siebie i będzie patrzył długo, w końcu te motywy odnajdzie i zrozumie.

Smith zaś, mimo alkoholowej niemocy i ociękałości, szedł przed siebie krokiem równym i szybkim. Do Longyearbyen dotarł suchą stopą, nie bez zdziwienia mijając kamień, z którego przemoczonego ściaęnął go niedawno Rosjanin. Kiedy siadł przy stoliku w swoim pokoju, alkohol dawno zeń wyparował. Z szuflady wyciąęnął notatnik dużego formatu, o gładkich kartkach, i pióro, złotego watermana z oprawką z zielonego bakelitu, i odtwarzając w pamięci opowieść Aleksiejewa, zaczął ją spisywać.

## ROZDZIAŁ 9

Rosjanin zaczął opowieść od sowieckiej ekspedycji, która w 1937 roku, wyrrywając się z pyska opitej krwią Wielkiej Czystki, wyruszyła z Murmańska na pokładzie sławnego lodolamacza „Krasin” dziewięć lat po tym, jak „Krasin” dowodzony przez wielkiego polarnika Rudolfa Łazarewicza Samojłowicza właśnie wsławił się uratowaniem załogi z ekspedycji włoskiego lotnika Nobilego. W roku 1937 Samojłowicz już nie dowodził „Krasinem”, został w Leningradzie jako dyrektor Instytutu Polarnego i zaciskała się mu powoli na szyi pętla czystki - umrze rok później w leningradzkim więzieniu.

Celem wyprawy było wysadzenie całorocznej ekspedycji geologicznej, która miała stwierdzić ewentualną obecność bogactw naturalnych na Edegøya, jednej z wysp Spitsbergenu. Aleksiejew nie zdradzał w swej opowieści żadnych konkretów geograficznych ani nawet - poza datą roczną - chronologicznych. Poszedł po prostu „Krasin” po Morzu Barentsa, jeszcze zamrażniętym, chociaż musiała minąć już noc polarna, bo jak twierdził Aleksiejew, świeciło słońce. Poszedł na północ, krusząc wypukłym dziobem gruby lód, pod białoniebieską banderą z czerwonymi sierpem i młotem, i gwiazdą czerwoną, dymiąc dziarsko węglowym dymem z obu kominów również przyozdobionych - jedną czerwoną rewolucyjną gwiazdą każdy.

Potem zza horyzontu wyłoniły się ostre szczyty Spitsbergu, białe czoła lodowców i stanęli w zatoce, której nazwy Rosjanin nie



zdradził. Przez dwa miesiące, aż do czerwca, „Krasin” pływał wzdłuż wybrzeża, zawijając tylko co jakiś czas do Barentsburga, by uzupełnić zapasy węgla.

Na Edegøya wyruszyły ekspedycje, na cztery albo i na sześć tygodni, na nartach, ze sprzętem, z namiotami, w głąb lądu i wzdłuż wybrzeża. Szli w grupach po dziesięciu lub dwunastu - geologowie, tragarze i opiekunowie z czerezwyczajki. W jednej z wypraw jako geolog wziął udział znajomy Fiodora Aleksiejewa, wieloletni towarzysz spędzonych nad szachownicą lub flaszką polarnych nocy. Zwał się ów geolog Michaił Władimirowicz Argunow.

Poszli więc w interior tundrą, dolinami, po morenach i między lodowcowe szczeliny, w białą plamę mapy. Na jakiś czas nawet zabłądzili, przez cztery dni nie byli w stanie określić swojej przybliżonej choćby pozycji względem wybrzeża, toteż kiedy dnia piątego zza grzbietu ukazał im się mały fiord, byli bardzo zaskoczeni.

Jeszcze bardziej zaskoczeni byli, kiedy przez szkła lornetek dojrzeliby wydobywające się ze skał dymy. W pierwszej chwili sądzili, że to może płonie jakiś pokład węgla lub że to nietypowy objaw aktywności wulkanicznej albo wód geotermalnych, jednakże kiedy podeszli bliżej, przekonali się, że dymy te są dziełem człowieka. W bazaltowej skale widać było rękami ludzkimi wyżłobione schody, wejścia i otwory dymne, a kiedy podeszli bliżej, zobaczyli też ludzi. Nosili stroje podobne do eskimoskich z Grenlandii czy Aleutów, skórzane anoraki z kapturami i nogawice. Bez wątplenia nie były to stroje współczesnych Europejczyków. Obecni na wyprawie

naukowcy, chociaż geologowie, byli wstrząśnięci: czyżby właśnie odkryli pierwotną populację Spitsbergenu, do tej pory uważanego za bezludny aż do odkrycia przez Barentsa w XVI wieku? Nawet jeśli prawdziwe miałyby być norweskie i rosyjskie pretensje do wcześniejszych wizyt wikingów lub Pomorców, to i tak jasnowłosi żeglarze północnych mórz, czy mówili po norwesku, czy po rusku, napotykali wybrzeża zamieszkane tylko przez morsy, reny i niedźwiedzie, bez śladu osad ludzkich.

Wszyscy inteligenci w wyprawie byli nadzwyczajnie podnieceni, tragarze przyjęli odnalezienie osady ludzkiej na Spitsbergu do wiadomości zupełnie obojętnie, w niczym bowiem nie ulżył ciągle rosnącej wadze ich nosideł obciążanych niemiłosiernie coraz to nowymi próbkami. Enkawudzista, inteligentny Ukrainiec o typowo ukraińskim nazwisku Szewczenko, był natomiast głęboko zaniepokojony. Nie dostał żadnych instrukcji na wypadek takiego spotkania. Na razie więc zarządził postój i wraz z najbardziej zaufanym z naukowców, Argunowem, udał się na zwiad w pobliże dziwnej osady. Obserwując przez lornetki, szybko stwierdzili, iż krzątający się mieszkańcy skalnych domów na pewno nie są Eskimosami - spod kapturów wystawały potężne brody, często żółte lub rude. Geolog, który miał skłonność do odważnych hipotez, zaczął teoretyzować jeszcze z oczami przylepionymi do szkieł swojego zeissa: może to osada wymarłych ludów Dorset, które zamieszkiwały Arktykę przed Eskimosami, a może jakiś odłam Normanów, który uchował się na Svalbardzie przez tysiąc lat w ścisłej izolacji od

europiejskiej kultury. Może jeszcze sprzed chrześcijańskich czasów.

Wtedy prawdopodobnie ich zauważono, w każdym razie geolog musiał natychmiast zrewidować swoje fantazje o ludach Dorset i Normanach, ponieważ jeden z zakapturzonych tubylców ścisnął w rękach coś, co bez wątplenia było długą bronią palną, chociaż kształt, na ile ocenić mogli przez lornetkę, był dość nietypowy. W osadzie zapanowało pewne poruszenie, toteż geolog i czekista wrócili do reszty ekspedycji.

Uznano, że oto przed nauką radziecką stoi niepowtarzalna okazja dokonania epokowego odkrycia w geografii i być może uda się przy okazji obalić jakieś dogmaty nauki imperialistycznej, co będzie osiągnięciem co najmniej na miarę łysenkizmu w biologii. Nie mieli ze sobą przenośnej radiostacji, postanowili więc czym prędzej odnaleźć „Krasina” i statkiem przy płynąć do tajemniczej osady. Wyprawa porzuciła wszelki bagaż - próbki, instrumenty geodezyjne, sprzęt do odwiertów, nawet część zapasów jedzenia - i szybkim marszem wyruszyła na poszukiwanie lodołamacza.

Odnaleźli go po dwóch dniach, zdali relację z odkrycia naukowemu szefowi całej wyprawy, profesorowi Kripczence, który zapłonął gorącym entuzjazmem, chociaż był specjalistą od prądów morskich, nie etnologiem. Politycznym kierownikiem wyprawy był ponury enkawudzista w stopniu kapitana gos-bezopastnosti, co odpowiadało wtedy wojskowej randze pułkownika. Był Łotyszem z matki Polki mocno zniemczonej, nazywał się Karlis Helmutowicz Banderis i w czasie rewolucji służył w oddziale zwanym pułkiem

czerwonych strzelców łotewskich, Latviešu sarkanie strēlnieki, co sprawiło, że trwał w przekonaniu, iż zwycięstwo komunizmu w Rosji jest jego osobistą zasługą, bo też dzięki zdyscyplinowanym łotewskim żołnierzom Judenicz, Wrangel i Denikin nie ucztowali na moskiewskim Kremlu z widokiem na trupa Lenina dyndającego na szubienicy na Placu Czerwonym. Po wojnie domowej Banderis bał się wracać do białej Rygi, został w Rosji i wstąpił do CzeKa.

Nie był szczególnie zachwycony przydziałem do polarnej ekspedycji, wolałby cieszyć się socjalizmem gdzieś w Gruzji lub na Krymie, w każdym razie nad ciepłymi brzegami Morza Czarnego. Kiedy dostał przydział na „Krasina”, rozważał nawet, czy nie odmówić, powołując się na swoją heroiczną przeszłość, lecz w Leningradzie miał żonę i dwóch synów, nie chciał niepotrzebnie ryzykować ich życia. Teraz uznał szybko, że epokowe odkrycie może mu w końcu zapewnić ciepłą posadę gdzieś w Odessie lub Tyflisie, więc wydał zgodę i popłynęli.

Po siedmiu dniach poszukiwań w dość trudnych warunkach lodowych „Krasin” rzucił kotwice w zatoce i przez potężne lornety pokładowe ujrzeli, tym razem od strony morza, bazaltowe zbocze i osadę wykutą w ścianie niczym indiańskie pueblo w Meksyku.

Z „Krasina” zjechało pięć szalup, do wiosła siedli marynarze, każdy miał na plecach karabinek trechliniejkę, a wokół bioder pas z ładownicami i bagnetem. Na piersiach z rozcięć bluz granatowymi i białymi paskami dumnie wyzierały trójkąty tielniaszek. Na jednej z szalup ustawiono erkaem z talerzowym magazynkiem, drugi karabin

maszynowy został na dziobie statku, skąd miał zapewnić wsparcie, gdyby było potrzebne. Banderis sprawdził bębenek nagana i rozpiął klapę kabury, drugi czekista, młodszy lejtnant Szewczenko, ścisnął w rękach pistolet - pulemiot Diegtiariowa, naukowcy zaś uzbroidli się w optymizm i szerokie socjalistyczne uśmiechy.

Szerokie grzbiety matrosów pochylały się nad wiosłami, ciągnęli dziarsko i niewiele czasu minęło, kiedy kil pierwszej szalupy zaszurał o kamienie. Kapitan gos-bezopastnosti Banderis, nie zważając na protesty naukowców, wyskoczył z szalupy w wodę po kolana, brodził przez chwilę i wyszedł na plażę, ścisnąjąc w garści nagan z odwiedzionym kurkiem. Nie przystając, ruszył przed siebie, w stronę bazaltowego zbocza, niczym socjalistyczny Kolumb niosący polarnym dzikusom dobrą nowinę Lenina.

Za nim z szalup wysypali się marynarze i naukowcy, szczęknięły zamki karabinów, aż wzdrygnęli się okutani w watowane kurty inteligenci, którym dźwięk repetowanej broni nie kojarzył się najlepiej w czasach Wielkiej Czystki.

Banderis szedł z determinacją człowieka, który nie bał się białogwardyjskich kozaków Wrangla, ba! nie bał się nawet samego Lenina. Nie miał w sobie nic z Rosjanina, nawet mówił po rosyjsku źle, z akcentem, po łotewsku też źle, po polsku parę słów zaledwie, chociaż rozumiał wszystko, i tylko po niemiecku bezbłędnie. Był zimny jak fale zimowego Bałtyku widoczne z okien sypialni, w której przyszedł na świat. Był bolszewikiem bezwzględny i odważny, nieskorym do okrucieństwa niepotrzebny, lecz okrucieństwa

koniecznego dopuszczającym się bez chwili wahania.

W dwudziestym pierwszym zabronił swoim ludziom gwałtów pod karą główną, bo też po co gwałcić? Żołnierz się rozwydrzy, pójdzie dupczyć i rabować, a na końcu zamorduje własnego dowódcę, kiedy ten każe wyruszać. Gwałtów więc zabronił nie z szacunku dla wroga, tylko z troski o morale swoich ludzi, rabunków, ponad rekwizycję tego co potrzebne do prowadzenia wojny, również zakazał, a potem własnoręcznie wystrzelał całą młodzież męską w zagarniętym polskim dworze. Nie targały nim wcale namiętności rosyjskich inteligentów, którzy robili rewolucję, zachłystując się ideologiami. Podniecali się światopoglądami, ideami, postępem i przyszłością i nad wódką dyskutowali aż po świt o rewolucji i przemocy, o sztuce, futuryzmie i roli kobiet. A Banderis wierzył w komunizm jak pruski podoficer wierzył w państwo i cesarza - bez entuzjazmu, bez emocji, po prostu zwyczajnie, bezrefleksyjnie. Komunizm uznał za fundament swojego systemu wartości, a w płowy łebek każdego z polskich paniczków pakował po dwie kule, przy czwartym przystanął, bez pośpiechu odkręcił rozładownik, wypchnął po jednej wszystkie siedem łusek i wcisnął siedem nowych nabojów w komory. Zabrało mu to całą minutę, wszystko nad ciałami już rozstrzelanych i w obliczu dwóch młodzianków jeszcze żywych, czekających na egzekucję z rosnącymi powoli ciemnymi plamami na krocach sukiennych spodni do konnej jazdy. Jeden, ścierwo tchórzliwe, łkał jak pensjonarka, drugi złorzeczył. Łotysz wpakował drugą kulę w łeb czwartego, już po pierwszej kuli trupa, potem zastrzelił płaczącego

chłopaka, potem złorzeczącego, a godzinę później zasnął, ledwie przyłożył głowę do zrolowanego koca. Spał jak niemowlę i nigdy nie widywał w myślach twarzy tych chłopców ani twarzy żadnych innych ludzi, których zabił, bo i czemu miałyby go prześladować? Zabił ich, żeby nie mogli zabijać krasnoarmiejców, do czego się bez wątpienia palili. Ot, zwykła wojenna sprawa.

I teraz szedł tam, gdzie miał iść, z tą samą zimną i surową determinacją: szedł za Stalina, którym gardził jako kaukaskim uzurpatorem, służąc mu tak samo wiernie jak służył Leninowi i jak służyłby Trockiemu, gdyby to ten krwawy Żyd wygrał spór z krwawym Gruzinem.

Nie przestraszył się, kiedy wyszli z zamaskowanego wejścia. Sami mężczyźni, jasno- i ciemnobrodzi, ale wszyscy brodaci konsekwentnie, i wszyscy w skórzanych kubrakach z kapturami, sznurowanych na piersiach, i w nogawkach ze skór, zapewne foczych. Nie przestraszył się, chociaż wielu z nich było zbrojnych - mieli stare flinty ze skałkowymi zamkami, dwie berdanki - jednostrzałowe odtylcówki z drugiej połowy dziewiętnastego wieku i Bóg raczy wiedzieć skąd, jeden niemiecki pistolet maszynowy z wojny światowej, pierwszej oczywiście, wtedy jeszcze bez numeru. Z kolbą drewnianą, karabinową, z lufą w perforowanej osłonie i z bębnowym magazynkiem z boku, zupełnie nie na miejscu w rękach odzianego w skóry człowieka Północy. Kiedy inteligenci, postępujący w bezpiecznej odległości za Banderisem, ujrzeli współczesną broń palną, zadrżeli - nie ze strachu o własne życie, bezpieczni przecie za

szerokimi plecami zbrojnych matrosów, lecz z żalu, bo skoro tubylcy Spitsbergu mają niemiecki pulemiot, to znaczy, że oni, sowieccy naukowcy, nie są tutaj pierwsi.

Banderis, może przez wzgląd na ten pruski pistolet maszynowy, odezwał się po niemiecku, mówiąc coś banalnego, jak „Wilkommen”. Wśród odzianych w skóry tubylców zapanowała konsternacja, która oczywiście nikogo nie zdziwiła - skąd dzikusy miałyby znać niemiecki? Większa jednak konsternacja zapanowała wśród radzieckich uczonych, kiedy tubylcy odpowiedzieli w dziwnym języku, który brzmiał jak mieszanina słów rosyjskich i norweskich.

Tylko jeden z matrosów, rodem Pomor, rozdziawił gębę ze zdziwienia i powiedział głośno po rosyjsku:

- To russenorsk! Ja nie ponimaju, ale tak mój ojciec jeszcze mówił, jak na długo przed rewolucją pływał Norwegom futra sprzedawać!

- Mołczat! - ryknął Banderis, lecz tubylcy na dźwięk rosyjskiego języka mocniej ścisnęli w dłoniach swoje flinty i odparli piękną, archaiczną ruszczyzną:

- Czego chcecie tutaj?

I wtedy jeden z naukowców, inteligentniejszy może od kolegów, nagle zrozumiał i natychmiast dał swemu zrozumieniu wyraz, krzyżąc w głos:

- To starowiery są! Starowiery, raskolniki, filipony! Pomorcy bez wątpienia, pewnie uciekli tu przed carskim uciskiem!

O carskim ucisku dodał na wszelki wypadek i słusznie, Banderis



bowiem o starowiercach nie miał zielonego pojęcia, więc „ucieczka przed carskim uciskiem” wyjaśniła mu, jaki on, człowiek radziecki, może mieć stosunek do tych tutaj tubylców, mniej dzikich, niż się spodziewano. Marynarz, który rozpoznał język, w jakim odezwał się starszy raskolników, sam był z filiponńskiej rodziny, pomyślał chwilę i na głos potwierdził słowa naukowca:

- Może to być!

- Zawrzyj pysk! - odparł Łotysz i dla dodania sobie animuszu spoglądał groźnie na raskolników, kimkolwiek byli, rozmyślając nad tym, jakie postępowanie centrala uznałaby za właściwe.

Z grupy filiponów wystąpił jeden człowiek, mikrej raczej postury mężczyzna z brodą tak długą, że założoną za pas skórzanej bluzy.

- Myśmy wierni staroprawosławnej cerkwi pomorskiej - powiedział. - Tu żyjemy od dwustu z górą lat, sami, z tego, co upolujemy i urobimy pracą rąk naszych. Nie znamy cara, króla ani księcia nad nami, nie mamy panów, biskupów, ni księży, nie ma między nami bojara ani niewolnika. Kim wy jesteście i czego chcecie od nas, ludzie?

Banderis nie wiedział, co mógłby na to powiedzieć innego, więc po prostu, warknął swoją ruszczyzną twardą jak sparciała skóra pasa oficerskiego:

- Rzucić broń!

W odpowiedzi ci starowiercy, którzy nie mieli karabinów, dobyli zza pasów siekiery i długie wąskie noże o wygiętych ostrzach, strzelcy

zaś odwiedli kurki swoich skałkowych flint. W zbiorowej pamięci, która żyje w historiach opowiadanych przy ogniu w ciągnące się miesiącami polarne noce, żyły jeszcze wspomnienia o tym, co działo się ze starowiercami, kiedy bez walki oddawali się w ręce sług antychrysta Nikona: jak ich na stosach palono za dwa palce do znaku krzyża i podwójne alleluja zamiast potrójnego, jak pod lodem spławiano, jak urzynano ręce i nogi. Pamiętali też, że mnisi sołowieccy za kozacką sprawą przez lat dwadzieścia trzymali się starej wiary, bo słudzy antychrysta pod wodzą wojewody Meszczerynowa murów sołowieckiego monasteru zdobyć nie umieli. Dopiero kiedy w sile wielkiej przyszli i zdrajca, mnich Teoktyst, przejście w murze wskazał, wtedy udało się Sołówwki antychrystom przejąć i mnichów starowiernych zamęczyć wszystkich na śmierć. A ich, w focze skóry odzianych, utwardziła Pólnoc, zahartowało dwieście lat straszego życia na Spitsbergu, gdzie marły im dzieci, gdzie głodowali i gdzie wypadały im zęby od szkorbutu, póki nie nauczyli się, że trzeba rybę jeść surową i na wpół strawiony mech z żołądków reniferzych, które przed wypadaniem zębów chronią równie dobrze jak zapomniana kapusta i cebula. I nie zamierzali się poddać rosyjskim odszczepieńcom.

Sowieccy marynarze zaś chcieli jeszcze zobaczyć przyjazne nabrzeża kontynentalnych portów, podnieśli zatem kolby do policzków i wycelowali w tłum raskolników. Banderis znał się jak mało kto na takich sytuacjach: najpierw napięcie będzie wzrastać, będą do siebie celować i groźnie na siebie patrzeć, a potem ktoś nie

wytrzyma, strzeli, padną dalsze strzały, któraś ze stron - raczej dzikusy, chociaż nie wiadomo, jakie u nich morale - nagle się załamał i rzucił do ucieczki. Wybrał wzrokiem tych, do których wypali najpierw - pierwszym strzałem musi zabić człowieka z pulemiotem, bo to on mógłby im najbardziej zaszkodzić, gdyby pociągnął serią.

Lecz tak się nie stało, albowiem przemądrzały matros Pomor, którego Banderis zapamiętał pod nazwiskiem Wsiewołoda Iwanowicza Pimonowa, odezwał się znowu bez pozwolenia:

- Ludzie wierni! My nie prawosławne antychrysty nikonowskie, my ludzie radzieccy! U nas już cara niet i nie budiet, nie ma popów ani biskupów! Ja Pomor, a mój batko był filipon jako i wy!

Siekiery wróciły za pasy, noże do pochew, a lufy flint wycelowały w ziemię. W odpowiedzi marynarze opuścili karabiny. Banderis uznał, że to dobrze, że uniknięto bezpośredniej konfrontacji, i postanowił przy okazji nagrodzić Pimonowa flaszką wódki. Wpadł przy tym na pewien pomysł. Skinął mianowicie na jednego z inteligentów - właśnie na tego, który był znajomym opowiadającego historię Fiodora Aleksiejewa - i szepnął mu, że ma tym dzikusom zmyślnie opowiedzieć o Związku Radzieckim. I Michaił Władimirowicz Argunow, geolog, wydobył z siebie cały kunszt retoryczny, na jaki było go stać, opowiadając ponurym raskolnikom o życiu w Związku Radzieckim, o komunizmie, w którym wszystko jest wspólne, o tym, że cara już nie ma, a popów wiarołomnych nie ma prawie wcale. Dyskretnie przemilczał, że Boga niet i nie budiet również. Nie rozwodził się także wcale nad tym, co bolszewicy robili

z filiponami, fiedosiejowcami, jednowiercami, pomorcami i innymi odłamami, na które podzielił się raskoł.

Przemowa podziałała przynajmniej na tyle, że filipon z brodą do pasa, który zdawał się być starszym całej wspólnoty, zamienił po cichu parę słów ze swymi towarzyszami i po chwili z wykutych w ścianie grot wyszły kobiety w skórzanych spódnicach i kwiecistych chustach przykrywających włosy. Wyniosły drewniane kozły i blaty z desek, na nadmorskiej równinie ustawiły długi stół i po chwili rozpały drewnianymi szczapami ogień, wytaszczyły wielki gar i zaczęły przyrządzać jakąś potrawę z foczego mięsa. Naukowcy jęli rozważać, czy raskolnicy palą ogień tylko dryftowym drewnem czy może nauczyli się, wzorem Eskimosów, ogrzewać i oświetlać swoje domostwa zwierzęcym tłuszczem. Kobiety sypały do zupy sól - a naukowcy dalejże trapić się, skąd ta sól? Czy wodę morską rozlewają na rozgrzane kamienie, zdrapując to, co zostanie, czy może handlują czasem z norweskimi rybakami, od których mogłyby też mieć tkaninę na chustki i broń? Potem koło stołów ustawiły ławy, wyścieliły je puszystymi skórami niedźwiedzi i nastawnik, który zdążył się już przedstawić jako Awwakum Awwakumowicz Łomkow, zaprosił do jedzenia.

Łotysz schował rewolwer do kabury, ale klapy nie zapinał. Siadł na chwilę, z grzeczności zjadł trochę wstrętnej, śmierdzącej zjełczalym tłuszczem zupy, po czym kazał inteligentom wypytać dzikusów o wszystko. Matrosom gadać ze starowierami zabronił, zostawił na posterunku młodszego lejtnanta gos-bezopastnosti

Szewczenkę, a sam wziął jedną szalupę z obsadą, Argunowowi rozkazał wrócić na statek, kiedy już dowie się wszystkiego, po czym odpłynął na „Krasina”.

Argunow bardzo się przejął poleceniem, które wydał mu enkawudzista, wypytywał zatem, rozmawiał i notował. Starowiercy rozmawiali chętnie, a pamięć o wydarzeniach sprzed dwustu lat przetrwała znakomicie, nastawnik Łomkow przyniósł nawet wielką księgę o starożytnym wyglądzie. Wprawdzie nie pozwolił jej Argunowowi dotknąć ani do niej zajrzeć, sam wyczytywał z niej natomiast zapisy z dziejów całej społeczności.

Po trzech godzinach intensywnych wywiadów geolog uznał, że notatki ma już kompletne, usiadł w szalupie, marynarze pociągnęli za wiosła i po chwili Argunow wspinał się po sznurowej drabince w górę wyniosłej burty „Krasina”, po następnej zaś siedział w kajucie Banderisa i tłumaczył mu dokładnie, jak to z tymi starowierami było.

W czerwcu 1723 roku, czyli w przedostatnim roku panowania Piotra I, carscy urzędnicy przyjechali konno do pomorskiej wsi na wybrzeżu Morza Białego, pięćdziesiąt wiorst od Bielomorska. Wieś była starowierna od siedemdziesięciu lat, od reform Nikona, i należała do umiarkowanego odłamu bezpopowców. W swoim umiarkowaniu uznawali małżeństwa, nie obrzynali sobie rzapów razem z jajcami, nie chadzali nago, nie gzili się w rozpustnych orgiach, aby lepiej zrozumieć znaczenie grzechu - po prostu żyli tak, jak żyli ich dziadowie sprzed reform, żegnali się dwoma palcami i tak dalej - tyle że bez popów, bo skoro popi przeszli na stronę Antychrysta, to trzeba

się obejść bez nich. Mieli nastawnika kształconego w wygowskiej pustelni i on im za kierownika od spraw duchowych zamiast popa służył. W każdym razie carscy urzędnicy przyjechali i czegoś chcieli: albo ich wygnać, albo popa przysłać, albo podatki nałożyć, albo żeby się za cara modlili. Dokładnie nie wiadomo. Ale nastawnik i starszy wsi, nazwiskiem Awwakum Fiodorowicz Łomkow, przodek daleki dzisiejszego nastawnika Awwakuma Awwakumowicza Łomkowa, był krewki i urzędników pobił, zwlekł z ubrań, posiekł nahajem i pognął precz. Za to na pewno wsi groziłyby straszne konsekwencje, toteż po dwóch nocach narad całe sioło stanęło w płomieniach, a mieszkańcy patrzyli, jak płoną ich chaty, stojąc na plaży obok załadowanych wszelkim dobytkiem koczy. Koczy było dwanaście, a każdemu na tę podróż nadano imię jednego z apostołów białą farbą wymalowane na burcie. Były to stateczki niewielkie, długie na trzydzieści arszynów, jednomasztowe, bardzo dzielne - na takich koczach Pomorcy pływali wzdłuż północnych brzegów Syberii, na koczach dopływali do amerykańskiej Alaski, na Kamczatkę, Sachalin i Aleuty. I kiedy spłonęło sioło, kiedy spaliły się domy i zagrody, i molenna, a gontem obłożona ośmiokątna wieża z hukiem zwała się w pogorzelsko, kiedy nic już nie zostało za nimi, jęli pchać wysztrandowane na brzeg łodzie, aż zakołysały się na zimnych wodach Morza Białego, wsiedli do środka, tuzin chłopów, tuzin bab i bliżej nieokreślona liczba drobiazgu na jeden stateczek, dali się do wiosel, pofrunęły w górę reje z białymi skrzydłami żagli i poszli na północ.

Był wśród nich pewien mnich, który uciekł z Sołówek po

stłumieniu buntu sołowieckiego, stary jak szlifowane morską wodą kamienie. Chodził on po wielekroć ze statkami traperów na Grumant, zimował tam parę razy i przywoził zawsze wielką obfitość skór lisich i niedźwiedzich, kłów morsa również wiele. Znał drogę do pewnej zatoki, której nie było na angielskich, niderlandzkich i norweskich mapach i poprowadził eskadrę dwunastu apostołów na północ. Przeszli przez cieśninę, prawymi burtami minęli wyspę Morżowiec, pogoda dopisywała, uzupełnili jeszcze zapasy w znajomej pomorskiej i starowiernej wiosce na północnych wybrzeżach półwyspu Kola, i popłynęli dalej po wzburzonym Morzu Murmańskim, jak w tamtych czasach zwano Morze Barentsa. Obrali kurs na północny zachód, z dobrym wiatrem. Dziesiątego dnia przeżyli potężny sztorm, tylko na „Bartłomieju” sternik przestraszył się fali i chciał zrobić zwrot, aby przyjąć uderzenie rufą, lecz nie zdążył, fala uderzyła w burtę koczka i wywróciła go w jednej chwili. Z pokładu „Świętego Macieja” i „Świętego Judy Tadeusza” Pomorcy widzieli jeszcze przez chwilę unoszących się na falach ludzi z „Bartłomieja”, ale i oni, i ci zanurzeni w lodowatej wodzie wiedzieli, że przy takich falach żaden statek nie może próbować podejmowania rozbitków. Umierali więc z zimna w milczeniu.

Jedenastu apostołów szło po morzu jeszcze trzy tygodnie, w końcu zgromadzeni na ciasnych pokładach ludzie zobaczyli po raz pierwszy białe linie lodowców na horyzoncie. Wielu mężczyzn bywało już na Grumancie, niektórzy znali ten widok, teraz jednak miały być to ostatnie wybrzeża, jakie zobaczą. Ci, którzy przeżyli

traperską zimę, zadrżeli, wiedzieli bowiem, jak straszna jest polarna zima, straszniejsza - chociaż nie bardziej mroźna - niż zima na brzegach Morza Białego.

Znaleźli zatokę, której szukali, podejście było dogodne, i wyciągnęli kocze na kamienistą plażę. Kiedy ludzie ochłonęli z radości, iż przetrwali tak groźną podróż, kiedy stały ląd pod stopami im spowszedniał, rozejrzeli się dokoła i zobaczyli tylko jałowe zimne wybrzeża, jałową podmokłą tundrę, kamienne osypiska na zboczach jałowych gór i nic więcej. Duch wśród Pomorców upadł, kobiety zaczęły nawet głośno mówić, że trzeba im wracać, wracać prędko tam, gdzie rosną drzewa, gdzie można coś uprawiać, chociażby na północne wybrzeża Norwegii, gdzie pływali przecież z kupieckimi wyprawami ich synowie, mieniając żyto i jęczmień za suszone dorsze i stal na narzędzia.

Nastawnik Awwakum wiedział jednak, że jałowość zimnych wybrzeży jest tylko pozorna. Bywał za młodu w pomorskich starowiernych wioskach na północnych wybrzeżach Syberii, na przykład w Ruskim Ujściu, w których ludzie żyli daleko na północ od linii drzew, gdzie nie da się uprawiać żyta, budowali domy z tego, co przyniosły syberyjskie rzeki, żywili się wyłącznie mięsem upolowanych zwierząt i złowionych ryb, bez mąki, kupując tylko sól. I wiedział, że tam, w Ruskim Ujściu, zimy były nawet surowsze niż na Grumancie, a i zwierzyny mniej, jedyne co gorsze tutaj, to ciemności nocy polarnej, która na Grumancie trwa o wiele dłużej.

Wziął więc Awwakum beczułkę ze smołą do uszczelniania



statków, wziął pochodnię i podpalił wszystkich jedenastu apostołów, oszczędzając tylko dziesięcioarszynową mocną łódź, którą jako szalupę przyholował tutaj sam „Święty Andrzej”. Na tej łupinie nikt nie odważyłby się wyjść na pełne morze. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, i dzieci nawet, stali nieopodal, patrząc, jak dym z płonących kadłubów unosi się ku stalowemu niebu, tak samo chmurami zakrytemu jak niebo, w które szły dymy z ich płonącego sioła pod Biełomorskiem.

Nienawidzili go wtedy szczerze i gorąco, lecz nikt nie ośmielił się wypowiedzieć słowa sprzeciwu i nawet kobiety przestały się już skarżyć. Pokładli się spać na ułożonych na plaży skórach, a kiedy wstali, z niemym uporem wzięli się do roboty. Żłobili groty w skalnej ścianie, budowali domy, polowali, z łodzi łowili ryby i przygotowywali się do nadchodzącej zimy.

Aż nadeszła pierwsza zima i ledwie ją przeżyli. Pomarło wiele dzieci, pomarli starcy i chorzy, zdrowi pozapadali na szkorbut, ale potem przyszła wiosna i ciągle żyli, byli tam na chwałę Pana. Do kolejnej zimy przygotowali się lepiej i każda następna była już łatwiejsza. Podczas czwartej zimy nikt nie umarł. Wieś nazwali Święty Bartłomiej na pamiątkę tych, którzy nie dopłynęli. Poradzili sobie ze szkorbutem, nauczyli się szyc ubrania z foczych i reniferowych skór, nauczyli się polować harpunem i zbierać te mchy i porosty, które wzbogacały pożywienie.

Potem dorosło nowe pokolenie, które nie pamiętało już Rosji ani Pomorza i dla którego tundra, lodowce i góry były całym światem, a

drzewa znali tylko z opowiadań. Raz na kilka lat udawało im się dostrzec norweski lub pomorski statek, wyprawiali wtedy łódź, statek przyplýwał i za skóry, których mieli w nadmiarze, kupowali sól, proch i metalowe narzędzia. Norwescy traperzy nikomu nie zdradzali, że na Grumancie jest osada Pomorców - mogli u nich kupić futra bez trudów i niebezpieczeństw zimowania za setną część ich wartości. Po paru latach Pomorcy przestali wzywać inne statki i zawarli umowę z rodziną norweskich traperów, którzy przyplýwali do Świętego Bartłomieja raz na trzy lata i wymieniali sól, proch, broń, noże, igły i tkaniny na futra, na więcej futer, niż byliby w stanie zgromadzić przez dziesięć zim na Spitsbergenie. Była to ich rodzinna tajemnica, od której zależał ich dostatni byt - gdyby inni zaczęli plýwać po futra do Świętego Bartłomieja, cena musiałaby wzrosnąć - i tajemnica została zachowana.

Po stu latach zaczęły się problemy ze zbyt bliskim pokrewieństwem wśród mieszkańców Świętego Bartłomieja - dzieci rodziły się coraz słabsze, coraz więcej pośród nich było kretykami. Niektórzy proponowali, że pomogłoby, gdyby parę młodych dziewcząt oddać na kilka nocy Norwegom, kiedy ci znów przyplýną, lecz nastawnik osady, potomek Awwakuma Łomkowa, również Awwakum, zaprotestował gorąco na taką rozpustę i zamiast oddawać dziewczęta norweskim kupcom, zażądał, aby ci za trzy lata przywieźli sześć jak najmłodszych starowiernych małżeństw pomorskich, które zechciałyby się osiedlić w Świętym Bartłomieju. Obiecał Norwegom za to tyle skór, wręczając połowę tytułem zadatku, że ci dotrzymali

umowy i po stu latach nowa krew wmieszała się w krwiobieg Świętego Bartłomieja.

I tak dotrwali do roku 1937, kiedy to ich zatokę odnalazł sowiecki lodołamacz „Krasin”.

Banderis słuchał relacji Argunowa w milczeniu, notując najważniejsze fakty, a kiedy geolog skończył opowieść, odprawił go, przygotował zwięzły raport i powierzył szyfrantowi. Z raportem zaszyfrowanym udał się do radiotelegrafisty, który jak cała reszta załogi „Krasina”, łącznie z kapitanem, pozostawał do jego dyspozycji, nakazał nawiązanie łączności z murmańskim NKWD i przekazanie depeszy do wiadomości komisarza gos-bezopastnosti trzeciej rangi Kulikowa, po czym poszedł spać, wypiwszy przedtem ćwiartkę wódki, bez tego bowiem sen raczej do Banderisa nie przychodził.

Stopień komisarza Kulikowa był odpowiednikiem armijnego komkora, czyli późniejszego generała lejtnanta, słowem, Kulikow był szyczą i mógłby, gdyby chciał, połączyć się nawet z samym Stalinem. Mógłby, ale nie chciał, ponieważ igranie z Jeżowem było wtedy najprostszą drogą do zapewnienia sobie szybkiej czapy po jeszcze szybszym procesie. Kiedy więc radiotelegrafista „Krasina” wystukał kluczem zaszyfrowaną wiadomość, kiedy radiotelegrafista w siedzibie NKWD w Murmańsku ją odebrał, szyfrant odszyfrował i zaniósł komisarzowi Kulikowowi, a ten ją przeczytał, natychmiast uznał, że sprawa jest, owszem, najwyższej wagi i jak najpilniejsza, lecz integralność swojej czaszki uznał za sprawę znacznie ważniejszą. Zaszyfrowany raport trafił więc najpierw na biurko Jeżowa, Jeżow zaś

pobiegł z nim od razu do Koby, wzywając po drodze Mołotowa i narkoma spraw zagranicznych Litwinowa.

Cała czwórka zgromadziła się w pokoju Stalina, w zamkniętym między czerwonymi wieżami środka stolicy socjalistycznego świata, stolicy ogarniętej czystką rozszalałą niczym cyklon. W tym pokoju wokół potężnego stołu, na którym leżała fajka, dokumenty i pióra, gdzie było ciepło i pachniały mile świeże kwiaty nacięte nie dalej jak wczoraj i włożone w piękny wazon, panował spokój jak w oku cyklonu. Siedział więc przy tym stole Mołotow ze swoją gębą i wąsem belfra od fizyki, zimny i surowy, siedział szczerkowaty Jeżow, siedział światowiec Litwinow o facjacie zupełnie nieżydowskiej, jowialny i uśmiechnięty, i wreszcie siedział sam Stalin, wąsaty i fajczasty. Na stole leżała mapa, a na tej mapie, nad północnymi krańcami Norwegii, zaznaczona była nieregularna plamka. W tę plamkę Stalin stukał fajką.

Spierali się długo: czy wypowiedzieć traktat spitsbergeński czy nie, czy zgłosić swoje pretensje wyłącznie do wyspy Edgeøya czy do całego archipelagu, czy może raczej zapakować wszystkich Pomorców na statek i wysłać gdzieś na Syberię i nikomu o całej sprawie ani słowa. Spierali się, a Stalin tylko słuchał i milczał.

Po godzinnej naradzie Stalin zdecydował, że traktatu na razie nie wypowiedzą, osadę należy jak najmocniej udokumentować fotograficznie i pozostawić jej mieszkańców na miejscu, roztaczając nad nimi opiekę. Zostaną uznani za obywateli Związku Radzieckiego, wyśle się do osady natychmiast specjalną wyprawę, która przyniesie

im rozliczne zdobycze i błogosławieństwa cywilizacji razem z mnóstwem dziennikarzy z całego świata, ci opiszą tę rosyjską i jednocześnie już radziecką osadę na Spitsbergenie starszą niż wszystkie inne osady razem wzięte. I jak już opiszą, wtedy się zdecyduje, czy wypowiadać traktat czy nie wypowiadać, czy zgłaszać pretensje terytorialne i na jakiej dokładnie podstawie.

Na podstawie tej decyzji Jeżow opracował wytyczne dla Banderisa: pozostać w sąsiedztwie Świętego Bartłomieja aż do przybycia kolejnej wyprawy, czyli co najmniej dwa miesiące, roztoczyć opiekę i tym podobne. Po dziesięciu godzinach od nadania depeszy Banderisa radiotelegrafista na „Krasinie” odbierał już zaszyfrowaną wiadomość, jednakże Banderis nie mógł jej odczytać, ponieważ nie było go na pokładzie. A nie było go na pokładzie „Krasina”, bo dwie godziny wcześniej zbudził go jakiś marynarz, mówiąc, że z lądu słychać strzały. Cztery minuty później Banderis, dopinając bluzę, siedział już w szalupie, która pruć fale zatoki, uderzając z rzadka o nieliczne kry. Na brzegu staccato karabinowych wystrzałów w jeden utwór łączyły cantabile pulemiotowych serii.

Kiedy wyskoczył na plażę, znów z naganem w szerokiej żołnierskiej łapie, wiedział, że jest za późno. Gdyby za późno nie było, zastrzeliłby matrosa, który wbijał właśnie graniasty bagnet w pierś czarnobrodego starowiera - ale skoro i tak było już za późno, nie było potrzeby zabijać marynarza.

Na tundrze nadmorskiej leżały trupy. Banderis szedł powoli przed siebie, w stronę wyżłobionych w skale jaskiń. Oprócz odzianych

w pokrwawione skóry trupów starowierczych dojrzał też jednego z geologów z czaszką rozłupaną ciosem siekiery, która ciągle w tej czaszce tkwiła. Następny trup zmartwił go szczególnie, na ziemi bowiem z rękoma szeroko rozrzuconymi leżał Szewczenko, pierś przecinała mu krwawa seria dziur - wpadł pod ogień automatu. Trup Szewczenki zmartwił Banderisa, ponieważ od kwadransa z okładem Łotysz nie myślał o niczym innym, tylko o konsekwencjach, jakie ktoś za tę strzelaninę musi ponieść. Kiedy płynął w szalupie, liczył, że uda mu się zwalić wszystko na Szewczenkę właśnie, ale skoro młody Ukrainiec nie żył, to on, Banderis, będzie musiał za to zapłacić. Bo ktoś zapłacić musi.

Otrząsnął się z rozważań, schował rewolwer do kabury, rozwarł palce trupa i wyciągnął z nich pulemiot, po czym ryknął komisarskim głosem i w ciągu kilku minut przejął kontrolę nad sytuacją: zgromadził ludzi wokół siebie, uspokoił ich i kazał zdać raport. Wystąpił wąsaty marynarz, siwy zupełnie, jakby służył na „Krasinie” jeszcze w czasach, kiedy lodołamacz zwał się „Swiatogor” i pływał pod komendą obcych interwentów rezydujących w Murmańsku podczas romantycznych lat wojny domowej. Tielniaszkę pod rozchełstaną bluzą miał zachlapaną krwią, przedstawił się jako starszyna Woronow i zameldował, co następuje: przy stole wybuchła kłótnia, ktoś pociągnął pierwszy za spust i krasnoflotiec Wysocki padł trupem, więc towarzysze jego odpowiedzieli ogniem i zaczęła się ogólna strzelanina.

Dla Banderisa wyglądało to raczej jako ogólna rzeź niż

strzelanina, ale banalne wytłumaczenie Woronowa było prawdopodobne. Wódki raczej nie było, bo jej osobiście Banderis zabronił i wątpił, aby znalazł się kto odważny, aby taki zakaz złamać. Pewnie jakieś małe nieporozumienie nałożyło się na uzasadnioną nieufność, padł pierwszy strzał i dalej potoczyło się już jak z górki. I z tej górki pewnie potoczy się również jego, Banderisa, głowa.

Wydał rozkazy. Ocalałych tubylców zgromadzić w jednym miejscu pod strażą, dobrze pilnować. Nikt więcej nie może zginąć. Trupów na razie nie ruszać.

Wskazał na dwóch krasnoflotców, którzy wydawali mu się najinteligentniejsi, szarpnął za zamek peemu, z kieszeni wyjął niemiecką latarkę patrolową z różnokolorowymi przesłonami, włączył ją i wszedł w ciemny otwór groty. Wnętrza najlepiej oświetla światło czerwone, podniósł zatem suwak czerwonej przesłony i bazaltowe ściany rozpały się krwawo.

Wykute w skale pomorskie groty stanowiły bezładną plątaninę wilgotnych ciemnych korytarzy łączących większe pomieszczenia, zawsze blisko krawędzi klifu, z otworami dymnymi w ścianach. Umeblowanie było bardzo proste - posłania z futer zwierzęcych, stoły i zydle z drewna dryftowego i skrzynie, wiele zapewne pochodzących jeszcze z kontynentu. Na ścianach, wysoko u sklepienia, stare, poczerniałe od dymu ikony. Po korytarzach kręcili się nieliczni oszołomieni walką marynarze, w kątach leżały trupy w skórzanych kubrakach i - rzadziej - w granatowych kurtach sowieckiej marynarki. Matrosów Banderis odsyłał na zewnątrz, żywych Pomorców tak samo,

martwych pozostawiał tam, gdzie spotkali się ze śmiercią.

Trafił do spiżarni, zimnego pomieszczenia bez okien i otworów dymnych, gdzie na wbitych w skałę hakach wisiały focze i reniferowe zwłoki, na drewnianym zydelku obdarta ze skóry czaszka niedźwiedzia, obok jeszcze kawały foczego tłuszczu, jakieś gnaty okrojone z mięsa i surowe skóry. Śmierdziało ohydnie, gorzej niż w kambuzie „Krasina”, a jeszcze przed chwilą Banderis był przekonany, że gorszego smrodu niż tamten nie ma nigdzie na świecie.

Szedł dalej z pulemiotem gotowym do plunięcia ogniem w prawej ręce, kolbę przyciskał łokciem do biodra, w dłoni lewej ścisnął blaszany korpus latarki. Krasnoflotcy krok za nim. Znalazł wyżłobione w skale pomieszczenie z dwoma oknami, które musiało być molenną - było większe niż izby mieszkalne, w środku na ścianach, na ikonostasie, na półkach ujrzał stare ikony poczerniałe od kopcia z łożowych lampek, na kamiennych ścianach krzyże, przed ikonostasem oddzielony balustradą kliros, miejsce dla nastawnika i chóru. Ikonostas był bezpośrednio przy ścianie, nie było za nim ołtarza z prestołem, prawosławnego prezbiterium, jakie Banderis pamiętał z wizyt w cerkwiach zamienionych na stajnie.

Później znalazł jeszcze magazyny, zbrojownię z kolekcją broni palnej z ostatnich dwustu lat, więcej izb, aż w końcu zszedł na najniższy poziom i stanął przed potężnymi drzwiami o futrynach z solidnych belek głęboko wpuszczonych w ścianę, ze skrzydłami okutymi stalą. Odsunął dwie zasuwki i spróbował otworzyć - drzwi były zamknięte, obok zasuw był jeszcze zamek, o czym świadczyła



dziurka od klucza. Zastanowił się chwilę - po co zasuwę, które można otworzyć z zewnątrz jedną ręką? Zamykają drzwi wyłącznie przed kimś, kto by się znalazł w środku, za nimi.

Wyszedł na zewnątrz. Marynarze zgromadzili w jednym miejscu starowierów, którzy przeżyli pogrom, kazali usiąść na tundrze i pilnowali ich z karabinami w rękach. Wreszcie znajomy widok - ilu Banderis już widział jeńców tak siedzących na ziemi pod zbrojną strażą! Spojrzenia te same, upokorzenie takie samo, strach ten sam. I koniec też taki sam najczęściej.

Na trawie siedział również starszy Świętego Bartłomieja, Łomkow - a właśnie jego Banderis szukał. Skinął na matrosa, wskazał mu przestraszonego raskolnika i drab w tielniaszce podniósł Łomkova za kołnierz, odtrącając dziewczynkę, która trzymała się skózanego rękawa starszego wsi, i przyprowadził nastawnika do komisarza.

- Pójdźcie, Łomkow - rzucił Banderis krótko i wszedł znowu w raskolnicze groty, prowadząc nastawnika przed sobą. Stanęli przed okutymi drzwiami.

- Otwierajcie - rozkazał.

- Nie mogę, gospodin. Nie mogę - odparł Pomor. - Drzwi te muszą pozostać zamknięte.

- Kto jest w środku? - zapytał Banderis, nie zwracając uwagi na słowa nastawnika.

Łomkow tylko pokręcił głową.

- Słuchajcie, Łomkow. Otworzycie zaraz te drzwi. Jeśli nie, to

pójdę na górę, wezmę tę jasnowłosą dziewczyneczkę, co się do waszego boku tuliła, i dam ją najpierw moim matrosom na pieczyoty, a potem sam ją popieszczę. Bagnetem.

Łomkow spodziewał się gróźb, spodziewał się nawet, co mogą mu te groźby obiecać. Nie bał się przecież męczeństwa, dla niego przez te dwa wieki wydarzyło się mniej, niż w Moskwie dzieje się przez rok, a w Londynie przez tydzień, więc raskolnicze męczeństwo, z rąk nowoprawosławnych odstępców przyjmowane, nie było dlań perspektywą ani odległą, ani niewyobrażalną. Ani dla niego, ani dla żadnego z jego ludzi. I powiedziałby po Chrystusowemu: „Oto jesteśmy, bierzcie nas na męki”. Tak właśnie by powiedział temu człowiekowi w kurtce z czarnej skóry, który był oprawcą, tak jak oprawcami byli carscy strzelcy w czerwonych kubrakach wyciągający mnichów za brody z cel sołowieckiego monastynu, aby potem kazić ich na dziedzińcu.

Tak by powiedział, ale dziewczynka złotowłosa, Afanasja, była jego córką. I właśnie wtedy zapewne nastawnik Łomkow zdał sobie sprawę, że nie jest męczennikiem. Ręka mu nie zadrżała, kiedy rozsuptał rzemień sznurujący rozcięcie kurty i spod bluzy wyciągnął duży, wypilowany ze stali klucz, który podał Banderisowi, ten zaś bez wahania wsunął go w szczelinę zamka, przekręcił i otworzył drzwi. Skórzaną pętelkę latarki założył na guzik, latarka zwisała mu na piersi, pulemiot chwycił mocno w obie ręce i wszedł do pomieszczenia. Przefiltrowane przez czerwone szkiełko światło z rozgrzanego wolframowego drucika oblało mrok krwawymi plamami.

Pod ścianami stały ławy. Na ławach siedziały zasuszone męskie trupy odziane zupełnie inaczej niż mieszkańcy Świętego Bartłomieja. Zamiast skór truposzy spowijały czarne chałaty niczym chasydów, z zeschniętej skóry na twarzach wyrastały brody - białe, rzadkie i tak długie, że ścieliły się na podłodze. Wszystko grubą warstwą pokrywał kurz, na spągu nienaruszony odciskiem ludzkiej stopy, póki swojego podkutego buta nie postawił na nim Banderis.

- Co to? Grobowiec? - zapytał i zarzucił pulemiot na ramię, bo przeciwko martwym nie potrzeba już kul.

Zdjął latarkę z guzika i omiótł izbę snopem czerwonego światła. Wtedy trupy się poruszyły. Zgięte plecy wyprostowały się powoli, skrzypnęły, trąc o siebie, paznokcie długie na pół arszyna, w czerwonym świetle zawirowały tumany kurzu.

Banderis nie wierzył w bajki o duchach, nie przestraszył się więc wcale, lecz natychmiast założył, że rzekome trupy wcale nie są trupami - to tylko ludzie, i to w nie najlepszej kondycji. Wycofał się do korytarza, zamknął drzwi z powrotem na klucz, zaryglował zasuwę.

- Kto to jest, Łomkow? - zapytał nastawnika.

I Łomkow powiedział. Banderis nie uwierzył, zabrał więc nastawnika na „Krasina” - stalowy lodołamacz, przy którym kocze Pomorców wyglądały jak śmieszne łupineczki, uświadomił Łomkowowi, jak bardzo zmienił się świat w ciągu tych dwóch wieków. Pomor dziwił się wszystkiemu: stalowej burcie wysokiej jak góra, brakowi masztów i żagli, kominowi i światłom elektrycznym.

Od Norwegów, z którymi handlowali, słyszał coś bliżej nieokreślonego o niedawnych wynalazkach ludzkości, ale po raz pierwszy oglądał je na własne oczy. Wynalazek prądu elektrycznego poznał nie tylko naocznie - Banderis wziął dwóch marynarzy, kazał im Łomkowi rozebrać do naga i podłączył mu do prądu genitalia. Kiedy po trzech sesjach nastawnik dalej mówił to samo, Łotysz mu uwierzył, bo jak to się mówiło w CzeKa, z akumulatorem na jajach nikt jeszcze nie kłamał.

Łomkowie zgromadzone w podziemi póltrupy nazwał Ojcami Grzesznikami. Ojcowie Grzesznicy to starsi wioski spod Biełomorska, ci, co przed dwustu laty poprowadzili koczki przez polarne odmęty ku zimnym brzegom Grumantu. Wśród nich jest i przodek Awwakuma Awwakumowicza, Awwakum Fiodorowicz Łomkowiec.

Pierwsza zima na Grumancie, w 1723 roku, była straszna. Z głodu pomarły wszystkie malcziki i dziewczuszki o płowych warkoczykach, z głodu pomarły kobiety i starcy i w końcu z głodu pomarliby wszyscy, gdyby Awwakum Fiodorowicz pewnego dnia nie wystąpił przed nędzne zgromadzenie tych, co jeszcze żyli, i nie przekonał ich, żeby jedli trupy.

Protestował mnich i protestował starzec, co pamiętał czasy sprzed raskołu, potrzęsali brodami, wznosili ramiona ku niebu i krzyczeli, że lepiej zemrzeć, niżli zgrzeszyć tak strasznie, niżli ściągnąć na siebie tak straszną klątwę, lepiej, aby cała ludzkość zginąć miała, niżby coś tak strasznego miało się wydarzyć wśród chrześcijan. Mówili obaj z coraz większą mocą, nawołując już wprost do

głodowego męczeństwa, jeśli Bóg taki dla nich los wyznaczył, aż w końcu Awwakum Fiodorowicz nie wytrzymał, wyrwał z za pasa siekierę i roztrzaskał czaszkę starca obuchem, drugim zaś ciosem wbił ostrze topora w głowę mnicha.

Głodni byli tak, że dawno już do gołej skały wyzarli cały mech w okolicy i wszystko, co uczynione było z najtwardszej nawet skóry, jeszcze z za morza przywiezionej. I teraz zjedli mnicha i starca, jeszcze tego samego wieczora, a potem zjadali wszystkie świeże trupy.

Zostało ich czterdzieścioro i znowu głód zajrzał im w oczy. Awwakum Fiodorowicz myślał całą noc i kiedy nad Bożym światem wstaje słońce, a na Grumancie zalegają dalej nieprzerwane diabelskie ciemności, wybrał jedenastu najsilniejszych mężczyzn, tylko takich, co nie ukończyli jeszcze trzydziestki, i pięć kobiet. Powiedział im, co postanowił - nocą polarną poszli i zabili resztę. Ciała wystawili na mróz, aby zmarzły na kość, i pełnili przy nich straż, bo choć lisów w okolicy nie było, dawno wybili wszystkie, mógł się jednak przyplątać biały król Północy.

Z pięciu kobiet przeżyła tylko jedna - trzy zachorowały i zmarły, czwarta zwariowała i Ojcowie Grzesznicy musieli ją zabić, była bowiem jak wilk i wygadywała ciągle okropne bezceństwa. Z pozostałą przy życiu któryś z Ojców w mrokach nocy polarnej począł dziecię. Nie wiadomo który, ponieważ kładli się z nią wszyscy po kolei. I dalej było tak, jak wcześniej opowiadali geologowi Argunowowi - do następnej zimy przygotowali się lepiej. Kobieta, imieniem Ksenia, chodziła cały czas brzemienna, rodząc dzieci jedno

po drugim. Powiła ich w sumie dwadzieścioro dwoje, z czego piętnascioro przeżyło, osiem dziewcząt i siedmiu chłopców. Ojcowie Grzesznicy pokładli się z dziewczętami, córkami Kseni, kiedy te dorosły, a żeby nie trafić na własną córkę, brali sobie te najmniej podobne. Przyrodni bracia i siostry, dzieci Kseni, również kazirodczo płodzili ze sobą dzieci, lecz od pokolenia wnuków Kseni zawierano już małżeństwa, a rodzeni bracia i siostry więcej ze sobą się nie kładli. I tak wszyscy Pomorcy ze Świętego Bartłomieja są potomkami dwunastu Ojców Grzeszników i Matki Kseni.

Matce Kseni, zdaje się, Bóg wybaczył, gdyż zmarła w połogu, dając życie swojemu ostatniemu dziecku, jednakże Ojcowie Grzesznicy jakoś nie marli. Od norweskich traperów słyszano co nieco o wielkiej wojnie w Rosji i o mężu francuskim, Napoleonie, który chciał cara antychrysta pogromić, ale klęskę poniósł, bo i on sam był antychryst. A Ojcowie Grzesznicy, coraz starsi, wyzuci już z chuci zupełnie, coraz bardziej niedołączni, ciągle nie marli. Poumierały ich dzieci, synowie i córki Kseni, mrzeć zaczęły Ksenine wnuki, a Ojcowie Grzesznicy żyli nadal, świadomi już tego, że są przeklęci. Wnuki ich umyśliły Ojców Grzeszników zagłodzić - bo wiedzieć trzeba, że od czasu strasznej tej zimy, kiedy piekło wylazło na zmrożoną ziemię i śniegi Grumantu spłynęły krwią niewinnych ludzi szlachtowanych na mięso niczym świnie, nikt wśród mieszkańców Świętego Bartłomieja na nikogo nie podniósł ręki w złości. Biły się dzieci, przekomarzając się o zabawki z kła morsa, lecz z gniewu nie wzniosła się żadna pięść.

Ojcowie Grzesznicy sami chcieli umrzeć, więc nie protestowali - dali się zamknąć w wyżłobionej w skale izbie i czekali na śmierć z głodu, ale nie nadchodziła. Chudli coraz bardziej, wysychali, brody im rosły i paznokcie, nie marli jednak, serca w nich biły i krew ciekła w żyłach i po dwóch miesiącach było już wiadomo, jaką karę za ich straszne zbrodnie wyznaczył im Bóg. Wnuki nie chciały, aby zniedołężniali Ojcowie chodzili po osadzie, toteż izbę zamknięto i Ojcowie Grzesznicy siedzą w niej do dziś.

Banderis wiedział trochę o głodzie. Sam prawdziwego głodu nie doświadczył, ot, tyle co w żołnierskich czasach, niedostatek jedzenia zwykła w wojsku rzecz - prawdziwy głód, hołodomor, widział za to parę lat wcześniej na Ukrainie. Pracował wtedy pod bezpośrednią komendą samego genseka Ukraińskiej SRR Stanisława Kosiora i odpowiadał za organizację i ochronę torgsinów w Kijowie, Charkowie, Połtawie i Winnicy. Widział wówczas rzeczy podobne do tego, o czym opowiadał mu Awwakum Awwakumowicz Łomkow, widział ojców, jak w głodowym szale niczym Ugolino raczyli się ciałami swych synów, widział ciała ludzkie obdarte z mięsa, widział wreszcie ludzką nogę ugotowaną w kotle i na wpół zjedzoną przez ludzi, których za to wyprowadził za chałupę i rozstrzelał.

W tę część opowieści Łomkowa Łotysz uwierzył zatem bez zastrzeżeń. Nieśmiertelność jako skutek klątwy była oczywiście niezgodna z marksistowsko-leninowskim materializmem, więc Banderis odrzucił ją od razu, natomiast sama nieśmiertelność, a raczej długowieczność - bo przecież kule z nagana podziurawiłyby ich tak

samo jak każdego - której dowód przecież widział w grocie, wydawała mu się możliwa. Po prostu nauka może jeszcze nie znać jej przyczyn. Skoro tylko pomyślał o nauce, przywołał geologa Argunowa i zadał mu pytanie o naukowe podstawy takiej długowieczności, dwustuletniej. Argunow był naukowcem sowieckim i nad wyraz skutecznie umiał powściągać zdrowy rozsądek przed obliczem zimnego uzbrojonego czekisty, potrafił również odczytywać z drobnych sugestii, cóż czekista chciałby usłyszeć. Wygłosił zatem parę naukowo brzmiących bzdur, układających się w zgrabny bełkot - spowolnienie metabolizmu, zahamowanie procesów starzenia na skutek diety, długowieczność Eskimosów, może również jakiś nieznaną związek chemiczny w skale. Albo pole magnetyczne. Promieniowanie kosmiczne. Co tylko Karlis Helmutowicz sobie raczy zażyczyć.

Karlis Helmutowicz Banderis obawiał się mocno o swoje życie, ale uznał, że pogrom niezamierzony i wbrew intencji przełożonych - rozkazy odczytał dopiero po powrocie na lodołamacz - może jakoś odkupić przez inne odkrycie, ludzi dwustuletnich. Ponury Gruzin z Kremla na pewno chętnie pochylił się nad odkryciem, dzięki niemu mógłby wszak pozostać w Moskwie już na zawsze nie jako mumia, jak Włodzimierz Iljicz, lecz jako wieczny przywódca Związku Radzieckiego, który z czasem niechybnie ogarnie cały świat.

W tym duchu sformułował nowy raport, który po zaszyfrowaniu przebył tę samą drogę, co poprzedni - na murmańskie biurko Kulikowa, dalej do Jeżowa w Moskwie, od Jeżowa zaś do Stalina.



Stalin, wbrew oczekiwaniom Banderisa, nie podniecił się wcale wizją wiecznego przywództwa, wściekł się za to nie na żarty - oto genialny powód do wysunięcia roszczeń terytorialnych do Spitsbergenu został zniweczony przez szalonego Łotysza, który na dodatek bredzi teraz o nieśmiertelności. Misterny plan legł w gruzach, nie mogli przecież powoływać się na rosyjską obecność na Spitsbergu, skoro właśnie ją unicestwili zbrojnie głupi marynarze, urządzając rzeź nie wiadomo po co. Wywrzaskiwał teraz te pretensje, waląc struchlałego Jeżowa fajką po głowie, aż gorący popiół oprószał uszy i ramiona Krwawego Karła. Litwinow i Mołotow obserwowali tę scenę z satysfakcją. Czyżby szurkowaty karzełek, sadysta, truciciel własnej żony, biseksualista, gwałcący własnych podwładnych i ich żony, miał pójść w ślady „zabójców Kirowa”, których tak wytrwale tropił, w ślady zinowiewowców i bucharinowców? Już teraz?

Nie, na razie nie. Nie ci ginęli, na których Stalin krzyczał, ginęli ci, których Stalin chwalił i awansował.

Słońce Narodów wyładował swoją wściekłość na łbie Krwawego Karła, wyszedł z gabinetu i z sąsiedniego pokoju dobiegły po chwili dźwięki „Suliko” w chóralnym wykonaniu.

- Nową płytę ma Koba, nowe wykonanie - mruknął odważnie Mołotow.

Jeżow wstał, wznosząc się na swoje półtora metra, jeśli mierzyć od pięt po czubek głowy. Jeszcze czuł się silny wtedy z zastępami swoich enkawudzistów, których obsypał przywilejami, podniósł im czterokrotnie pensje, dał piękne mundury galowe - biała bluza złotem

wyszywana, błękitne spodnie, kordzik w złocistej pochwie - mundury piękne jak u carskich oficerów marynarki. A w Moskwie w klubach oficerskich NKWD urządzał im bale, bale maskowe, jakby to carscy gwardziści w smokingach na te bale szli. Józef Wissarionowicz nie wydał żadnych poleceń, a to oznaczało, że Jeżow musi sam się domyśleć, co należy zrobić.

Wyszedł, limuzyna zawiozła go na Łubiankę, gdzie podyktował depeszę do Kulikowa, po czym otrząsnął się z resztek fajczanego popiołu i zstąpił w podziemia, gdzie czekali na niego więźniowie, mężczyźni i kobiety, na których powetuje sobie upokorzenie.

Komisarz gos-bezopastnosti trzeciej rangi Kulikow postąpił dokładnie według wskazań Jeżowa. Depeszę wysłał, ale nie do komisarza Banderisa, lecz do kapitana „Krasina” z poleceniem, by w pierwszym rzędzie aresztował enkawudzistę, który najwyraźniej oszalał, po czym by zniszczył ślady bytności Pomorców na Spitsbergu, zakuł tych, co ocaleli, - i natychmiast wracał do Murmańska.

Rozkazy wykonano. Aresztowanie enkawudzisty było czystą przyjemnością, tym większą, że wybito mu przy okazji dwa zęby. Geologowie mieli materiały wybuchowe - wykutą w skale wieś zaminowano i wysadzono, ocalałych Pomorców, nie wyłączając Awwakuma Awwakumowicza Łomkowa, aresztowano i w kajutach bez okien, jak Banderisa, przetransportowano do Murmańska. Tam wsiąknęli w chłodne podłogi cel - czy rozstrzelano ich na miejscu, czy przeszli przez gehennę łagrów, nie wiadomo, ale to nie ma znaczenia.

Banderisa rozstrzelano natychmiast po dziesięciominutowym procesie, przeprowadzonym przez trójkę pozasądową powołaną niedawnym dekretem Jeżowa, złożoną z sekretarza lokalnej partii, prokuratora i czekisty. Okazało się, że jako stary bolszewik, który osobiście znał Lenina, i tak był na liście do rozwałki, rozwalono go więc bez zbędnych ceregieli. Za Banderisem do rozwałki poszedł Kulikow, po Kulikowie członkowie trójki, która ich skazała - a przy okazji wysłała na wieczne zapomnienie do łagrów geologów wyprawy, kapitana „Krasina”, oficerów i co ważniejszych matrosów. A potem do rozwałki poszedł również Jeżow, kiedy Koba znużył się już jego plugawą obecnością.

Później zaś Koba sam albo z pomocą Berii wyciągnął kopyta i przyszedł Chruszczow, wcześniej znany jako „Rzeźnik Ukrainy” - zresztą znajomy Banderisa z czasów hołodomoru. I trwa do dziś, a o sprawie nikt już nie pamięta.

Poza Michaiłem Władimirowiczem Argunowem, który w trzydziestym siódmym dostał dwie dychy, z czego pięć lat odsiedział w zwykłym łagrze, przy wyrębie tajgi, a w czterdziestym drugim trafił do szaraszki, gdzie popracował trochę naukowo. Wyszedł w dziewiętnastym roku kary, po referacie Chruszczowa, jako człowiek czterdziestodziewięcioletni i trafił z powrotem na Spitsberg, do Barentsburga i Grumantbyen. O jego związkach z dawno zapomnianą sprawą nikt nie pamiętał, nikt też się nie pytał, za co odsiedział dwie dychy, bo cóż by to było za pytanie.

Argunow jednak pamiętał i kiedy zaprzyjaźnił się z Fiodorem

Wasiliewiczem, opowiedział mu wszystko. Wybrać się na Edgeøya nie mieli jak, Argunow zresztą nie znalazłby chyba tej zatoki, wspominał więc tylko to, co ujrzał w szklach lornetki co ostatecznie zabrało mu dwie dekady z życia.

Fiodor Wasiliewicz Aleksiejew opowiedział zaś wszystko swojemu zagranicznemu znajomemu.

## ROZDZIAŁ 10

Pisał już sześć godzin, rozboleły go plecy i ręka, wstał zatem od stołu, wziął papierosy, zapalniczkę, wyszedł przed barak i zapalił. Myślał o tym, co zapisał swoim dużym brzydkim pismem, którego nie zdołała mu poprawić nawet prywatna korepetytorka od kaligrafii jeszcze przed wojną. Lubił nadawać swoim raportom potoczystą literacką formę, oczywiście bez uszczerbku dla rzetelności relacji - ale w końcu Firma to nie wojsko ani państwowa agencja, nikomu takie śmieszności nie przeszkadzały. Stosunki w siedzibie, zarówno w londyńskiej filii, jak i w szwajcarskiej centrali, przypominały raczej spotkanie towarzyskie niż hierarchiczną strukturę w armii czy w biznesie. Z drugiej strony, w przeciwieństwie do armii czy biznesu, w Firmie nie było ani odrobiny tolerancji dla niekompetencji. Tam gdzie służył wcześniej, sztuką było kogoś niekompetentnego przesunąć na stanowisko, na którym wyrządzi jak najmniej szkód, a jeśli był człowiekiem ustosunkowanym, nawet to nie było możliwe. A w Firmie niekompetencja niejako automatycznie stawiała poza nawiasem tej społeczności. Firma była dla kompetentnych, dla tych, co znali swoje rzemiosło. Smith znał, więc czuł się komfortowo. Ale pamiętał pewnego myszowatego Czecha, który w Berlinie Zachodnim urznął się w knajpie i pobił z amerykańskim kapitanem o dziewczynę. Aresztowała go amerykańska Military Police i w areszcie, ciągle pijany, zaczął się odgrażać, że nie wiedzą, z kim zadarli, że zaraz będą go wypuszczać i przepraszać. Gadał strasznie dużo. I rzeczywiście ktoś pociągnął za sznurki i Franta Pavel wyszedł z mamra po sześciu

godzinach. Tyle że nikt go więcej w Firmie - ani nigdzie indziej - nie widział.

Smith zaciągał się dymem, pokasływał, opierając się plecami o ściany baraku, i rozmyślał nad historią Aleksiejewa. Ludzie radzieccy nie opowiadają takich historii. Rzecz nie w tym, czy opowiadanie Rosjanina jest prawdziwe - zawieszał tutaj zupełnie swoją niewiarę, nie mógł tego nijak zweryfikować. Rzecz w tym, że ludzie radzieccy nie opowiadają takich historii niezależnie od tego, czy są prawdziwe czy nie. Nie rozumiał zupełnie, po co Aleksiejew opowiedział mu o pomorskiej osadzie na Edgeøya i to go wyjątkowo denerwowało. Ale dowie się, musi się dowiedzieć.

Wrócił do pokoju i z długiego raportu, który przekaże Firmie osobiście po powrocie, sporządził streszczenie, jedna strona maszynopisu. Następnie sięgnął po „On the beach” - był już w połowie lektury - i zakodował wiadomość systemem równie prostym, co mozolnym, ale też absolutnie skutecznym, nie do złamania, jeśli nie zna się klucza. Kluczem była książka, zapamiętany ciąg cyfr 4-3-9-6-2-7 oraz szereg zasad, według których tekst był kodowany. Każdą z tysiąca liter wiadomości opisywał mianowicie liczbami oznaczającymi kolejno: numer strony w książce, numer wiersza i numer litery w wierszu. Liczby oddzielał losowymi sekwencjami liter bez znaczenia, które miały powiększać szum informacyjny dla kogoś, kto by próbował kod złamać. Ponieważ numer wiersza i numer litery w wierszu były liczbami maksymalnie dwucyfrowymi, poprzedzał je losowo dobranymi cyframi, co również stanowiło jeden z elementów

klucza. Zakodowane dziewięcioma cyframi litery rozdzielał losowymi sekwencjami nic nie znaczących znaków według zapamiętanego ciągu cyfr. Praca była mozolna i męcząca, zajęła mu kolejnych kilka godzin. W końcu wsunął zakodowaną wiadomość do koperty, spalił tekst niezaszyfrowany, a obszerny raport ukrył w wyściółce pokrowca na sztucer. Po czym w ubraniu rzucił się na łóżko, naciągnął koc na ramiona i zasnął od razu.

Otworzył oczy, jak mu się wydawało, natychmiast po zaśnięciu, dopiero spojrzenie na zegarek uświadomiło mu, że spał co najmniej dziesięć godzin. Żadnych snów nie miał, sama pustka i czerń. Pomyślał, że tak zapewne będą się czuli ludzie po zmartwychwstaniu.

Ktoś zapukał do drzwi, bardzo natarczywie, i Smith zrozumiał, że obudziło go właśnie pukanie.

- Idę! - krzyknął po polsku, lecz zaraz się zreflektował i dodał to samo po angielsku. Wskoczył z łóżka i otworzył drzwi.

W progu stał gubernator w swoim mundurowym płaszczu ze złotymi guzikami. Zmierzył wzrokiem Smitha odzianego tylko w kalesony, uśmiechnął się na moment, spoważniał zaraz i powiedział ponuro, że musi mu coś pokazać.

W parę minut później szli już między domkami w Longyearbyen, Smith upychał koszulę w spodniach, dopinał kurtkę i pytał, o co chodzi, ale Tønnesen odpowiedział tylko, że zobaczy na miejscu. Stanęli przed budynkiem takim samym jak wszystkie inne, postawionym ponad poziomem gruntu i obitym kolorowymi deskami - w tym przypadku ciemnozielonymi. Nad wejściem widniał napis

„Sykehus", szpital.

Weszli do środka, korytarzykiem do gabinetu, drzwi były otwarte. Za biurkiem siedział człowiek o poważnie zaburzonych proporcjach. Miał dobre dwa metry wzrostu, a ważyć musiał mniej od Smitha. Ręce miał długie jak węże, długie palce i nawet czaszkę długą, czoło wysokie, potężną zuchwę i wielki nos. Na tym nosie spoczywały grube kwadratowe okulary w rogowej oprawie, które dopełniały komicznej prezencji lekarza - bo był to lekarz bez wątplenia, odziany w biały fartuch i za lekarskim biurkiem.

Kiedy przez drzwi zobaczył Smitha i gubernatora, zerwał się zza biurka i Smith pomyślał, że przy tak gwałtownym ruchu powinien złamać się w pół. Nie złamał się jednak, w całości dopadł przybyłych i przywitał się, wyciągając szczupłą dłoń. Rękawy fartucha miał o wiele za krótkie, sięgały połowy przedramion, odkrywając brudne mankiety koszuli. Smith bardzo ostrożnie, żeby nie pogruchotać smukłych palców, uścisnął rękę lekarza, który przedstawił się jako doktor Torbjørn Dybha i obnażył żółte zęby w złowrogim uśmiechu klinicznego idioty.

Poprowadził ich korytarzem aż do ostatnich drzwi opatrzonych tabliczką z napisem „Likus", otworzył je i weszli do środka. Na samym środku kostnicy - bo niewątpliwie była to kostnica, w pomieszczeniu panowało zimno, cicho szumiał agregat chłodziarki - leżało tylko jedno ciało na blaszanych noszach: szczątki Gorzewskiego, umyte i rozebrane z tych resztek ubrań, w których Smith widział je na brzegu. Dopiero teraz zwłoki wydały mu się



straszne.

Owszem, widział wcześniej trupy. Z daleka niewyraźne kształty dwóch ciał na ulicy w trzydziestym dziewiątym. Później siwego dziadzia w robociarskiej czapce z czterema dziurami w piersi: dłonie zaciskał nadal na starej Judenflinte, na ramieniu miał czerwono-czarno-czerwoną opaskę z białym wyszytym napisem Deutscher Volkssturm Wehrmacht, podczas gdy Smith, liczący wtedy lat piętnaście, z taką samą opaską na ramieniu, przerażony jak zwierzę wtulał się w kąt pokoju, odpychając od siebie nogą wystrzeloną rurę pancerną. I jakoś tak się złożyło, że potem długo nic, ani w Niemczech, ani w Anglii, i dopiero po powrocie do Polski spotkał trupa następnego. Kobiety, pięknej brunetki. Sam ją zastrzelił, wpakował jej kulę kaliber 7,62 milimetra w czoło, centymetr nad pięknymi brwiami, starannie wydepilowanymi, tak że zakreślały regularne równe łuki nad wielkimi oczami, czarnymi i zimnymi jak piekło. Miał wtedy czas, nie spieszyło mu się, stał więc nad trupem - upadła niezgrabnie, do tyłu, jakby złamała się w pół, smukłe nogi w błyszczących pończochach rozrzucone, dziwacznie zgięte w kolanach, oliwkowozielona spódnica zawinęła się i obnażyła nagie uda nad podwiązkami. Nagie śniade uda, bardzo kształtne. A czarne lśniące włosy rozsypały się na ziemi, na posadzce, jak ścięte kudły w zakładzie fryzjerskim, wypływała spośród nich powoli ciemna krew. Nic wtedy nie czuł, chociaż szukał w sobie jakiegoś uczucia, choćby przerażenia albo żalu. Miał zresztą z tą dziewczyną kupę szczęścia, złapali go bowiem dwa dni później, ale nie powiązali z jej trupem,

przypisywali śmierć porucznik Majewskiej eneszetowcom bądź jakiejś nierozpoznanej jeszcze komórce WiN-u czy co tam się jeszcze wtedy ostało. Gdyby powiązali tę dziurę w czole z nim, nie byłoby żadnych wymian później, tylko od razu odstawiliby go w podziemia więzienia i kula w łeb. Zapewne również kalibru 7,62 milimetra.

Ostatni trup był mniej estetyczny niż porucznik Majewska. Poharatały go odłamki małej bomby, którą ów człowiek, zanim stał się trupem, sam przygotowywał na firmowym szkoleniu. No i pomylił się przy pracy, w bombie były gwoździe, wielkie pięciocalowe hufnale, zamierzali bombę odstrzelić w bezpiecznym pomieszczeniu i zbadać skuteczność rozrzutu - zamiast tego Eduards Berlin, ryski Żyd uważający się za Łotysza, chociaż po łotewsku potrafił jedynie przeklinać, całkiem niestary, czterdzieści lat tylko, skończył z urwanymi palcami i gwoździami powbijanymi w klatkę piersiową. Prezentował się mniej estetycznie, bo zamiast schludnej dziury w czole i wąskiej strużki krwi było dużo dziur i dużo krwi, a na dodatek został żal po dobrym koledze.

Zwłoki Gorzewskiego, obmyte i nagie, były jednak o wiele straszniejsze niż Berlin naszpikowany gwoździami. Biała skóra bez krwawych zacieków kontrastowała boleśnie z ziejącymi czerwienią otwartymi jamami, z których błyskała biel kości. Zamiast twarzy - makabryczna maska z pokrytej resztkami mięsa czaszki. Zamiast brzucha - krwawa dziura, jak u rzeźnika na haku, w środku ani śladu organów wewnętrznych, tylko samotny urwany sznurek jelita. Objedzone do kości uda i krocze. Ale najgorsze wrażenie robiły dłonie

- nietknięte białe dłonie o szlachetnie długich palcach, czystych, krótko przyciętych paznokciach, ze złotą obrączką na właściwym jej miejscu.

- Bardzo mi przykro, panie Smith, że musi pan to oglądać - odezwał się gubernator, który nie umiał opanować drżenia brody. Dybhal pokiwał głową, potwierdzając, że jemu również jest bardzo przykro, przewrócił z tej przykrości oczami i ponownie odsłonił swoje końskie zęby w straszliwym uśmiechu idioty. - Ale prosiłbym, żeby pan zerknął jeszcze na coś - kontynuował Tönnessen.

Skinął głową na doktora podobnego do frankensteinowego golema. Torbjørn Dybhal z radością odkiwnął wielkim łbem, obszedł metalowy stół ze zwłokami Gorzewskiego i zachęcającym gestem palca oraz uśmiechem przywołał do siebie Smitha, który niechętnie stanął obok wielkiego Norwega. Czubkiem głowy sięgał mu niewiele ponad ramię.

Dybhal wskazał paluchem prawe kolano Gorzewskiego. Niedźwiedź kolana nie tknął, na skórze widniał duży czarny krwiał, a goleń układała się pod dziwnym kątem względem uda.

- Doktor Dybhal twierdzi, że do uszkodzenia kolana doszło przed śmiercią pana... Gosecky? - powiedział Tönnessen, łamiąc sobie język na polskim nazwisku. - Ktoś uderzył go tępym twardym przedmiotem.

Smith zgodził się z gubernatorem. To rzeczywiście nie wyglądało na naturalne zwichnięcie, ktoś przetrącił Gorzewskiemu kolano. Pałką. Obuchem siekiery. Albo kolbą sztucera.

Gubernator znowu wykonał ten nieokreślony, niezbyt grzeczny

ruch głową, określany zwykle jako „skinięcie na kogoś” - tym razem na Smitha. Dokładnie był to ruch od Smitha w stronę drzwi, oznaczający zapewne, że mają razem wyjść z likhusu. I wyszli, najpierw z likhusu, a potem z sykehusu wprost na pokrytą węglowym pyłem podmokłą ziemię między barakami Longyearbyen.

Tønnessen zaproponował spacer. Smith nie odmówił, zawiązał tylko mocniej sznurówki butów, zapiął parkę i poszli z Haugenu w stronę wybrzeża fiordu, i dalej kamienistą plażą w stronę Isfjorden, aż do masztów radiowych. Gubernator milczał, a Smith nie chciał zagajać rozmowy. Kurtka mu przemokła, wreszcie Tønnessen zatrzymał się przy zardzewiałej beczce po ropie, usiadł na niej, nie zważając na to, że brudzi na rudo swoje eleganckie wełniane spodnie. Milczał jeszcze przez chwilę, pocierając palcami ledwie kielkujący po porannym goleniu zarost, aż w końcu zaczął Smitha przeproszać. Przeproszał, że to niestosowne, przeproszał, bo wiedział, że to w zasadzie nie wypada, ale konieczność jest taka, jaka jest, i inaczej trudno mu to załatwić, ma tylko jednego człowieka i tak dalej. Od przeprosin przeszedł do komplementów, że Smith taki inteligentny, spostrzegawczy, że tyle języków, prawdziwy poliglota, do tego naukowiec...

Smith słuchał cierpliwie, rytualnie przytakując, kiedy gubernator skarżył się, jak jest ciężko, i zaprzeczając, kiedy prawił mu komplementy. W końcu sysselmann dotarł do kresu swojej przemowy, wyraźnie już zmęczony.

- John... Czy mogę tak do pana mówić? - zagadnął. - You don't

mind I call you John? - Smith nie znosił, kiedy ktoś zwracał się do niego „John”, ale oczywiście zgodził się skwapliwie - A więc, John, chciałbym cię poprosić, żebyś został moim, powiedzmy, nieoficjalnym zastępcą. Czy coś w tym stylu. Chciałbym, żebyś pojechał do polskiej stacji w Hornsundzie, mógłbyś tam prowadzić swoje badania, a jednocześnie może byś się dowiedział czegoś o okolicznościach śmierci Gorzewskiego. Mówisz po polsku, na pewno ci zaufają.

I gadał dalej, snuł podejrzenia - któż to mógł być? Jakiś zabłąkany traper? Po co? Przecież nie po to, żeby obrabować naukowca, nic zresztą nie zginęło, ani obrączka, ani zegarek, poza tym tutaj, na Svalbardzie, nie zdarzają się rabunki. Więc kto inny? Rosjanie? Po cóż Rosjanie mieliby zabijać polskich naukowców? In what purpose?

I w końcu doszedł do sedna swoich podejrzeń: to musiał być ktoś z nich, któryś z Polaków. Jakaś sprawa osobista najpewniej. Kobieta, polityka może albo kariera...

Smith spodziewał się wszystkiego, ale nie takiej prośby. I wcale nie był przekonany do wersji gubernatora. Musiał wyglądać na zaskoczonego, bo sysselmann zaczął natychmiast się tłumaczyć, że to tylko taka prośba jest i że jeśli z jakiejś przyczyny mu nie pasuje... i tak dalej.

Smithowi wszakże pasowało, oczywiście, jak najbardziej pasowało. Nie przyleciał przecież na Svalbard bez powodu. Przyleciał, bo dostał takie zadanie. Rabbi wezwał go do gabinetu, usiedli obaj na

fotelach przy niskim stolyczku, Rabbi nie pytając, czy Smith ma ochotę na drinka, rozlał stary koniak do pękatych kieliszków i zaczął opowiadać o strategicznym znaczeniu odległego archipelagu Spitsbergen. Smith nie wiedział wtedy o Spitsbergenie prawie nic, nazwa kojarzyła mu się z nieudaną ekspedycją Nobilego, o której kiedyś było głośno, z Amundsenem i tyle. Z Daleką Północą.

Na szefa mówili Rabbi, chociaż nie był Izraelitą i na dodatek całą wojnę przesłużył podobno w niemieckich komandosach, w batalionie Brandenburg, miał więc mocne powiązania z dawną Abwehrą. W Firmie pracowało jednak wielu Żydów, szczególnie kiedyś, szef zaś, człowiek o bliżej niesprecyzowanych korzeniach, podobno bałkańsko-szwajcarskich, a może zupełnie innych, miał żydowski sposób referowania spraw: mówił przypowieściami, alegoriami, metaforami, opowiadał historyjki i anegdoty - i właśnie dawni żydowscy pracownicy nadali mu ten przydomek, który przyjął się nawet w półoficjalnych dokumentach Firmy. Rabbi był wysoki, szczupły, siwowłosy, chodził w drogich garniturach w prążki i błyszczących krawatach z jedwabiu, z sygnetem i staromodnym zegarkiem w kieszonce kamizelki. Wyglądał, nosił się i zachowywał jak angielski dżentelmen, po angielsku mówił bez śladu akcentu, pięknym royal english, i tylko czasem Smith (do którego Rabbi zwracał się prawdziwym nazwiskiem) widział w oczach szefa bałkańskie (albo i nie bałkańskie) ogniki, kiedy ruszył siwym, przystrzyżonym po angielsku wąsikiem, słuchając bojowych opowieści, jakby mu zagrała nagle krew serbska, chorwacka czy jaką

tam miał w żyłach oprócz szwajcarskiej.

Razem z pierwszym kieliszkiem Rabbi skończył wykład, dolał sobie drugą, sutą porcję koniaku i przedstawił Smithowi zadanie. Po pierwsze, ogólny raport o sytuacji wewnętrznej na Spitsbergenie, w norweskich i radzieckich osadach, określenie warunków prowadzenia różnej działalności, bezpieczeństwa, napięć międzynarodowych i tak dalej. Coś, co można potem, przez dwa albo trzy lata, wielokrotnie sprzedawać różnym międzynarodowym przedsiębiorstwom szukającym informacji o Spitsbergenie. Słowem, zwykła codzienna działalność Firmy, a również druga przykrywka. W socjologa mogą uwierzyć zwykli ludzie, lecz jeśli na Svalbardzie jest jakakolwiek sieć wywiadów lub kontrwywiadów, amerykańskich, norweskich i radzieckich, szybko połapią się, że historyjka o socjologii nie bardzo się kupy trzyma - wtedy poszperają troszkę i uspokojeni dowiedzą się, że Smith pracuje dla Firmy w branży raczej znanej ze swojej komercyjnej działalności, więc uznają, że facet po prostu pisze raport, który potem będzie sprzedawał różnym tłustym kapitalistom za dziesięć tysięcy dolarów.

Koniak był pierwszorzędny, pałący i aromatyczny, Rabbi zaczął trzeci kieliszek, dolał też Smithowi, który nie skończył jeszcze pierwszego, po czym przedstawił zadanie właściwe. Zinfiltrować polską stację, zwerbować kogoś i urządzić się na Svalbardzie w roli rezydenta. Prowadzić zwerbowanego agenta tak, aby dowiedzieć się jak najwięcej o sowieckiej aktywności wywiadowczej i militarnej, czekać na dalsze instrukcje w sprawie ewentualnego przejścia od

biernego gromadzenia informacji do działania.

A Tönnessen patrzył teraz zgnębnym wzrokiem i wstydził się, że jako sysselmann lądu większego niż Niderlandy ma do dyspozycji tylko jednego człowieka i o zbadanie sprawy możliwego morderstwa prosi człowieka z zewnątrz. Tłumaczył się z tego przez jakiś czas, ze skrucą przyznając, że oczywiście łamie tą prośbą różne przepisy. I tak dalej. Smith przetrzymał go zatem jeszcze przez chwilę, pozwolił gubernatorowi trochę się jeszcze pomartwić.

Sysselmann zaczął wyjaśniać, że chodzi mu tylko o pobieżną orientację w sytuacji, nie chce, by Smith podejmował jakiegokolwiek działania, to nie ma być przecież śledztwo, nie chodzi o to, by kogoś aresztował, ma się po prostu dowiedzieć czegoś, tylko tyle. Sprawa jest subtelna, dotyczy delikatnej materii stosunków międzynarodowych, więc kiedy tylko Smith zdoła się dowiedzieć, jak sprawy stoją, to oczywiście on, gubernator, wkroczy wtedy z całym swoim autorytetem.

Smith kiwał głową i nie minęła nawet doba, a pakował do łodzi namiot, śpiwór, jedzenie na parę dni i ubrania.



## ROZDZIAŁ 11

Łódka była dość spora, długa na cztery metry, miała spory forpik, czyli małą kabinę na dziobie, dobre miejsce na bagaże i zapasy. Kadłub cały okuty był mocną blachą, w burtach tkwiły dulki, ale głównym napędem był dwusuwowy evinrude-johnson z zewnętrznym bakiem, siedem i pół konia mechanicznego dziarsko pchało łódeczkę naprzód, rycząc czasem dziko, kiedy na wyższej fali śruba na chwilę wyszła z wody.

Siedział skulony na rufowej ławeczce z dłonią w rękawiczce na manetce. Na nogach miał wyłożone filcem gumiaki sowieckie, które dostał w prezencie od Tönnesena, w zawiniętym w wodoodporną torebkę nylonową portfelu pismo sygnowane przez sysselmanna, zredagowane po norwesku i angielsku, a upoważniające Johna Williama Smitha do prowadzenia bliżej niesprecyzowanych działań „informacyjnych” na terenie całego Svalbardu. Pod ręką, wetknięty w uchwyty na burcie, od morskiej wilgoci rdzewiał sobie karabin, w kaburze pod pachą ciążył kolt, za rufą silnik hałasował po swojemu. Szedł blisko brzegu, był już w Hornsundzie, za parę godzin będzie na miejscu.

Trochę obawiał się samotnego rejsu i sporo czasu spędził nad mapą, planując postoje - chociaż słońce jeszcze nie zachodziło, musiał przecież spać. Poprzedniej nocy spał w namiocie na plaży, łódź bezpiecznie spoczywała wtedy na kamieniach, przycumowana dla pewności do wielkiej kłody syberyjskiego świerka albo modrzewia, którą przygnały na zimne wybrzeża morskie prądy.

Długo nie mógł zasnąć, myślał o białym poszarpanym trupie w kostnicy, o norweskim górniku samouku i o Fiodorze Wasiliewiczu oraz jego historii. Leżał pod burym brezentem, zagrzebany w ciepły śpiwór, z papierosem w ustach, co jakiś czas wyciągając tylko dłoń spod puchu, aby zrzucić popiół do blaszanego kubka po kawie, i miał przerażające, straszne wrażenie, że wszystko to, wszystkie te dziwne przygody, Norweg, Rosjanin i polski trup jakoś się łączą, jakiś kosmiczny związek przyczynowo-skutkowy wiąże je w jedno. Szaleństwo, czyste szaleństwo. Jak paranoja.

Aby uwolnić się od tego strasznego wrażenia, że wariuje, zaczął wtedy, w namiocie, chwycić się przyjemnych wspomnień, nie miał ich wiele, wracał do tych paru chwil jak do zdjęć w albumie, zamykał oczy i przewracał kartki w głowie. Wiedział, że wspomnienia, przefiltrowane przez te wszystkie lata, przez cierpienie, strach przed śmiercią, przez wysiłek, niewiele już mają wspólnego z tym, co działo się przed laty, pamięć zmienia się i dorasta wraz z jej nosicielem, dzisiejsze wspomnienia więcej niż o samej chwili mówią o całym okresie życia, jaki dzieli moment wspominania od chwili, której dotyczą.

Czy więc to było lato, kiedy spacerowali z ojcem i matką ulicą Warszawską do Rynku, pod Teatr Wyspiańskiego? Kiedy leżał w namiocie z zamkniętymi oczami, widział wyraźnie katowicką ulicę w lecie: kobiety w lekkich sukienkach, ojciec w jasnym garniturze, w dłoni trzyma kapelusz, białą fedorę z czarną taśmą, bo właśnie rozmawiają ze znajomymi, z którymi umówili się pod teatrem. W

rozmowie przeplatają polski i niemiecki, znajome małżeństwo też przyprowadziło syna, chłopak nazywa się Peter. Smith, który wtedy oczywiście nawet nie myślał, że mógłby przedstawiać się jako John Smith, ma dziewięć albo dziesięć lat, je lody i nie lubi Petera - starszego, większego i bezczelnego. Jest rok trzydziesty siódmy chyba albo trzydziesty ósmy, rodzice rozmawiają ze znajomymi o jakichś trywialnych sprawach. Kataryniarz kręci korbą i katarynka gra melodię „Miłość ci wszystko wybaczy”. Czy to na pewno była piosenka Ordonki? A może jakaś inna popularna melodia, tylko Smith po prostu woli pamiętać tę najbardziej znaną i charakterystyczną dla tamtych czasów?

Słyszał ją ostatnio na dwa dni przed wyjazdem. Roman, kolega z Firmy, nastawił gramofon i słuchali Ordonki, pijąc wódkę. Nie otwierając oczu spróbował zagwizdać melodię, ale przerwał po paru nutach, sam słyszał, że okropnie fałszuje. Katarynka chyba też fałszowała. Czy to wtedy ojciec się skrzywił, nałożył fedorę na głowę i poszli dalej razem z przyjaciółmi i ich synem? Tamten facet nazywał się Bucholz i był niemieckim działaczem, ale przyjaźnili się z tatą, śmiali się, że mają takie symetryczne małżeństwa, ojciec Polak z żoną Niemką i Bucholz Niemiec z żoną Polką.

Bucholz był potem w NSDAP, lecz mama zawsze mówiła, że to porządny człowiek, ukrył ojca we wrześniu 1939 przed szukającymi go freikorpserami Ebbinghaus'a i pomógł uciec z Katowic.

Czy na pewno wtedy spotkali się z Bucholzami właśnie? A może to byli jacyś inni katowiczanie, a on zapamiętał Bucholza ze względu

na późniejsze losy ojca?

A twarz mamy, kiedy ostatni raz ją widział, już ponad dziesięć lat temu. Czy pamięta ją z tamtych czasów, zmęczoną i ciągle piękną, jeszcze przed czterdziestką, jeszcze nie nosiła okularów - całuje go na schodach, patrzy mu przez dwie sekundy w oczy i mówi bardzo cicho, prawie szepcze, najpierw po niemiecku i potem jeszcze raz po polsku:

- Du wirst zurück kommen, Söhnchen. Ty wrócisz do mnie, syneczku. Wrócisz.

I wierzy w to mocno, i on też. Czy do tamtej chwili, do jej postaci oświetlonej słabą żarówką, dokleja jej twarz z fotografii starszą o te kilka lat zmartwień, cierpienia i smutku? Czy może cały czas myślał o niej podczas tych długich godzin, kiedy jechał ukryty pod podłogą wagonu, z podkładami mknącymi kilkadziesiąt centymetrów niżej, na wyciągnięcie ręki, w ogłuszającym huku kół?

I kolejne wspomnienie. Jest maj, dwa miesiące wcześniej Stalina diabli wzięli, Smith jest już zatrudniony w Firmie i jako głównej tożsamości używa paszportu wystawionego na nazwisko Johna Williama Smitha, ciągle się szkoli, mieszka w Zurychu. Któregoś dnia przychodzi do niego Rabbi i osobiście uroczystym głosem mówi, że się udało, powiadomili jego matkę o losach jej jedyne dziecko i za godzinę Smith będzie mógł porozmawiać z nią przez telefon. I rzeczywiście, rozmawiają, telefon jest prywatny i matka może mówić po niemiecku, płacze i śmieje się równocześnie, słyszy jego głos, kiedy jemu wreszcie udaje się wykrztusić parę słów, obiecuje jej, że jak tylko będzie to możliwe, za parę lat może, przyjedzie do niej albo

ściągnie ją na Zachód. A ona mówi, żeby przyjechał i że nie chce na Zachód, chce żyć i umrzeć tam, gdzie się urodziła, dobrze, mamo, ważne, żebyśmy mogli się zobaczyć. W 1945 krzyczała na urzędnika swoją twardą polszczyzną, że może nie mówi idealnie po polsku, ale jest żoną powstańca śląskiego i nie zamierza wyjeżdżać do Niemiec. Może to był błąd?...

Wtedy w końcu zasnął. Rano podgrzał sobie konserwę na benzynowym kocherze, spakował się szybko, zepchnął łódź na wodę i ruszył, klnąc szpetnie, bo zamoczył filcową wyściółkę gumiaków.

Zmarzły mu stopy, lecz przed sobą widział już Przylądek Wilczka. Morze było spokojne, wykorzystał więc moment, aby dolać benzyny do baku - musiał wyłączyć silnik, bo bak był ciśnieniowy. Dolał, potem pomęczył się chwilę z szarpanką, ponieważ linka spadła z rolki rozrusznika, po kwadransie jednak silnik znowu terkotał i po trzech godzinach Smith wyciągał już łódź na plażę nieopodal baraków polskiej bazy.

Polarnicy zauważyli go od razu i ruszyli na pomoc. Do wysiłków Smitha siłę swych bicepsów i grzbietów dodali profesor Kumor i meteorolog w pomarańczowej kurtce, nazwiskiem Kowalewski. Wyciągnęli razem łódź na bezpieczną odległość od wody i dopiero wtedy przyszedł czas na powitanie. Podali sobie dłonie i szef polskiej wyprawy zapytał po prostu:

- Co pana do nas sprowadza?

Zabrzmiało to odrobinę niegrzecznie, ale kiedy Smith spojrzął na profesora, przekonał się, że nie było to zamierzone. Kumor był

chodzącą praktycznością. Niski, chudy, lecz bardzo żyłasty, jakby składał się z samych kości, ścięgien i wąskich napiętych mięśni, nie nosił na ciele ani grama zbędnego tłuszczu. Wyrażał się precyzyjnie i zadał pytanie o powód przyjazdu po prostu dlatego, że go ten powód interesował. Bez ukrytych intencji.

- No więc... - głupio rozpoczął zdanie Smith - wiedzą panowie, że jestem socjologiem zatrudnionym w London School of Economics i prowadzę badania nad izolowanymi społecznościami, w tej chwili właśnie tutaj, na Spitsbergenie.

Profesor skinął głową, potwierdzając, że przyjął powyższe do wiadomości.

- Przy okazji mojej ostatniej wizyty, kiedy pomagałem gubernatorowi, pomyślałem, że mógłbym poprowadzić część moich badań tutaj - kontynuował Smith.

- Doskonale. Zapraszamy - odparł lakonicznie Kumor. - Miejsca u nas dość, jedzenia też wystarczy.

- Ja oczywiście bardzo chętnie wezmę udział we wszelkich pracach obozowych i gospodarczych, a moja uczelnia wyposażyła mnie obficie w diety, więc chętnie pokryję koszty - wyrecytował Smith.

Szef zamachał dłońmi, jakby bronił się przed propozycjami Smitha. Luźne klapy podbitej futerką uszanki podskakiwały zabawnie.

- Nie ma potrzeby, nie! To znaczy, dodatkowa para rąk do pracy na pewno się przyda, zwłaszcza teraz, kiedy nie ma już z nami

Zbyszka, ale o pieniądzach nie ma mowy. Zapraszamy do stacji, zaraz będzie kolacja!

Z pomocą Kowalewskiego i Kumora Smith zabrał wszystkie bagaże z łodzi i poszli do baraku.

W środku przy stole siedziało tylko czterech mężczyzn: Barcz z fajką w zębach, ponury jak na pogrzebie biolog Maliński, nie znany Smithowi z nazwiska polarnik o łysej jak kolano głowie i szerokich barkach oraz gładziutko ogolony brunet o zadbanych dłoniach, piszący coś w niewielkim notesiku. Przy garach kręcił się piąty w płóciennym fartuchu zawiązanym na kraciastej koszuli. W izbie pachniało czymś pożywnym i niewykwintnym.

Kumor zaanonsował Smitha, powiedział parę słów - że będzie mieszkał tutaj przez jakiś czas, prowadzi badania dla London School of Economics, ekipa jest zaszczycona i tak dalej. Chwila wydawała się chyba dość uroczysta, bo nawet kucharz odwrócił się od osmalonego gara i słuchał, wycierając dłonie o fartuch. Barcz uśmiechał się życzliwie, Malińskiemu oczy zwęziły się w wąskie szparki i patrzył na Smitha ze szczerą nienawiścią, rosły łysol wstał zaś z za stołu i wyciągając przed siebie dłoń do powitania jak bukszpryt żaglowca, spieszył się przedstawiać i składać swoje uszanowanie ze śpiewnym lwowskim akcentem. Antoni Zieliński, geofizyk, doktor habilitowany, moje uszanowanie koledze. Po nim przywitali się wszyscy po kolei, brunet przedstawił się jako Smółdziński, lekarz. Maliński też się przywitał, tyle że wyłącznie niechętnym skinieniem głowy, ręki Smithowi nie podał.

Przywitał się również kucharz, Stanisław Gołąb, kucharz polarny i złota rączka - tak się przedstawił warszawską wymową rodem z Grzesiuka, niewątpliwie prosty człowiek, żaden intelektualista, pracownik gospodarczy. Oczywiście miał bardzo bystre i wzrok przenikliwy.

Usiedli razem do posiłku. Zaserwowana pulpa z ryżu, konserw mięsnych i koncentratu pomidorowego nie sięgała wyzyna sztuki kulinarnej, ale Smith jadł z przyjemnością, potrawa była gorąca, obfita i pożywna, a tego właśnie potrzebował po męczącym rejsie. Rozmawiali przy jedzeniu o pogodzie, o kończącym się dniu polarnym, tylko Maliński nie odezwał się ani słowem, za to po posiłku zrobił duży dzbanek herbaty, po czym usiadł na drugim krańcu stołu i pogрузił się w lekturze książeczki w poprzecieranej płóciennym oprawie. Na okładce złotymi literami wytłoczono: Lenin, „O Polsce i polskim ruchu robotniczym”. Smith uśmiechnął się do siebie w duchu. Efekt zamierzonego przezeń planu będzie jeszcze większy.

- Na pewno cierpią panowie na brak rozrywkowych lektur. Przywiozłem ze sobą trochę książek i gazet, już przynoszę - powiedział niewinnie i sięgnął do plecaka, w którym spoczywały książki. - Na polskie książki nie mogłem liczyć, brałem to co po angielsku i niemiecku - rzucił, wygrzebując paczkę z plecaka. - Tutaj mam trochę numerów „Time'a” z ostatniego roku, proszę.

Przesunął na stół stertę magazynów, rozsypały się w szeroki wachlarz. Na kolorowych okładkach obwiedzione czerwoną ramką piękne malarskie podobizny wielkich tego świata. Śliczna blondynka



Kim Novak, aktorka. Twarz czarnej tenisistki Althei Gibson, konceptualistycznie wmalowana w zarys kortu, rakiety i piłki tenisowej. Dobrotliwie uśmiechnięty Chruszczow na tle gwiazdy czerwonej, malarz oddał każdą zmarszczkę wokół zmrużonych mądrych oczu genseka. Wśród nich, niczym kontrapunkt, czarno-białe zdjęcie króla Jordanii Husajna w mundurze i kefiji.

Numery nie były poukładane chronologicznie, doktor Smółdziński podniósł numer z Chruszczowem i spod świeżutkiego lipca z Chruszczowem ukazał się zeszłoroczny Gomułka.

- O, towarzysz pierwszy sekretarz! - zainteresował się Maliński.

- Całe szczęście, Mirek, że nie czytasz po angielsku. Mógłbyś niechcący przesiąknąć propagandą imperialistów - zadrwił lekarz, sięgając po numer z Gomułką, zanim Maliński zdążył to zrobić. Położył go przed sobą, przykrywając Gomułką Chruszczowa.

Spod łysiny Gomułki na stercie magazynów jak diabełek z pudełka wyskoczyła śmieszna buźka facecika obdarzonego siwym wąsikiem i nastroszonymi brwiami. Premier Iraku Assad. Młody biolog przełamał się i rozsunał magazyny. Spod premiera Iraku wypadł jakiś amerykański trener w bejsbolowej czapce, w czarny garnitur odziany sędzia nazwiskiem Warren oraz jeszcze jeden magazyn, którego okładka Malińskiego zmroziła.

Obwiedzione czerwoną ramką żółte tło. Na żółtym tle świetlisty krzyż, portret kardynała Wyszyńskiego w koloratce i czerwonej piusce oraz polskie godło. Orzeł biały. W koronie.

Maliński poczerwieniał na twarzy.

- To prowokacja - powiedział, nie podnosząc głosu, lecz adrenalina już buzowała mu w żyłach i słowa drżały w ściśniętym gardle.

- Kolego Maliński, uspokójcie się i bądźcie uprzejmi dla naszego gościa - przywołał go do porządku Kumor oficjalnym tonem.

- Patrz pan na to! - wybuchnął Maliński, rzucając „Time'a" z Wyszyńskim na stół przed profesorem. - Przynosi tutaj tę ordynarną propagandę...

- Tę - przerwał mu szef.

- Co? - Maliński wybałuszył oczy na Kumora, zastopowany w swoim zacietrizewieniu, jakby ktoś uzdę szarpnął.

- Proszę - odparł spokojnie profesor.

- Co: proszę? - krzyknął rozpaczliwie biolog łysenkista.

- Nie co, tylko proszę. I tę. Tę propagandę, nie: tą propagandę - wytłumaczył życzliwie profesor, uśmiechając się jak nauczyciel czerpiący głęboką przyjemność ze swych pedagogicznych powinności.

Młody biolog zastygł jak woskowa rzeźba, gapiąc się na profesora w niemej bezsilności, aby po dziesięciu sekundach opaść na krzesło. Kumor przejrzał cover story.

- Piszą tutaj, że w przeciwieństwie do węgierskiego kardynała Mindszentyego kardynał Wyszyński współpracuje z komunistycznym rządem, zawiera kompromisy i takie tam.

Maliński machnął ręką, nie chciał tego słuchać, wrócił do swojej książki, a reszta polarników łączywie wzięła się do lektury

amerykańskich magazynów.

Skoro wszyscy czytali, Smith wyjął swój egzemplarz angielskiego wydania „Lenina” Ossendowskiego z podtytułem „God of the godless” i też zajął się lekturą.

Po chwili przysunął się doń, niby ukradkiem, profesor Kumor.

- Panie kolego - szepnął. - Niechże pan się z tą książką nie afiszuje za bardzo, dobrze? To jest raczej taki niezbyt dobrze postrzegany autor w dzisiejszych czasach u nas, rozumie pan.

Smith uśmiechnął się promiennie i natychmiast schował Ossendowskiego do plecaka, po czym sięgnął po czasopismo.

Nawet Gołąb, kucharz, wziął do ręki jeden numer i jął przeglądać ilustracje zafascynowany „Time'em” jak pięknym przedmiotem - treści nie rozumiał, bo nie znał angielskiego. W końcu nasycił się gładkością błyszczącego papieru, zniknął w drzwiach do magazynu i pojawił się po chwili w mesie, niosąc koszyczek pięknych, błyszczących soczystą czerwienią jabłek.

- To ostatnie już. „Bałtyk” odpłynął trzy tygodnie temu, a wy zżarliście już wszystkie jabłka - zrzędził, kładąc koszyk na stole. - Teraz do przyszłego roku będziecie żyć o ananasach z puszeki.

Ciszę przerwały odgłosy mięszu pękającego pod mocnymi zębami młodych mężczyzn, którzy przyjechali tutaj jako meteorologowie, radiotechnicy, geologowie i botanicy, ale tak naprawdę dla przygody, tej samej, którą spodziewał się tu znaleźć Smith, przygody jak z książek Londona.

Smith nie wdawał się w żadne spory, o niczym nie opowiadał,

podtrzymywał rozmowy jedynie na tyle, na ile wymagało tego dobre wychowanie, o nic nie pytał i niczego nie dociekał - i zachowywał się tak przez kilka dni, aż zainteresowanie gościem zza Żelaznej Kurtyny nie roztopiło się w codzienności. Polacy w końcu uznali go za nudziarza i przestali zwracać nań uwagę, tylko Maliński ciągle patrzył podejrzliwie, jakby spodziewał się w nim szpiega z imperialistycznego Zachodu. Którym Smith w istocie był - i ta automatyczna, głupawa, wyśmiewana przez kolegów partyjna podejrzliwość Malińskiego trochę go martwiła.

Polarna codzienność polskich naukowców nie miała prawie nic z Londonowskiego romantyzmu. Najpierw Smith pomagał Zakrzewskiemu przy pracy z dieslowskimi agregatami, które wymagały ciągłej uwagi i konserwacji. Agregaty łądowały akumulatory rodem - jak twierdził Zakrzewski - z okrętu podwodnego, a praca przy nich oznaczała ciągłe wdychanie oparów ropy, czarny olej wtarty we wszystkie pory skóry na dłoniach, nagłe pogotowie, kiedy w porze snu siadało napięcie - a Smith na dodatek nie znał się zbytnio na silnikach, mógł więc pomagać tylko jako dodatkowa para rąk sterowanych poleceniami inżyniera Zakrzewskiego.

Potem szef „odebrał” go Zakrzewskiemu i oddał na usługi meteo, Smith odetchnął. Praca była lżejsza, chociaż oznaczała konieczność wychodzenia na zewnątrz głównie w złą pogodę, a meteorolog Kowalewski był z natury osobą skrytą i małomówną, co szczególnie Smithowi odpowiadało.

Po pracy wracał do pokoiku, który odziedziczył po Gorzewskim - malutkie pomieszczenie dwa na dwa metry, o ścianach z surowych desek, na ścianach rozpostarte dwie skórki lisów polarnych w letniej szacie jeszcze i gwoździe zamiast półek do zawieszania różnych przedmiotów. Smith powiesił na gwoździu karabin. Pod ścianą łóżko z czyściutką pościelą i pledem, długi stół, pod którym urządził sobie składzik na plecak i buty, krzesło. W wolnym czasie nie robił niczego podejrzanego, czytał angielską wersję Ossendowskiego zabraną z biblioteki w Longyearbyen albo grał w szachy z Barczem - prawie zawsze przegrywał, grali na podobnym poziomie, jeśli chodzi o głębokość namysłu nad posunięciami, odwagę kombinacji, strategię i pomysłowość, ale Barcz był bardziej skupiony i skoncentrowany i dzięki temu nie popełniał głupich błędów - jak podstawienie hetmana pod bicie - które Smithowi zdarzały się nagminnie. Zwycięstwa takie przestały szybko przynosić Barczowi satysfakcję, toteż zaczął cofać samobójcze ruchy Smitha, taka zaś gra, z handicapem na brak koncentracji, nie sprawiała żadnej frajdy Smithowi, którego treningi pod okiem amerykańskich instruktorów nauczyły współzawodnictwa. W efekcie przestali grać ze sobą, na zmianę ścierając się z doktorem Smółdzińskim, który przegrywał i z Barczem, i ze Smithem.

Pewnego razu opowiedział im historię o wiosce Pomorców na Edgeøya, nie zdradzając, gdzie ją słyszał, ani nie wypowiadając się na temat jej autentyczności i omijając fragment o nieśmiertelnych Ojcach Grzesznikach. Rzecz nadzwyczajnie zainteresowała wszystkich zgromadzonych wtedy w mesie, rozgorzała długa dyskusja, w której

prym wiedli doktor i Juszcak spierający się nawet nie nad prawdziwością historii Smitha, lecz nad tym, czy taka pomorska wieś mogłaby w ogóle istnieć i przetrwać. Juszcak twierdził, że zginęliby z głodu, doktor zaś, bardziej odczytany od młodego geofizyka, dowodził, iż ich przetrwanie, chociaż trudne, byłoby możliwe.

Życie w stacji toczyło się rytmem powolnym i ustalonym nie związanym z porą dnia, lecz z wymaganiami pracy. Meteo zrywał się, kiedy tylko błękit nieba przysłaniały chmury, kiedy w dach stacji zaczynał bębnić deszcz, chociaż dzień częściej niż bębnienie przynosił szmer mżawki. Goniometr, wielkim wysiłkiem sprowadzony z Londynu, pod opieką inżyniera Zakrzewskiego rejestrował elektrotrząski z odległych burz i trzeba było go doglądać. Robota geologiczna nie szła zbyt sprawnie, odkąd zabrakło Gorzewskiego, profesor Kumor zatem wziął sobie do pomocy geofizyka Zielińskiego, niejako w zamian pomagając mu potem w jego robocie. Maliński łaził po tundrze i zbierał do zielników trawy, porosty i mchy, wycinał spitsbergeńskie lasy czyli przyciśnięte huraganowymi wiatrami do ziemi płózące się wierzby polarne, w których człowiek był jak Guliwer wśród liliputów, brodząc w puszczy sięgającej po łydki.

Smith pewnego razu wyprawił się z botanikiem na wyraźne polecenie Kumora. Maliński był wyjątkowo niezadowolony, ale nie odważył się otwarcie przeciwstawić profesorowi, a po dwóch godzinach marszu docenił obecność pomocnika, kiedy okazało się, że Smith nie próbuje go imperialistycznie indoktrynować, a zamiast tego posłusznie wykonuje wszystkie polecenia, niesie ciężki karabin, który

w innej sytuacji obciążałby plecy Malińskiego i objął jego biodra. Poza tym nie da się ukryć - czuł się w towarzystwie Smitha bezpieczniej. Szanse na spotkanie niedźwiedzia w lecie były niewielkie, na Svalbardzie zostały tylko te, które nie załapały się na odchodzący wiosną pak, lecz ten co się zagapił i został, musiał być oszalały z głodu, jak ten, który zezarł Gorzewskiego. Zgłaszając się do wyprawy, Maliński musiał określić poziom swoich umiejętności w posługiwaniu się bronią i gwałcąc swoje komunistyczne sumienie, określił ów poziom jako zadowalający. W rzeczywistości w wojsku nigdy nie był, pochodził przecież z chłopskiej rodziny z Mazowsza, dla której broń palna była sprawą zarezerwowaną dla panów, jak automobile, wyścigi konne lub malarstwo, kontakt z karabinami miał zatem tylko na lekcjach przysposobienia obronnego w liceum, gdzie wystrzelił dziesięć razy z kbks-u. Potem na studiach, na przysposobieniu już nie obronnym, tylko wojskowym, strzelił kolejne dziesięć razy z karabinka mosina, całkiem podobnego do sztucerów, jakie mieli w stacji. Prawie złamał sobie wtedy obojczyk i wiedział dobrze, że przeciwko niedźwiedziowi mógłby równie dobrze wymachiwać karabinem jak maczugą. Porównywał swoje umiejętności strzeleckie do umiejętności kolegów polarników - a oni byli jeszcze przedwojennymi myśliwymi, strzelali w czasie wojny, aby żyć (i nie przestawał się zastanawiać, który z nich po wojnie strzelał do przedstawicieli władzy ludowej). Nie musieli się bać, że nie trafią w niedźwiedzia wielkiego jak krowa. Nie mógł jednak się z tym zdradzić i kiedy chodził po tundrze sam, drżał ze strachu tak

długo, aż zafascynowany jakimś okazem botanicznym nie zapomniał o niedźwiedziach.

Swoją drogą, poczucie bezpieczeństwa, jakie dawała mu obecność uzbrojonego Smitha, było podszyte obawą. W czwartej godzinie marszu towarzysz Malińskiego zauważył gęś siedzącą na odległym o dwieście pięćdziesiąt metrów kamieniu. Szarpnął pasem zawieszzonego na ramieniu karabinu, zawinął nim w rękach, dwoma uderzeniami otwartej dłoni przeładował, w tym samym czasie podnosząc już kolbę do ramienia, przycelował, zastygając na sekundę jak pomnik strzelca, i strzelił. Zabił gęś na miejscu. Trzy sekundy, automatyczne ruchy, jakby robił to tysiąc razy, strzał padł, kiedy Malińskiemu w uszach brzmiał jeszcze zamka trzask metaliczny. Za młody był, aby nauczyć się tego na wojnie, i umiał to zbyt dobrze.

Smith zaś nigdy nie interesował się botaniką, ale teraz, idąc po tundrze z berniklą przytroczoną do pasa, odkrył, że w svalbardzkich kwiatach jest coś nadzwyczajnego. Przyciśnięte do ziemi, przywalone grubą skorupą śniegu przez większą część roku, targane wiatrem, a spod śniegu wyrywane racicami i twardymi wargami renów, w lecie zrywają się do życia, łapią wątle, rozproszone przez chmury promienie słońca i rozkwitają małymi płateczkami soczystych barw. Nie wypełniają krajobrazu wielkimi plamami czerwieni i fioletoń widocznymi nawet z samolotu, jak tulipanowe zagony Holandii. Czasem trzeba się pochylić albo przykłęknąć na mokrej tundrze, aby je dostrzec, lecz kiedy już się zerwie i podniesie wątlą kosmatą łodyżkę w palcach, i spojrzy z bliska na kwiat z fioletem płatków



pociętym kreseczkami czarnymi jak przecinki, to w malarskiej intensywności barwy dostrzec można całą siłę polarnej przyrody.

Smith, wychowany wśród szarych murów przydymionych sadzami z hut i kotłowni, pośród czarnych hałd jak sztuczne łańcuchy górskie między śląskimi miastami, był szczególnie wrażliwy na przyrodę. Zaczął więc zrywać co piękniejsze łodygi z kwiatami i listkami i delikatnie układać je między kartkami notesu.

- To *Silene uralensis arctica* - powiedział wtedy Maliński. - Rodzaj silene, czyli lepnicowate, z rodziny goździkowatych. Prawda, że piękny?

Kwiat wznosił się na wiotkiej łodyżce, biały, lecz użyłkowany ciemnym fioletem, z płatkami sklejonymi w eliptyczną bańkę jak chiński lampion.

Opowiadał mu potem o każdym znalezionym okazie, mówił o zapyłaniu, o tkankach roślinnych, o wegetacji i wpływie wiecznej zmarzliny. Nie zaprzyjaźnili się, ale kiedy wrócili do stacji, nie byli już wrogami.

Po pracy wszyscy zasiadali przy stole lub w swoich wydzielonych laboratoriach i notowali skrupulatnie wyniki i wnioski z badań. Po baraku pętał się Szałas, spasiony owczarek podhalański, którego futro mocno straciło na bieli, bo tarzał się nieustannie w pobliskich kałużach, a do kałuż spadał co dzień tłusty osad z pieca ropnego.

Kiedy zaś bożek przedwojennego poczucia obowiązku dostał już swą żertwę, szli składać ofiary bogom, których czczą mężczyźni, gdy

z kręgu podrostków i młodziaków przejdą do ogniska dla dojrzałych wojowników, już nie tak gibkich, nie tak prędkich w biegu, za to silnych, o byczych klatkach piersiowych, szerokich ramionach i gęstych brodach. W różnych czasach różny był wiek przejścia. W 1957 roku w gomułkowskiej Polsce trzydziestoletni mężczyzna bez wątplenia należał już do tej grupy. Chodzili zatem na polowania, na foki, na reny, na lisy, chodzili wątlymi łódeczkami przez środek fiordu, nie wzdłuż brzegu, nie bojąc się wcale sztormu ani kry. Wspinali się na szczyty nie wyższe niż Pilsko w Beskidzie, lecz wyrastające na swoje półtora kilometra wprost z morza, w wysokościach względnych przerastające więc Tatry i wiele alpejskich szczytów.

Nie bali się szczelin w lodowcu głębokich na dziesięć albo i trzydzieści metrów, czasem wąskich tak, że można je było przekroczyć zwykłym krokiem, bez wysiłku, czasem szerokich jak kaniony, ukrytych pod zdradliwymi nawisami śnieżnymi. Nie bali się też skał zupełnie innych niż alpejskie, bo poprutej atmosferyczną erozją, łamiących się na setki luźnych kamieni, ustępujących pod ciężarem ręki lub buta. Nie bali się piargów usypujących się w żlebach, które przesuwwały się małymi lawinami w dół, kiedy tylko na nich stanąć.

Kumor pozwalał na te eskapady bez większych wahań. Znał dobrze siłę, która pchała ich na te polowania i wspinaczki, znał ją jeszcze sprzed wojny, kiedy zimował z Siedleckim na Wyspie Niedźwiedziej i trawersem przeszedł z nim Spitsbergen. Był jedynym

spośród wszystkich zimujących, który miał polarne doświadczenie, i jedyną chyba osobą w Polsce, która mogła jako tako zastąpić „Stasia” Siedleckiego w roli kierownika wyprawy. Dlatego ufali osądowi Kumora: jeśli zabraniał im jakiejś eskapady, słuchali bez szemrania, wiedzieli bowiem, że zezwoli, kiedy tylko warunki na to pozwolą - i wiedzieli, że arktyczna przyroda wymaga raczej praktycznego doświadczenia niż teoretycznej wiedzy. Trzeba na własne oczy zobaczyć polarną mgłę na lodowcu, w której nie widać nawet czubków własnych nart i w której można błędzić przez dobę, będąc o cztery kilometry od stacji. Trzeba samemu pójść po morenie czy po sandrach, na pierwszy rzut oka łatwych i równych, aż proszących się o spacer, i samemu grzęznąć po kolana, kiedy krok kosztuje więcej wysiłku niż przejście dziesięciu metrów po nieprzyjaznym na pierwszy rzut oka osypisku. Trzeba samemu zobaczyć, jak szybko błękitne niebo przysłonić mogą sztormowe chmury znikąd, jak w ciągu godziny w pustym fiordzie może pojawić się przygnana wiatrem gęsta kra. Jak przyjazny z dala brzeg może okazać się zupełnie niedostępny z łodzi ze względu na nabrzeżne skały czy wały lodu, wyrastające z przyciskanej prądem lub wiatrem do brzegu kry. Trzeba wiedzieć również, z których strumieni można pić wodę, a z których żelazista w smaku przelatuje przez człowieka szybciej, niż ten da radę ściągnąć spodnie i znaleźć miejsce na tyle ustronne, aby nie srać na oczach kolegów.

Zabierali Smitha chętnie ze sobą - był zręczny i wysportowany, niósł swój plecak bez narzekań i nie goniła go ambicja, nie musiał być

pierwszy na szczycie ani nie spieszył się strzelać pierwszy, kiedy na myśliwskiej wycieczce zauważyli foki. Był pomocny i sympatyczny i na dodatek zupełnie pozbawiony potrzeby sytuowania się w centrum uwagi grupy, nie próbował przewodzić ani nie kwestionował przywództwa innych, nie angażował się w żadne spory i w efekcie wszyscy sądzili, że jest po ich stronie, nawet biorąc pod uwagę wszelkie możliwe podziały: na linii komunizm-antykomunizm, jak i pod względem podziału na zwolenników jajecznicy na śniadanie zwalczających zaciekle zwolenników konserw mięsnych.

Przez to, że wszyscy traktowali go jak swego, łatwo mógł rozpoznać grupy i koterie, na jakie nieuchronnie dzieli się każda ludzka społeczność, czy to będzie szkolna klasa, czy rada ministrów Związku Sowieckiego.

Była zatem koteria antykomunistów składająca się z Zakrzewskiego, Barcza i lwowiaka Zielińskiego. W rozmowach szczycili się wielokrotnie tym, że żaden z nich nigdy nie zapisał się do partii, że nie zaangażowali się nijak w potępiany teraz stalinizm i tak dalej. Na więcej pozwalali sobie we własnym gronie, Smitha traktując jak swego. Najwięcej mówił Zieliński: o pierwszej sowieckiej okupacji w trzydziestym dziewiątym, o Katyniu i o wypędzeniu w czterdziestym piątym. Mieszkał teraz we Wrocławiu i zżymał się na głupotę wszystkich tych, co cieszyli się z Ziem Odzyskanych, i kpił nawet z samego terminu, twierdząc, że skoro odzyskaliśmy Szczecin i nawet Kłodzko, które nigdy nie leżało w granicach Polski, i jeśli Królestwo Polskie można utożsamiać z nowoczesnym pojęciem

Polski, to powinniśmy jeszcze odzyskać Słowację, Morawy i kawał Brandenburgii, które do Polski należały równie długo. I klął jak szewc na skurwysynów, którzy cieszyli się, że za dwa kwitnące centra polskiej kultury, Lwów i Wilno (bo jak mówił, nie obchodzi go utrata poleskich bagien), dostaliśmy opustoszały Wrocław i Szczecin obrabowane przez Sowieców z całego zaplecza przemysłowego, i niemieckie wsie, gdzie w bauerskich murowanych domach nawykli do kurnych chałup Poleszacy gnieździli się niczym Longobardzi pałacy ogniska w atriach rzymskich willi.

Zakrzewski zaś najbardziej nie cierpiał komunizmu w życiu codziennym, w nauce przede wszystkim, stąd wypływała jego niechęć do Malińskiego. Razem z Zielińskim ciągle pozwalali sobie na przytyki wobec Malińskiego, prześladując go bez skrupołów.

Kumor próbował to powściągać, na ile mógł. Nie lubił komunizmu, pochodził z rodziny o pepeesowskich, a potem piłsudczykowskich tradycjach, ale był człowiekiem kompromisu, członkiem partii - sam mówił otwarcie, że nie wierzy w większość głoszonych przez partię idei, lecz wstąpił, aby mieć wpływ na rzeczywistość, aby pracować dla Polski. Niby przyjmowali te słowa za dobrą monetę, Smith jednak słyszał, jak między sobą Barcz i Zieliński, nie negując ogólnej przyzwoitości Kumora ani tym bardziej jego profesjonalizmu, o tym aspekcie biografii szefa wyrażali się z pogardą.

Z Kumorem trzymała reszta polarników, każdy z nich bowiem na jakieś kompromisy z bolszewizmem w życiu poszedł - z wyjątkiem

oczywiście Malińskiego, który w komunizm autentycznie wierzył, i kucharza Gołębia, który sprawom politycznym okazywał tak pogardliwe désintéressement, że nikt nawet nie próbował zjednywać go do swoich racji.

Smitha zakwalifikowano, jak mu się wydawało, do tej samej kategorii co kucharza. Bardzo się starał, aby właśnie tak o nim myśleli, udawał o wiele głupszego, niż był, zgadzał się z każdym w każdej chwili, nawet jeśli dwie osoby wypowiadały naraz dwa sądy sprzeczne. Badań żadnych oczywiście nie prowadził i nikt go też o tę nieszczęsną socjologię więcej nie pytał, był dla nich po prostu dobrym kompanem do wypraw i pomocnikiem do roboty.

W taki sposób spędził w stacji tydzień, po czym uznał, że przyszedł czas na działanie.

## ROZDZIAŁ 12

Misja, którą mu zlecono, byłaby wymarzonym tematem powieści detektywistycznej. Wyobrażał sobie jej bohatera, doświadczonego przez życie opanowanego śledczego przybywającego do tej świetnej - z punktu widzenia kryminału - scenerii: dziewięciu ludzi odciętych od świata, jeden trup, ktoś musi być winien. I bohater tegoż kryminału, nie zdradzając się na początku ze swoim planem, zacząłby rozmawiać z ludźmi, ustalając różne, zapewne sprzeczne wersje zdarzeń. Gdyby kryminał miał być dobry, każdy z przepytanych w pewnym stopniu musiałby kłamać - jeden, aby ukryć winnego zbrodni, drugi, aby chronić niezwiązane z zabójstwem, lecz wstydlive sekrety. Z niezawodną dokładnością wspominaliby wydarzenia sprzed tygodnia i sprzed dziesięciu lat, jeśli tylko miałyby jakieś znaczenie - że wtedy, w czterdziestym siódmym, spotkali się po raz pierwszy, jedli lody malinowe w kawiarni, czytał taki i taki artykuł w takiej a takiej gazecie, a podejrzany nosił krawat brązowy w zielone grochy. Do prawdy książkowy bohater detektyw dochodziłby więc poprzez rozmowy i dzięki swojej niezawodnej znajomości ludzkiej natury. Po drodze ktoś - sam morderca - bez wątpienia próbowałby detektywowi przeszkodzić, nastając na jego życie i zdrowie, jednakże tak, aby się nie zdemaskować. Potem ktoś inny umiejętnie przyciśnięty, choć nie w drodze szantażu - nasz bohater bez wątpienia nie dopuściłby się tak podłego postętku - przełamałby tę znowę milczenia i wyznał, że wie, iż ktoś uczynił coś innego, niż sam przyznaje. Oczywiście nie mógłby być świadkiem samej zbrodni, wtedy cały kryminał na nic, po prostu

sfalsyfikowałyby zeznania kogoś innego. Bo do prawdy, do tego, jak było naprawdę, detektyw doszedłby sam. I objawiłby tę wiedzę czytelnikowi kryminału podczas finalnej konfrontacji z mordercą. Byłby czas na długą przemowę albo nawet na dwie przemowy - w jednej detektyw mówi, jak było, w drugiej winowajca wyjaśnia swoje motywacje. Potem sytuacja kanonicznie powinna przybrać postać wymagającą użycia przemocy, aczkolwiek niewinnej - potężny cios w szczękę lub nawet strzał z rewolweru, lecz tylko wytrącający broń z ręki łotra.

Smith tymczasem gdyby już wyciągnął broń z kabury - a pamiętał, że za strzelanie podczas misji wywiadowczej łatwo można wylecieć z Firmy - strzelałby tak, żeby zabić. Dwa strzały jeden po drugim, z jednego celowania, w górną część korpusu. I bez wątplenia nie był detektywem. Nie wyobrażał sobie w ogóle, jak miałyby wyglądać odkrywanie prawdy drogą „dedukcji”. Był szpiegiem. Odchodzono już od tego staroświeckiego słowa, które brzmiało jak rozstrzelanie bez sądu, i nazywano szpiegów funkcjonariuszami, pracownikami wywiadu albo w ogóle nie nazywano - to w agencjach państwowych. W Firmie mieli zaś tytuły wprost skopiowane ze struktury zwykłych przedsiębiorstw - nie używano, co oczywiste, nie tylko słowa „szpieg”, ale unikano jak ognia nawet słowa „wywiad”. Terminy takie, jak „information gathering” pojawiały się tylko tam, gdzie były już zdecydowanie niezbędne. Wewnętrzne określenie stanowiska Smitha brzmiało: „senior foreign relations specialist”, na wizytówkach zaś, pod fałszywym nazwiskiem, widniało jedynie



lakoniczne: „vice-president” - tytuł wiceprezesa nosiło czterdziestu z siedemdziesięciu dwóch pracowników Firmy, wszyscy ci, którzy kontaktowali się czasem z klientami. We wszystkich podaniach czy ankietach w rubryce zawód wpisywał po prostu „manager średniego szczebla”.

Tak czy inaczej, był po prostu szpiegiem, tyle że zatrudnionym w prywatnej firmie. Nie była to jednak zwykła prywatna agencja, jakich istnieje na świecie kilkanaście i które pracują po prostu na zlecenie każdego, kto płaci, czasem nawet nie domyślając się prawdziwej tożsamości swoich klientów. Smith przyjął propozycję, którą złożył mu Rabbi, nie tylko dlatego, że Firma wyciągnęła go z komunistycznego mamra.

W każdym razie był szpiegiem, a nie detektywem, i dlatego siódmego dnia swojego pobytu w polskiej stacji rozsunął podwójne dno plecaka i wyjął niewielkie urządzenie podobne jak dwie krople wody do przedwojennego odbiornika marki „Detefon”, albowiem zamknięte w bakelitowej obudowie autentycznego detefonu. Nie było to jednak radio kryształkowe i wymagało zewnętrznego zasilania - Smith otworzył więc czarne pudełko i umieścił w nim baterię, następnie z plecaka wyjął zwykłe radiowe słuchawki oraz dwa kolejne pudełeczka, tym razem z szarego kartonu, każde wielkości pudełka zapalek. Igłą włączył kartonowe pudełeczka, po czym sprawdził ich działanie - w słuchawkach usłyszał własny głos szepczący próbne: „Raz, dwa, trzy”, tak samo z pokręteł na pozycji „2” odpowiadającej częstotliwości drugiego pudełeczka. Wbudowane baterijki

nadajników wystarczą na cztery doby. Schował je w kieszeni spodni i czekał na właściwy moment.

Właściwy moment nadszedł jeszcze tego samego dnia. Barcz miał wrócić wieczorem z lodowca Tuva, gdzie poszedł sprawdzić swoje glaciologiczne tyczki, Smołdziński włączył się po plaży i próbował upolować edredona - strzelał równie kiepsko jak Maliński, więc pewnie będzie tak łaził przez dwie godziny i wróci z niczym, kiedy już wystrzela wszystkie pięćdziesiąt nabojów, jakie wydzielił mu profesor. Kumor wraz z dwoma geofizykami, Zielińskim i Juszcakiem, przed dwoma dniami poszli wzdłuż wybrzeża aż pod czoło lodowca Werenskiolda, nocowali w husie u stóp Gulliksenfjellet i mieli również wrócić wieczorem - słońce jeszcze nie zachodziło, ale wieczór już był przez całą noc, kiedy słońce snuło się przyklejone do horyzontu, oświetlając Spitsbergen pomarańczowym światłem. Zakrzewski siedział przy agregatach, rozebrał cały blok silnika i bez wątplenia nie ruszy się stamtąd wcześniej niż za parę godzin. Gołąb łązikiem zwoził do stacji wodę z jeziora nieopodal, Maliński spał u siebie, a meteo grzebał przy swoich, skrzynkach z aparaturą pomiarową, było go widać z okna mesy. Smith sprawdził zatem, czy Maliński na pewno śpi, po czym wszedł po prostu do pokoju Barcza i ukrył nadajnik między deskami ściany. Obserwując polarników przez tydzień, stwierdził, że właśnie w sypialniach zbierają się, jeśli chcą prywatnie pogadać. Drugi podsłuch zamierzał umieścić w pokoju lwowskiego geofizyka Zielińskiego, lecz rozmyślił się po chwili - z podsłuchu u Barcza może się dowiedzieć, że lepiej podsłuchać kogoś

innego, może Kumora albo jeszcze kogoś, powinien mieć wtedy możliwość manewru.

Ciągle czuł niesmak. Jeszcze w domu rodzinnym skutecznie wpojono mu przedwojenne decorum: dżentelmen nie podsłuchuje, nie czyta cudzych listów, nie podgląda. Było to coś fundamentalnego, warunek sine qua non przyzwoitości, a zarazem ustanawiało również sens i wartość dopuszczenia kogoś do tajemnicy, wtajemniczenia w ogóle. Jeszcze jako dzieci, w szkole, nieświadomie poniekąd trenowali dyskrecję nieustannie, każdy miał jakieś tajemnice, dopuszczali się do nich nawzajem, aby potem bezustannie zarzucać sobie niedyskrecje czy niehonorowe zachowanie, co nieodmiennie kończyło się walką na pięści, ta z kolei bardzo szybko ewoluowała ze szlachetnego pojedynku bokserskiego do zapasów, a następnie do bezładnej kotłowaniny na podłodze, z gryzieniem i wyrywaniem sobie kudłów, kończącej zazwyczaj interwencją nauczyciela i odesłaniem obu buntowników do dyrektora, który udzielał im bury z nadzwyczajną powagą, aby śmiać się z sympatią z chłopięcych wybryków, kiedy tylko za dwoma młodymi duelantami zamknęły się drzwi dyrektorskiego gabinetu. Smith nosił wtedy z dumą nazwisko swojego ojca i należał do tych, którym przekroczenie uczniowskiej dyskrecji zarzucano najrzadziej, najgoręcej też bił się w obronie swojego dobrego imienia.

A dziś zakłada podsłuchy. Uczono go różnych technik wywiadowczych jeszcze w brytyjskim SIS, kiedy ledwie ukończył osiemnaście lat, wtedy jednak nie miał żadnych wątpliwości, świat

wydawał mu się prosty jak partia szachów: są komuniści i są ich wrogowie. Komunistów można podsłuchiwać, truć, zabijać kulą lub nożem, dusić garotą, co tylko będzie potrzebne do zwycięstwa - i tego się właśnie uczył na kursach prowadzonych przez doświadczonych instruktorów z rozwiązanego niedawno SOE. Kiedy skończył dwadzieścia jeden lat i wreszcie zrzucano go nad Polską, szybko przekonał się, że w cynizmie jeszcze bolszewików nie prześcignęli. Dane mu było działać tylko trzy tygodnie, załatwił panią porucznik, po czym wpadł po pierwszym kontakcie z kimś wyżej postawionym z WiN-u. Ubeccy śledczy ryczeli ze śmiechu, kiedy dopytywał się, skąd wiedzieli, jakim cudem. Dopiero potem dowiedział się, jak mocno cały WiN był zinfiltrowany i jak po nim wpadali kolejno wszyscy agenci zrzucani nad Polską, dwie tony złota, nadajniki radiowe, broń i pieniądze.

A teraz miał podsłuchiwać nie komunistów, tylko przyzwoitych ludzi, sympatycznych facetów, których był gościem. Być może któryś z nich rzeczywiście przetrącił kolano Gorzewskiemu i zostawił go w tundrze na pewną śmierć - ale Smith coraz bardziej w to wątpił i czuł niesmak. Podsluch jednak umieścił zgodnie z planem, bo bez względu na swoje wątpliwości i opory był przede wszystkim profesjonalistą. Kiedy stał nad trupem porucznik Majewskiej, nie czuł nic, lecz wróciła do niego potem w celi i przez kilka miesięcy wracała nocą. Nie bał się, nie czuł wyrzutów sumienia, ponieważ posągowa brunetka w oliwkowym mundurze zasługiwała na gorszy los niż kula w łeb, to nie były nawet koszmary - po prostu wracała do niego za każdym

razem podczas strasznego śledztwa, kiedy tylko pozwolono mu na chwilę zasnąć. Mimo to wiedział, że jeżeli kiedyś znów stanie w takiej sytuacji, nie zawaha się i pociągnie za spust, taki bowiem ma zawód.

I dlatego teraz mimo niesmaku zrobił to, co musiał, i następnie starał się tak układać swoje zajęcia w stacji, aby jego pory odpoczynku pokrywały się z odpoczynkiem Barcza. Wtedy zamykał na skobelek drzwi w swojej izdebce, nakładał słuchawki, dostrajał odbiornik i podsłuchiwał.

I tak codziennie. Z zażenowaniem słuchał, jak Barcz, korzystając ze złudnej samotności, puszcza głośno wiatry, jak klnie pod nosem, kiedy ktoś puka, aby obudzić go do jakichś obowiązków, jak gadają z Zakrzewskim o kobietach, opowiadając sobie pieprzne historyjki, albo jak razem przeklinają Malińskiego i Kumora, którego nazywali mięczakiem.

I nic poza tym. Żadnej wzmianki o Brygadzie Świętokrzyskiej nawet, a o Gorzewskim lub jego śmierci zupełnie nic, ani słowa. Jakby to nigdy się nie wydarzyło, jakby nie zbierali razem rozszarpanego przez dzikie zwierzęta trupa.

Był zawiedziony, mało tego - nie miał pomysłu, co robić dalej. Oczywiście wykrycie zabójcy Gorzewskiego nie stanowiło celu jego misji, a już na pewno nie praca dla gubernatora Svalbardu, chętnie by się jednak dowiedział, kto i po co lub dlaczego załatwił polarnika, i to jeszcze tak - mogli przecież upozorować wypadek przy czyszczeniu broni czy coś takiego, a tutaj okrucieństwo kozackie: przetrącić nogę i zostawić w tundrze. Pewnie nie myśleli o niedźwiedziu, ale i tak facet

umarłby z wyziębienia albo z głodu. Chyba że lekarz z Longyearbyen się myli. Gdyby był wybitnym specjalistą, nie trafiłby przecież na siedemdziesiąty ósmy równoleżnik, tylko siedziałby w Oslo i zarabiał ciężkie pieniądze, lecząc grube mieszczki. Może więc doktorek się myli, a Gorzewski zginął przez przypadek? Może łapiduch jest pijakiem, wśród Norwegów pijaków nie brakuje, i za to wysłali go na Svalbard? Tutaj wódka jest racjonowana, pan doktor nie może uczynić zadość swojemu nałogowi i kompensuje to sobie wymyślaniem kryminalnych historyjek.

Gdyby więc dowiedział się, co stało za śmiercią Gorzewskiego, miałby może wspaniałą podstawę do pozyskania swojego człowieka w polskiej stacji - a to już należało do celów jego misji.

Słuchał zatem dalej, prawie śpiąc, ze słuchawkami na uszach, w letargu, a każde słowo wypowiedziane w pokoiku Barcza dotyczyło jakiegoś ukrytego czujnika w mózgu Smitha, który wtedy nagle otwierał oczy i słuchał z całą uwagą. I nic, ciągle te same rozmowy, nigdy nie padło nazwisko Gorzewski nawet w kontekście jakimś zupełnie zwyczajnym, nawet w kontekście wspomnienia czy załatwienia powszedniej trywialnej sprawy, chociażby co zrobić z gumofilcami po Gorzewskim albo gdzie też nasz świętej pamięci kolega Gorzewski zostawił klucz nasadkowy potrzebny do odkręcenia śrub z miski oleju pod agregatem. Nic.

Pojął wszystko nagle trzeciego dnia. Miał słuchawki na uszach, leżał na łóżku, z pokoju Barcza dobiegało tylko chrapanie, a Smith właśnie wtedy zrozumiał. Zrozumiał, ściągnął słuchawki, wyciągnął

baterię z odbiornika i schował wszystko do plecaka, był wściekły na siebie, że zabrało mu to aż tyle czasu, podczas gdy odpowiedź mógł mieć już po paru godzinach.

Tragiczna i nie do końca wyjaśniona śmierć kolegi jest przecież wielkim wydarzeniem. I wszystkie zewnętrzne obrządki, które zwykły towarzyszyć takim wielkim wydarzeniom, zostały zachowane. Do kraju poszła pilna żałobna depesza, Zakrzewski nadał ją, wystukując morsem na kluczu, z kraju w odpowiedzi przyszły dyrektywy - kontynuować misję, rozważa się uczczenie pamięci Gorzewskiego jako pierwszego Polaka, który zginął na Svalbardzie, przez nadanie jego imienia całej stacji lub przynajmniej zamontowanie jakiejś tablicy pamiątkowej. Ciało wróci do kraju via Archangielsk, najpierw na pokładzie radzieckiego lodolamacza „Lena”, potem samolotem, i zostanie pochowane z państwowymi honorami na Powązkach.

W stacji powinni właśnie powoli dochodzić do siebie, przyzwyczajając się do życia nie tyle bez kolegi, ile ze świadomością jego śmierci, był chłop, nie ma chłopca. Owszem, wszystko to ludzie wojenni, przyzwyczajeni do tego, że przyjaciele umierają, ale i tak przecież jakoś powinni to przeżywać. W milczeniu albo przeciwnie, nieustannie gadając, wspominając go przy kawie, że Zbyszek zawsze słodził neskę trzema łyżeczkami cukru, może mu w Polsce brakowało.

Tymczasem mieszkając przez cały ten czas w stacji, Smith gdyby sam nie widział trupa, mógłby w ogóle się nie dowiedzieć, że kiedyś był tutaj taki gość. Ich przyjaciel przecież. To nie było przeżywanie w milczeniu, tutaj nikt niczego nie przeżywał. To, że

Gorzewski nie żył, nie robiło na nich większego wrażenia niż fakt, że od trzydziestu paru lat nie żył również Lenin. Bo o śmierci Stalina jednak czasem wspominali w różnych sytuacjach. A sprawa Gorzewskiego była zamknięta, zakończona, nikogo już nie obchodziła, jak raport z dawno ukończonych badań. Jak zeszłoroczny śnieg. Był, zniknął, nie ma, jest nowy - Smith zamiast Gorzewskiego.

I wtedy przyszło pierwsze olśnienie, drugie zaś niedługo później, po kwadransie, kiedy poruszony nieco poszedł do mesy. Zakrzewski, Kumor, Juszczak i Zieliński siedzieli przy stole i grali w brydża, raczej dla zabicia czasu niż dla rywalizacji, przekrzykiwali się wesoło brydżowymi odzywkami, dogryzali sobie, wykpiwając faktyczną lub rzekomą nieudolność przeciwników. Na stole stała otwarta butelka wódki, połówka, wypili pewnie po dwa kieliszki, nie byli w ogóle pijani, najwyżej rozochoceni całą sytuacją. Więcej było pokrzykiwań o tym, jak to się zaraz napiją i jak to już im się ze łbów kurzy, niż samego picia. W tym popijaniu i brydżu kibicował im pan doktor; przeglądając kolejny numer „Time'a”. Na drugim końcu stołu samotnie siedział Maliński z zaciętą miną, czytał Lenina i nieudolnie udawał, że nie zwraca żadnej uwagi na rozbawione towarzystwo. Był abstynentem, lecz i tak postawili przed nim kieliszek, który botanik demonstracyjnie obrócił dnem do góry. Nie ufają mu. Nie tylko jawnie antykomunistyczni Barcz czy Zakrzewski, ale również idący na kompromisy z bolszewikami Kumor. Gardzą nim, a on czuje ich pogardę - i jakiś zupełnie podstawowy instynkt musiał im podszeptać, że nie można zaufać komuś, kto wie, że się nim pogardza.



Tyle że Maliński również ani słowem nie wspominał o Gorzewskim. Może więc, jak to się mówi, mieli coś na niego? Na pewno się to wszystko rozgrywało w sferze niedomówień, niewypowiedziane zrozumienie ze strony Malińskiego, niewypowiedziana, ale oczywista groźba i niewypowiedziana, a przez to łatwiejsza kapitulacja młodego botanika, który naprawdę wierzył w Lenina.

I to był jedyny trop, jakim Smith mógł podążać. Nie musi wcale zaprzyjaźniać się z Malińskim, dość, że z nim porozmawia. Że będzie go słuchał, że pozwoli mu się wygadać. W tym celu wystarczy, że będzie chodził z nim po tundrze i zbierał kwiatki. A do tego miał dobry, bo prawdziwy pretekst - zainteresowanie botaniką pięknie rozpoczęte rosnącą kolekcją polarnych kwiatków i mchów oddających powoli wilgoć grubym kartom notesu. Każdy z tych kwiatków był jak jedna porażka w jego życiu. Nie został Niemcem ani Polakiem, nie udało mu się. Nie mógł też czuć się Ślązakiem, nic go przecież nie łączyło z tymi prostymi chłopakami, synami górników i robociarzy, którzy w piętnastym roku życia idą do kopalni, czyli na gruba, i w pocie czoła, z płucami wypełnionymi pyłem, przygięci nisko, napinając jak postronki twarde mięśnie fedrują przez pół wieku w jakimś szalonym mniszym poczuciu obowiązku, a potem umierają szybko, ledwie trochę posiedziawszy z fajkami na laubie, jak już mają pyndzyjo, siedzą tak, patrzą na kamratów, kerzy idą na szychta i nie wiedzą, po co żyją, skoro nie mogą już wsiąść do szole i zjechać na dół. A w jego środowisku, w środowisku jego rodziców,

bywało się po prostu Niemcem lub Polakiem, jakby jednym z atrybutów człowieka na pewnym poziomie było posiadanie narodowości jak służby i samochodu. A on nie umiał, za bardzo szanował ojca i zbyt kochał matkę. I przyszły później kolejne porażki: żałobna konspiracja, żałobna ucieczka, żałobne pseudowojsko w Kompaniach Wartowniczych. Kiedy ci dzielni ludzie w czarnych brytyjskich mundurach do swojego nocnego stróżowania dodawali całą wojskową obrzędowość, Amerykanie musieli pękać ze śmiechu, bo uważali ich za kogoś w rodzaju uzbrojonych nocnych stróżów właśnie.

Apele, strzelanie obcasami, sztandary i poczty sztandarowe, meldunki, postawa zasadnicza, wojskowy szyk i rygor, battledress z demobilu zawsze wyprasowany, beret starannie nałożony, salutowanie dwoma palcami (a Amerykanie śmieją się: jak skauci!), jakby zaraz, za kwadrans, jutro najpóźniej miał przyjść Anders, dotknąć palcami daszka rogatywki i oświadczyć: „Panowie, ruszamy bić bolszewika”. Zawsze gotowi, ale żaden z nich już nie wierzył, Smith widział to w ich oczach. Przecież nie byli nawet żołnierzami, byli cywilnymi pracownikami zatrudnionymi przez amerykańskie władze okupacyjne, jak niemieckie kucharki w bazach wojskowych albo strzygący trawniki przed koszarami chłopcy, cały czas jednak myśleli o sobie jako o formie przetrwalnikowej nie dla siebie, lecz dla polskiego, niebolszewickiego wojska. Wytrzymał pół roku i uciekł od nich, uciekł od tej klęski, która wypełniała ich życie, uciekł, kiedy tylko pojawiła się okazja.

I potem pierwszy raz w życiu doświadczył poczucia ważności i sukcesu: angielski i amerykański wywiad, operacje specjalne, szkolenia, małe gaje, skoki ze spadochronem, walka wręcz, komandoski sztylet, garota i browning, zupełnie jak legendarni cichociemni, w końcu coś mu się udało. Trenował zatem przez te trzy lata jak szalony, nie tylko uczył się języków, jadł, spał i uczył się, tak że kiedy dotknął nogami mokrego ugoru w bolszewickiej Polsce, kiedy zwijał spadochron, czuł się jak krzyżowiec, jak Gotfryd z Bouillon, który właśnie wspiał się na mur Jerozolimy.

I z wysokości tego muru zleciał jak kamień, gdy zrozumiał, że nie wpadł przez przypadek. UB wiedziało o nich prawie wszystko, mieli swoich ludzi, rzekomo „przemycanych” na Zachód, nawet w dawnym ośrodku SOE w Szkocji, znali ich plan ćwiczeń, nazwiska, organizację, zadania, wszystko. Spośród zrzuconych lub wysadzonych z okrętu podwodnego agentów był tym, który przetrwał na wolności najdłużej, bo podczas lotu zepsuła się pogoda i lądował bez komitetu powitalnego z WiN-u, skakał w ciemność, modląc się w powietrzu, żeby nie wylądował na drzewie ani w wodzie.

Potem pogodził się ze śmiercią, kiedy zaś Firma wyciągnęła go z bolszewickiej tury, nie zaczął zbytnio cieszyć się życiem, nie zaczął się nim cieszyć również wtedy, kiedy się w Firmie zatrudnił. Robił, co mu kazano, szkolił się, sumiennie pracował, był lojalny i odważny - i zawsze był tylko chodzącym trupem. W pewnym sensie nie żył. Owszem, nadal chciał walczyć z bolszewikami i właśnie możliwość prowadzenia tej walki była jego główną zapłatą w Firmie, nie

pieniądze, i chociaż płacono mu dobrze. Nie oszczędzał jednak jak jego koledzy, nie inwestował w akcje ani w nieruchomości, nie gromadził pieniędzy na koncie, przepuszczał je na dziewczyny i pijaństwa z przygodnymi towarzyszami zabawy - a od niedawna, odkąd przed paroma miesiącami Rabbi załatwił mu bezpieczny kanał, którym mógł przesyłać pieniądze matce, porzucił dziewczyny, hazard i picie.

Przeleciały mu te wszystkie klęski przez głowę jak na przyspieszonym filmie, kiedy patrzył na Malińskiego. Maliński bez wątpienia był też człowiekiem klęski. Był komunistą w komunistycznym kraju, a więc w jego komunizmie nie było nawet tej niewielkiej zalety, jaką jest odwaga - bo odwagi potrzeba, aby być komunistą w Hiszpanii pod rządami generała Franco, a nie w Polsce pod rządami towarzysza Wiesława. Z drugiej strony wyglądał na takiego, który był zbyt prostacko uczciwy, aby ze swojego komunizmu uczynić napęd kariery. Niewątpliwie mógł liczyć na szybszą promocję niż bezpartyjni koledzy, lecz bez szans był wobec cynicznych partyjnych karierowiczów, którzy w komunizm nie wierzyli, wierzyli za to w karierę po linii partyjnej. A równocześnie ten jego głupio obnoszony komunizm i wiejskie pochodzenie czyniły z niego trędowatego dla przedwojennej inteligencji, w której kręgach, chcąc nie chcąc, musiał się na uczelni obracać. Oczywiście nie mogli i nie chcieli go szykanować, byli na to zbyt tchórzliwi, zbyt doświadczeni przez stalinizm, ale na to, żeby go po prostu nie lubić... o, na to bez wątpienia odwagi im starczało. Zwłaszcza kiedy się

zorientowali, że Maliński jest komunistą niejako bezbronnym, pozbawionym bowiem koneksji i wpływów. Nie mogli otwarcie gardzić Kumorem za to, że należał do partii, bo od jego widzimisię często zależały ich kariery, mogli to sobie jednak w dwójnasób odbić, pogardzając zdeklarowanym, a przy tym naiwnym i towarzysko nieudolnym komunistą Malińskim, który nawet nie potrafił odgryźć się wrednym słowem. Nie, Smith mu nie współczuł ani się nad nim nie litował, nikt go w końcu do tego komunizmu nie przymuszał - po prostu znalazł do Malińskiego drogę i postanowił tą drogą pójść.

Nie usiadł obok niego, nie mógł pozwolić na to, by reszta zaczęła go uważać za dobrego kolegę młodego bolszewika. Nie chciał też dołączać do rozbawionego towarzystwa - wrogość między nimi a Malińskim była zbyt widoczna. Pozdrowił więc wszystkich niedbałym gestem i usiadł samotnie w fotelu, po czym pograżył się w lekturze „Lenina”. Czytał opis rewolucji w Piotrogradzie po raz wtóry. W pewnym sensie podziwiał postać Włodzimierza Iljicza, kiedy malowana była w tych barwach, w jakich opisał wodza rewolucji Ossendowski. Lenin, o którym uczyli go w komunistycznej szkole, jawił się śmieszny albo żalony, komunistyczny święty czy bożek nawet, a Stalin był jego prorokiem. Lenin Ossendowskiego, ten straszny, zimny, zdeterminowany człowiek, trochę psychopata w medycznym sensie tego słowa, krwawy i bezwzględny, dążący do rewolucji jak lodolamacz rozpierający metrowej grubości lód, ten Lenin mógł być przerażający, takiego Lenina mógł podziwiać przynajmniej za moc charakteru. I jednocześnie strasznie go śmieszył

panujący teraz nie tylko wśród bolszewików, ale również wśród zachodnich lewaków obyczaj przeciwstawiania Lenina Stalinowi - że niby szlachetną ideę Lenina zły Stalin zdegenerował i utopił we krwi. Zarówno z książki Ossendowskiego, jak i z innych źródeł Smith wiedział, że Stalin nie był nikim innym jak tylko wiernym Lenina uczniem. I Stalina w sumie też podziwiał. Na Zachodzie jedynie Churchill mógł się z wąsatym Gruzinem równać, cała reszta to głupie i naiwne miernoty.

Panowie skończyli grać w brydża i opróżnili butelkę wódki, Smith nie odmówił poczęstunku i wypił trzy kieliszki, wznosząc jakieś głupie toasty. Kiedy wszyscy już zebrali się do spania, napomknął Kumorowi, że botanika wydaje mu się coraz bardziej interesująca i że w miarę możliwości chciałby się wybrać z Malińskim przy najbliższej okazji.

- Ech, gdyby tu był z nami prawdziwy jakiś naukowiec, nie ten nieuk, toby pan dopiero zobaczył piękno w botanice... - rozmarzył się w odpowiedzi szef wyprawy. - Ale jasne, idź pan z młodym. Wszyscy wiedzą, że chłopak strzelać nie umie, pan go przynajmniej obronisz, jakby coś się miało...

Urwał nagle, jakby już powiedział dwa słowa za dużo, machnął ręką. Milczał przez chwilę.

- Może mu zresztą ten fanatyzm z wiekiem przejdzie. Można go zrozumieć, chłopak z biedoty wiejskiej pochodzi, pierwsze buty na własność dostał pewnie dopiero, jak go ojciec na nauki do miast posłali - dodał i zarechotał paskudnie.

Smith zaśmiał się z nim razem, chociaż żart w sumie nijak śmieszny nie był. Kumor rozsiadł się na fotelu obok, troszkę wstawiony, musiał mieć słabą głowę.

- Z drugiej strony nasze chłopaki, co czekają, aż im do Warszawy Anders na białym koniu przyjedzie, też zaślepione są, nie widzą, że z komunizmem w Polsce trzeba się jakoś pogodzić, trzeba się nauczyć z nim żyć i robić swoje dla kraju - rozgadał się na dobre. - Przeciwno nim można już tylko krzyczeć albo płakać, a z płaczów i krzyku nic dobrego dla Polski nie wyniknie. Żeby robić coś naprawdę, trzeba przynajmniej udawać, że jest się z nimi... No, idę spać. Dobranoc.

- Dobranoc, szefie - odpowiedział Smith. - Ma pan rację.

Poczuł do siebie odrazę, bo musiał przyznać, że w skrytości ducha ciągle wierzył w Andersa na białym koniu, wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Poznał środowiska emigracyjne i nie miał dla nich za grosz szacunku i ani odrobiny sympatii, nie było mu nawet żal tych wszystkich generałów, że nalewają teraz piwo po knajpach albo pracują jako magazynierzy, przesrali Polskę, to niech ponoszą przynajmniej takie konsekwencje. Ludzie w kraju mają gorzej. Ale w razie wojny światowej, którą daj nam Panie Boże, kto inny mógłby posłużyć jako reprezentant niekomunistycznej Polski? Nikt inny, niestety, tylko to kreatury żałosne.

Czytając polskie, zachodnie i emigracyjne polskie gazety, z przykrością musiał stwierdzić, że nie ma na emigracji nikogo, kto jako polityk dorównywałby chociażby Gomułce. Ciągle wierzył jednak, że

komunizm w Polsce może się skończyć. A raczej - może być zakończony, chociaż opieszałość zajętego Suezem Zachodu, kiedy w zeszłym roku Sowieci dorzynali budapeszteńską rewoltę, sprawiała, że coraz bardziej w to wątpił.

A kiedy zwątpi zupełnie w to, że komunizm można rozwalić, wtedy rzuci pracę, zabierze pieniądze i wyjedzie do RPA, tam kupi sobie plantację tak daleko od innych ludzi, jak to tylko możliwe, ściągnie mamę, ożeni się z jakąś ładną jasnowłosą i opaloną na brązowo cichą dziewczyną burską, nauczy się polować i będzie sobie żył, sprzedając bawełnę. Czy co tam się w RPA uprawia.

Chyba też był odrobinę pijany, było mu gorąco, miał wypieki, aby się więc ochłodzić, wyszedł przed stację. Była flauta, pierwszy raz, odkąd był na Svalbardzie. Ciszę burzył tylko odległy, niezbyt intensywny klangor ptasich kolonii, na fiordzie pomiędzy rzadką krą przesuwwały się białe grzbiety małych waleni, białuch, szły tuż pod powierzchnią, przewalając jasne grzbiety przez fale, powoli, jakby płynęły w zastygającym powoli oleju, nie w lodowatej wodzie. Zapalił sobranie, usiadł na beczce i dmuchał niebieskim dymem w stalowe niebo, a kiedy papieros się skończył, wdeptał złoty filtr w błoto i poszedł spać.



## ROZDZIAŁ 13

Następnego dnia zabrał swój zielnik, karabin oraz plecak z kanapkami i kawą w termosie i poszedł z Malińskim na kolejną botaniczną wyprawę, w górę Revdalen, po zielono-brązowej tundrze flankowanej z obu stron szarymi zboczami wyniosłych szczytów, którym na wierzchołkach niebiosa dotykały białych czap wiecznych śniegów. Dalej poszli przez mały lodowiec na przełęczy pod Trulsenfjellet, w stronę Russenpynten, a potem na północ, aż do Skoddebukta, i na zachód, w piekielnie trudnym terenie, po grząskich morenach, aż na stoki Solheimfjellet.

Maliński znów był naburmuszony, przez pierwszych kilka godzin wcale się nie odzywał, Smith narzucił więc solidne tempo marszu. Dopiero po czternastu godzinach, kiedy przyszedł czas na biwak i podgrzewali konserwy na benzynowej maszynie, młody komunista chętnie poczęstował się papierosem z podsuniętej mu paczki i jakby z wdzięczności za smak wyrafinowanego tytoniu, rozpoczął zdawkową rozmowę o pogodzie, o zmęczeniu i o tym, jak przejdą przez lodowiec.

Smith podtrzymywał przez chwilę rozmowę, po czym skierował ją na śmierć Gorzewskiego i sam zaczął mówić. Opowiedział o trupie, o tym, jak oglądał go w kostnicy szpitala w Longyearbyen, nie oszczędził Malińskiemu najdrobniejszego makabrycznego szczegółu. Opowiadał o wyżartych oczach, wbrew oczywistej prawdzie mówił o tym, że wnętrzości Gorzewskiemu niedźwiedź wyjadł zapewne żywcem, podkreślał, jakby nie było to jasne, jak strasznie musiał

Gorzewski cierpieć.

Maliński zaś, słysząc te słowa, kurczył się. Siedział na kamieniu nad wątlym ognikiem benzynowej maszynki, na której grzała się woda na herbatę, w swojej kurtce pikowanej jak kołdra, kiedyś jasnożółtej, teraz szaroburej od błotnistych plam, i w spodniach nadzwyczajnie workowatych, które ukrywały wielką chudość jego sylwetki. Siedział, splótł palce i pocierał dłońmi, jakby chciał rozetrzeć piasek na mąkę, wzdychał, oblizywał spierzchnięte od wiatru wargi, gapił się to na noski swoich butów, to na niebo i widać było, że męczy się wyjątkowo. Smith bardzo skutecznie dyskomfortu Malińskiego nie zauważał i ciągnął opowieść coraz smutniej, rozczulając się nad złym losem człowieczym i zadając fundamentalne pytania: czy tak musiało się stać? Czy dzielny człowiek otoczony przez przyjaciół musiał tak zginąć?

I tego już Maliński nie wytrzymał.

- Otoczony przez przyjaciół, dobre sobie! Przecież to oni... - wybuchnął i zamilkł nagle przerażony.

Ale Smith nie znał litości.

- Co: oni? Czyżby nie byli jego przyjaciółmi? - zapytał bezwzględnie.

- Och, oczywiście, że byli, jak najbardziej - próbował się wycofywać botanik.

- Ale oburzył się kolega na to, co powiedziałem. „Dobre sobie”, „przecież to oni” - nie odpuszczał Smith. - Czyżby kolega miał coś z tym wspólnego?

Maliński nie zapytał: „Z czym?”, chociaż przecież powinien, Smith w myślach zganił się za nieostrożność, jednak jego rozmówca był na to zbyt prosty. Spuścił głowę.

- Ja nie mam z tym nic wspólnego - odparł niechętnie. - Ale sądzę, że Barcz owszem, miał coś wspólnego z jego śmiercią i że reszta się na to zgodziła. Najpierw wszyscy prócz mnie odsunęli się od niego, trzymali dystans. Nagle, jednego dnia, jakby się czegoś dowiedzieli. I potem Barcz wraca z wyprawy i okazuje się, że Gorzewski zaginął. A potem znajduje się trup.

- Ależ, kolego! - oburzył się Smith. - Przecież to niczego nie dowodzi, rzuca kolega takie straszne oskarżenie, bez podstaw zupełnie, cóż to ma być? Intuicja? Iskra Boża?

Milczeli obaj przez chwilę, syczał tylko benzynowy kocher. Zabulgotała woda w aluminiowym czajniczku. Teraz albo nigdy, jeśli nie wie nic więcej, to najwyżej się obrazi, a jeśli coś wie, to złość może go sprowokować.

- W sumie nie ma się co dziwić - powiedział Smith głosem nagle chłodnym. - Wy, komuniści, zawsze jesteście chętni, żeby niewinnego człowieka o każdą zbrodnię oskarżyć.

Tego Maliński nie mógł znieść. Zerwał się na równe nogi.

- My, komuniści, niewinnego... tak? - krzyknął, zacinając się, jakby chciał powiedzieć więcej, niż można zawrzeć pomiędzy jednym podmiotem i orzeczeniem. - Komuniści niewinnych ludzi... w ogóle! Stalin... stalinizm, to były błędy, no po prostu błędy, na dobrej drodze! A Barcz miał motyw, doskonały motyw, żeby Gorzewskiego

zamordować!

- A jakież mógł mieć motyw? Przecież się przyjaźnili... - Smith niby ciągnął Malińskiego za język, ale przecież sam również nie znajdował odpowiedzi na to pytanie.

- Pewno, że się przyjaźnili - młody komunista mówił już bez żadnych oporów. - Tak się przyjaźnili, że przed wojną Barcz w bójce bronił Gorzewskiego i zabił jakiegoś Żyda, nazwiska nie pamiętam. I Barcz na pewno bał się, że teraz Gorzewski go wyda, bo on był korporantem... Bo wie pan, co to były korporacje? To takie organizacje polskich studentów faszystów przed wojną, jak Hitlerjugend. I on Żyda zabił! I podobno tylko Gorzewski o tym wiedział, więc on tego Gorzewskiego ściągnął tutaj, na Spitsbergen, tylko po to, żeby go zabić!

- Skoro tylko Gorzewski o tym wiedział, to pan dowiedział się od niego, jak rozumiem? - zapytał Smith.

- Wcale nie! Podśluchałem ich rozmowę!

Maliński w swoim chłopskim dzieciństwie nie przeszedł wychowania do dyskrecji, dlatego o podsłuchiwanie powiedział bez wstydu. Dopiero zniesmaczony wzrok Smitha przypomniał mu, że w środowisku, do którego wszedł w drodze awansu społecznego młodzieży wiejskiej, panuje szacunek do dyskrecji i obrzydzenie do tak oczywistych dla chytrego chłopstwa postępków, jak podsłuchiwanie lub czytanie cudzych listów.

- Przypadkiem podśluchałem - dodał więc, usprawiedliwiając się.

- Oczywiście. - Smith natychmiast przyjął wytłumaczenie Malińskiego. - To się rozumie samo przez się, że przez przypadek, porządni ludzie nie podsłuchują.

Być może balansował na krawędzi sarkazmu, ale dla Malińskiego takie subtelności były raczej niedostępne, toteż pozostał w przekonaniu, iż Smith uważa go za kogoś lepszego, niż jest w rzeczywistości.

Smith wsypał neskę do wrzątku, zamieszał, rozlał do kubków. Gorąca emaliowana blacha przyjemnie rozgrzewała zziębnięte na wietrze dłonie. Siorbali gorący płyn, nie odzywając się przez jakiś czas.

- A reszta niby o tym wiedziała i zgodziła się, żeby Barcz zabił Gorzewskiego? - zapytał w końcu Smith.

- Może i wiedziała. Taki Kumor na przykład, chociaż partyjny, to wcale nie jest dobry komunista. On się do partii zapisał, żeby łatwo awansować. Tak naprawdę on pewnie podziela burżuazyjny światopogląd.

Logiki w koncepcji Malińskiego brakowało bardzo, lecz Smith nie zamierzał bardziej naciskać. Coś mogło być na rzeczy, to mogła być zbrodnia z osobistych motywów. Stąd ich milczenie, dlatego właśnie nie wymieniają nazwiska Gorzewskiego. Nie rozpaczają ani nie rozmyślają nad jego śmiercią i nad dziwnymi kolejami ludzkiego losu, ponieważ nie los jest winien, tylko oni. Oni zabili kolegę, Barcz za milczącą zgodą reszty. Dlatego o nim nie gadają. Po pierwsze, nie chcą przypominać sobie tego, co zrobili, omijają ten temat, jak w

rodzinie omija się wstydlivy temat córki prostytutki, wujka pedała albo syna bolszewika. Po drugie, boją się. Przecież żyli, tak niedawno jeszcze i tak długo, ponad dekadę, w kraju, w którym każdy mógł być kapusiem, w którym w każdej ścianie mógł kryć się podsłuch. I zapewne boją się jego, Smitha, boją się, że przyjechał tutaj węszyć w imieniu sysselmana, a może w imieniu ruskich. I słusznie się boją, w końcu przyjechał tutaj i zaczął ich podsłuchiwać. Zdobyli się na dyskrecję absolutną, właściwie na znowę milczenia, nie zdobyli się jednak na aktorstwo - bo też byłoby to przedstawienie trudne do wyreżyserowania, grać musieliby wszyscy cały czas i jakoś jeszcze koordynować swoje role. A przecież musiały nimi szarpać namiętności, wściekłość, strach człowiekowi zaś o napiętych nerwach łatwiej jest milczeć, niż przekonująco kłamać.

- Zamierza kolega coś z tym zrobić? - zapytał wprost Malińskiego.

- Nie wiem, może w kraju... jak wrócimy. Ale i tak pewnie nic z tego nie będzie, zagryźliby mnie. Kumor albo Smołdziński. Oni też są w partii, a będą gadać przeciwko mnie, nienawidzą mnie tak samo jak tamci, reakcyjniści. Kumor zresztą był u Andersa, to znaczy nie u Andersa, tylko w lotnictwie, latał na bombowcach w Anglii w czasie wojny. Nawet jakiś order dostał brytyjski, a do partii zapisał się dopiero w zeszłym roku, po październiku. Tacy z nich towarzysze. Niepotrzebnie o tym w ogóle opowiadam, jeszcze na dodatek... - urwał.

- Jeszcze na dodatek emigrantowi, tak? - uzupełnił Smith z

uśmiechem. - Niech się kolega nie martwi, wolę uczciwego komunistę niż hipokrytów, oportunistów i morderców.

Maliński rozpromienił się, jakby właśnie dostał Nagrodę Leninowską. Uznanie nie na zebraniu POP, tylko u kogoś, kto patrzy nań z zewnątrz, i to pewnie z uprzedzeniem, i nazywa go uczciwym komunistą. Nie per „bolszewicki sługus”, nie „swołocz sowiecka”, jak czasem mówili o nim koledzy ze stacji, kiedy sądzili, że nie słyszy. Ten przynajmniej dostrzegł, że on, Maliński, nie jest komunistą z wyrachowania czy z chęci zrobienia kariery, ale z najszczerzych przekonań, z troski o los ludu. W zasadzie niczego więcej nie potrzebował prócz właśnie tego, żeby ktoś wreszcie dostrzegł, że być komunistą w Polsce, nie zawsze musi oznaczać bycie karierowiczem, że są ludzie uczciwi i zacni, jak on właśnie, tacy, co dostrzegają wartość w komunizmie, wartość, która przerasta i stalinowskie błędy i wypaczenia, i ludzkie przywary, karierowiczostwo i zawiść, pchające różnych oportunistów w partyjne szeregi.

Wdzięczność Malińskiego była dla Smitha widoczna jak na dłoni. Nie czuł jednak do niego sentymentu. Osobista uczciwość w oczach Smitha nie czyniła komunisty sympatyczniejszym.

Wypili kawę, jedli konserwy z sucharami, po czym nie rozmawiali już więcej, położyli się w śpiworach pod pomarańczowym brezentem namiotu obok siebie. Naukowiec bolszewik i szpieg z Zachodu w jednym namiocie. Jeszcze pięć lat temu Maliński za taką znajomość trafiłby prosto do tury. Smith uśmiechnął się do swoich myśli, po czym przypomniał sobie swoją betonową celę. Przeszedł go

dreszcz od czubka głowy aż po pięty. Wymacał pod pachą kolbę pistoletu i pomyślał, że w zasadzie mógłby Malińskiego zastrzelić i chociaż sam akt zabicia młodego człowieka, którego osobiście poznał, byłby bez wątpienia wstrząsający, to potem jednak nie czułby wyrzutów sumienia. Uczciwi komuniści są gorsi od oportunistów - pomyślał, po czym zasnął.

Wstali dopiero po trzynastej, bo też rytmu ich wędrówki i pracy ciągle jeszcze nie determinowały wschody i zachody słońca - spać poszli dopiero koło czwartej nad ranem. Zjedli obfite śniadanie na gorąco, wypili po kubku neski i zwinęli obóz. Smith bardzo lubił ten moment, kiedy namioty, śpiwory i wszystkie biwakowe utensylia i szpeje, cały obóz, zajmujący spory kawałek przestrzeni, ciasno upakowany zniknął w dwóch plecakach, jakby te brezentowe, wykończone skórą worki na szelkach miały magiczną właściwość kompresowania materii.

Ruszyli w drogę. Maliński milczał, Smith też nie zaczął rozmowy, maszerowali, zbierali rośliny do swoich zielników, potem znów rozbili obóz i zmęczeni i zziębnięci wbili się od razu w śpiwory, na kolację pożywiając się jedynie suchym prowiantem.

Kolejne dni mijały podobnie zgodnie z rutyną, która niejako sama im się ustaliła na początku - sen, posiłek, kilkanaście godzin marszu i pracy, w przerwach jedynie kanapki z sucharów i kawa z termosu, potem zakładanie obozu, ciepły posiłek, sen. Idąc, Smith miał wiele czasu na myślenie, więc wspominał. Zaczynało mu już brakować kobiet. Nawet nie erotycznych spotkań, lecz damskiego



towarzystwa, które lubił, nawet jeśli były to tylko niezobowiązujące randki z różnymi pannicami w Zurychu czy Londynie. Sypiał jedynie z Sophie, francuską kelnerką z jego ulubionej restauracji w Zurychu. Sypiał zresztą to za dużo powiedziane - w ciągu roku znajomości byli ze sobą trzy razy. Sophie w gruncie rzeczy była porządną dziewczyną, katoliczką, za każdym razem czuła wyrzuty sumienia, chociaż Smith nie był jej pierwszym mężczyzną, pierwszy był bogatym paryżaninem i to przez niego uciekła ze stolicy aż do Szwajcarii. Smithowi zaufała i Smith jej ufał. Ufał, ale zameldował w Firmie, że się z nią spotyka, i odpowiedni dział przeświecił ją dokładnie, przy okazji donosząc mu, że dziewczyna jest mu wierna i nie spotyka się z nikim innym. Sypialiby ze sobą może i częściej, gdyby nie to, że Sophie dzieliła pokój z pewną młodą Chorwatką, również kelnerką, i mogli się tam spotykać, w tajemnicy przed właścicielką stacji, tylko wtedy, kiedy Jovanki nie było. Do siebie nie mógł jej zaprosić, a Sophie była na tyle mądra, żeby nie pytać dlaczego, jakoś wyczuwała, że za jej narzeczoną, jak go określała, kryje się jakaś tajemnica zbyt poważna dla niej. Wracał teraz w myślach do jej ciała nietkniętego opalenizną, do wygiętej linii kręgosłupa, kiedy z głową na przedramionach leżała, poddając się jego cierpliwym pieszczotom.

Od kiedy zaczął się z nią spotykać, nie spał z żadną inną dziewczyną. Od wyjścia z ubeckiego więzienia nie był religijny, może kto inny uratowany z celi śmierci właśnie by się nawrócił, ale Smithowi jakby amputowano wtedy część mózgu, w której kryją się wszelkie odniesienia człowieka do Boga. Nie był na tyle głupi, aby od

razu uznać, że Bóg nie istnieje, po prostu przestał się do Niego odnosić w jakikolwiek sposób. Kiedy na początku bluźnił Bogu w celi, był jeszcze katolikiem, takim, jakim uformowała go mądrze i głęboko wierząca matka - kiedy wyciągnęła go Firma, był już obojętny, Boga w jego życiu nie było. Zniknęło też pojęcie grzechu, nigdy nie myślał już o tym, co mogłoby Boga obrazić, zamiast tego oceniał rzeczy jako przyzwoite i nieprzyzwoite. I sypianie z innymi kobietami niż Sophie wydawało mu się po prostu nieprzyzwoite, nie czynił więc tego, nie czuł nawet takich pokus. Owszem, spotykał się z pannami w Londynie, zabierał je na kawę i do kina, ale żadnej nawet nie pocałował. Niektóre zniechęcały się same, toteż bez żalu pozwalał tym znajomościom umierać, z innymi musiał sam zrywać, kiedy kinowe towarzyszkę uznawały Smitha za młodzieńca absolutnie wyjątkowego, który nie dybie na ich domniemaną lub rzeczywistą cnotę, i na tej podstawie uznawały jego zamiary za nadzwyczaj poważne. Zrywał z nimi wtedy, aby rozczarowanie było jak najmniejsze.

Nie opowiadał swojej małej Francuzeczce o tym, że w Londynie chodzi z innymi dziewczynami na kawę, nie musiała o tym wiedzieć, pewnie nie potrafiłaby zrozumieć, że potrzebne mu jest po prostu ich delikatne towarzystwo, błaża rozmowa, zapach perfum, kiedy szły z nim pod rękę, i cmoknięcia w policzek, gdy odprowadzał je do domów. Kiedy siedział w betonowej celi w wilgotnych łachmanach i jedynymi ludźmi, jakich widywał, byli ubecy, Żydzi i polscy chłopcy, czasem fanatyczni i w swym fanatyzmie jakoś inteligentni, ale

najczęściej tępi, brutalni i głupi, redukujący nawet tortury do bicia, potwornego tłuczenia pięścią, krzesłem, kolbą pistoletu, pałąk czy łańcuchem - wtedy właśnie wzbierała w nim potrzeba kobiecego towarzystwa. Nie zniszczyła tej potrzeby nawet gruba kapitan bezpieczeństwa, która przesłuchiwała go przez dwa dni. Uznali wtedy chyba, że przemoc i bicie nie działają i trzeba go podejść z innej strony - tego już zapewne nie miała w instrukcji, lecz rozbierała się przed nim, przesłuchiwała go nago, potem próbowała go zmusić do stosunku, na szczęście na próżno, był zbyt wycieńczony, aby reagować nawet na bezpośrednie bodźce. Kiedy po długich, kilkudziesięciogodzinnych przesłuchaniach wracał do celi, przypominał sobie dziewczyny. Bez pożądania, tęsknił wtedy po prostu do czegoś czystego, eleganckiego, delikatnego, do innego świata, do jasnych błyszczących tkanin oblewających krągłe ramiona, do kawy w filiżankach z jasnej porcelany. I tej potrzeby bycia z kobietami w kinach, w pięknych kawiarniach, w parkach czy w łódce na jeziorze nie pozbył się do dziś.

Tęsknił więc do Sophie, w ogóle do kobiet, ale do Sophie najbardziej. Miał nawet ochotę o kobietach porozmawiać z Malińskim, zagadnął więc, lecz botanik zbył go, mówiąc, że jako uczony nie ma czasu na rodzinę, a przelotne miłości go nie interesują. Po jakimś czasie dodał, jakby od niechcienia, że w zasadzie chętnie by się ożenił, jakoś może dałoby się to pogodzić, tyle że wiejskie dziewczęta to zawsze dewotki, do miastowych zaś jakoś nie umie się przekonać. Tym razem Smith zbył to milczeniem.

Do sprawy Barcza i Gorzewskiego już nie wracali, wrócili za to do bazy po sześciu dniach wędrówki i obaj solidarnie, po szybkich ablucjach, zwalili się w wyrka.

A w bazie nic się nie zmieniło, każdy ciągnął swoją robotę, agregaty psuły się na potęgę, akumulator w samochodzie wyczerpał się już zupełnie i żeby go odpalić, trzeba było parkować terenówkę na wzniesieniu, by zapaliła „na popych”. Morze wyrzuciło wyczerpaną młodziutką fokę obrączkową, którą Zieliński uratował przed śmiercią, bo po pierwsze, nie pozwolił jej umrzeć z głodu, a po drugie nie pozwolił Kowalewskiemu zastrzelić zwierzęcia dla skóry. Mimo protestów reszty załogi wręczył focę trzy dorodne palie alpejskie, które rankiem złapał na sztuczną muchę w jeziorcu i rzeczce spływającej w Revdalen. Ryby były dorodne, wyglądem przypominające zarówno pstrąga, jak i łososia, i był to jedyny gatunek spotykany w słodkich wodach Spitsbergenu - polarnicy mieli wielki apetyt na to urozmaicenie konserwowego jadłospisu i w pierwszym momencie znienawidzili fokę, widząc, jak ta pałaszuje ich obiad. Potem jednak zwierzę natychmiast się oswoiło, a było tak wdzięczne, że wszyscy szybko je polubili.

Smith odespał trudy wyprawy, rano pomógł w kuchni Gołębiowi, zjadł z wszystkimi śniadanie, po czym dołączył do Zielińskiego, który wziął boka i pas ze śrutowymi nabojami, zepchnął łódkę na wodę i popłynął na gęsi, by powetować załodze zjedzone przez fokę palie.

Pływali parę godzin po fiordzie, blisko brzegu, o śrutowym

strzale nie było mowy, bo żadna z gęsi nie dawała podejść się tak blisko, w końcu więc wysztrandowali łódź na plażę i strzelali do ptactwa kulą, tak że nawet udało im się trzy spore gąsiory upolować i zebrać łódką z granatowych wód Hornsundu. Trzy gęsi wystarczą na obiad, wrócili zatem do stacji i powierzyli swój łup Gołębiowi, który ptaki oprawił, oskubał, zapakował wszystkie trzy do wielkiego aluminiowego gara, rozpałił przed stacją ognisko i piekł je w żarze przez dwie godziny, obficie polewając i przyprawiając w jemu tylko znany sposób.

Rezultat był rewelacyjny. Pod koniec lata gęsi były tłuste, a mięso o wiele bardziej aromatyczne niż mięso ptaków domowych, skórka cudownie się przypiekła. Spalaszowali ptaszyska z czerwoną kapustą i czterema butelkami wytrawnego wina, które zakupili w Tromsø, w drodze na Svalbard, i trzymali na szczególne okazje. Kiedy profesor Kumor spróbował gęsiny z udźca upieczonego na złocistobrązowy kolor, orzekł autorytatywnie, iż właśnie ta szczególna okazja nadeszła.

Po obiedzie Smith zajął się na parę godzin lekturą, a kiedy wszyscy poszli spać, wydobyl spod materaca pistolet, przeładował, zabezpieczył i schował w kieszeni kurtki, po czym poszedł do pokoju Barcza. Drzwi były otwarte, wszedł bezszelestnie i usiadł na krześle. Barcz nie zasłaniał okien, w pokoju było więc zupełnie jasno.

- Halo - powiedział Smith głośno. - Halo!

Barcz nie otwierał oczu, oddychał równo, pochrzäkując cicho.

- Halo!

Barcz westchnął, poruszył się i spał dalej.

- Pobudka!

- Czego, do cholery... - odpowiedział wreszcie, nie otwierając oczu.

- Proszę się obudzić, musimy porozmawiać - odparł Smith rzeczowo.

Barcz otworzył oczy, potarł je wierzchem dłoni, ziewnął i uniósł się na łóżku.

- Co się stało? - wymamrotał, patrząc jeszcze trochę nieprzytomnie.

- Dlaczego zamordowałeś pan Gorzewskiego? - zapytał. Od paru dni byli już na „ty”, ale Smith celowo wybrał oficjalniejszą, chociaż niegrzeczną formę.

Barcz obudził się zupełnie.

- Co za bzdury! - krzyknął, zrywając się z łóżka.

Smith wyciągnął rękę z kieszeni i w pierś Barcza wycelowało oko lufy colta. Metaliczny odgłos przesuniętego kciukiem bezpiecznika zatrzymał polarnika w pół drogi. Usiadł w pościeli. Gdyby rozważył to na zimno, pewnie doszedłby do wniosku, że Smith przecież go nie zastrzeli tutaj, w środku stacji, jednakże wojna nauczyła go, że palec wskazujący na spuście zgina się bardzo łatwo, często wbrew rozsądkowi.

- Zwariowałeś? - zapytał, zapinając górny guzik od pidżamy.

- Ktoś przetrącił Gorzewskiemu nogę w kolanie, po czym zostawił w tundrze samego, żeby zdechł z głodu. W sumie miał

szczęście z tym niedźwiedziem - odparł Smith.

Barcz wzruszył ramionami.

- A co, macie tu lekarza sądowego, który to stwierdził? To jakieś bzdury. Zresztą może ktoś go napadł? Jakiś traper albo... nie wiem... sowiecki naukowiec?...

Był całkowicie spokojny, Smith zatem uznał, że musi go tego spokoju pozbawić.

- Albo brat tego Żyda, któregoś pan w bójce zabił przed wojną w Warszawie - podsunął.

Barcz milczał, gapił się tylko na Smitha intensywnie, jakby mógł wzrokiem przewiercić mu czaszkę i zajrzeć w myśli. Był wstrząśnięty, próbował nie dać tego po sobie poznać, ale zbladł nagle.

- Jaki Żyd? Jaka bójka? Nie wiem w ogóle, o czym pan mówi - powiedział w końcu.

- To nie są bzdury. To jest motyw - odparł Smith. - A oprócz motywu mam również groźbę. Czy w Polsce wiedzą, że byłeś pan żołnierzem Narodowych Sił Zbrojnych oraz pracownikiem amerykańskich Kompanii Wartowniczych?

Barcz tym razem nie patrzył już na Smitha, tylko wbił wzrok w podłogę, oparłszy czoło na dłoniach.

- Socjolog, kurwa mać, dobre sobie... Kim jesteś i czego chcesz? - zapytał, nie podnosząc głowy, głosem rozdygotanym od adrenaliny, znów zmieniając formę na drugoosobową.

No właśnie, czego chciał? Przede wszystkim chciał prawdy o Gorzewskim, a potem chciał chyba Barcza zwerbować na informatora.

Chyba.

- Kto przetrącił Gorzewskiemu nogę? - zapytał, nie odpowiadając na pierwsze pytanie.

- Ja - wyznał Barcz, podnosząc głowę. - Kolbą sztucera. Przetrąciłem mu nogę i zostawiłem go w tundrze, żeby zdechł, bo był zdrajcą. Skazaliśmy go na śmierć wszyscy, jednogłośnie, nawet Smołdziński i szef. I mnie wyznaczono, żebym to zrobił. Tylko Maliński nic nie wiedział.

- Zdrajcą czego?

- Polski. Szpiegował nas dla ruskich, pisał wredne donosy. Podpatrzył go Zakrzewski, jak coś pilnie notuje maczkiem, samymi cyframi, po czym upycha do buteleczki po lekarstwach. Śledziliśmy go potem razem, poszedł niby to polować, aż do Russepynten, i tam to schował pod kamieniem, który musiał być umówioną skrytką. Obserwowaliśmy skrytkę, ale nikt nie przypląwał, więc w końcu zabraliśmy buteleczkę i kiedy Gorzewski poszedł zbierać swoje kamienie, przeszukaliśmy jego rzeczy. Wiadomości nie udało się nam odkodować, szyfrował najwidoczniej na maszynie takiej, ale był na tyle nieuważny, że miał w rzeczach karteluszek z wiadomością przed zakodowaniem, były na tym nawet notatki z kodowania. To był ogólny raport o stacji, o nas, charakterystyka prac, nasze charakterystyki, takie sprawy... Zredagowane po rosyjsku. A teraz niech mi pan powie, kim pan jest.

- Nazywam się Jan Dobrawa-Winnicki, jestem pułkownikiem wywiadu emigracyjnego rządu Rzeczypospolitej Polskiej - skłamał,



podając kolejne fałszywe nazwisko. - Oto dowód. - Sięgnął do kieszeni, wyjął portfel i rzucił go Barczowi. - W głównej przegrodzie jest ukryta kieszonka, proszę podważyć skórę przy zapięciu.

Glacjolog zrobił to i wyjął z portfela poskładaną na czworo karteczkę, po złożeniu wielkości małego biletu wizytowego. Rozwinął ją, na dokumencie znajdowało się zdjęcie Smitha z wytłoczoną pieczęcią z orłem w koronie, znak wodny z orzełkiem, lakonicznie po polsku i angielsku sformułowana prośba o udzielenie pułkownikowi Janowi Dobrawie-Winnickiemu wszelkiej pomocy, podpis - Antoni Pająk, premier - oraz pieczęć. Obok podpis: August Zaleski, prezydent. Wyglądało to oczywiście nad wyraz przekonywająco.

- W tej sprawie mam również poparcie Rady Trzech. Jednogłośnie, Andersa, Komorowskiego i Raczyńskiego - dodał jeszcze na wszelki wypadek. Szarżował oczywiście, ale wolał przeszarżować, niż spalić wszystko tylko dlatego, że Barcz okazałby się na przykład gorącym zwolennikiem Andersa i zgodnie z panującymi na emigracji obyczajami, prezydenta Zaleskiego nienawidziłby bardziej niż Hitlera ze Stalinem razem wziętych.

- Szantaż nie był potrzebny - rzekł Barcz, wkładając dokument z powrotem do portfela. - Wystarczyło to pokazać. Chyba nie jest pan przeciwnikiem kary śmierci dla komunistycznych kapusiów?

- Nie jestem. Zwłaszcza kiedy zobaczę dowody wskazujące na to, że Gorzewski rzeczywiście był tym, za kogo go pan uważa.

Barcz nie wstając, sięgnął pod łóżko, wyjął skrzynkę po narzędziach, otworzył i podał brązową kopertę, z której Smith wyjął

parę kartek, wypisany pismem maszynowym szyfrogram i kler, rzucił okiem, wyglądały autentycznie. Kler zredagowany rzeczywiście po rosyjsku.

- I jeszcze to. - Barcz wyciągnął z pudełka niewielkie urządzenie.  
- Nie mam pojęcia, jak to działa.

Przedmiot wyglądał jak miniaturowa maszyna do pisania z klawiaturą w cyrylicy, miał oprócz tego kilkanaście dźwigni, przełączników i pokręteł oraz wałek na wąskie paski papieru.

Smith obejrzał urządzenie i oświadczył kategorycznie:

- Rekwiruję to.

Spodziewał się oporu, jednakże Barcz zgodził się od razu. Smith przestał więc rozmawiać, a zaczął wydawać polecenia:

- Dobrze, niech pan obudzi wszystkich i zarządzi zebranie w świetlicy.

- Malińskiego też? - zapytał Barcz niepewnie.

- Wszystkich - odparł stanowczo Smith i wyszedł z pokoju Barcza. Wiedział, jakie będą konsekwencje obecności doktora nauk przyrodniczych Mirosława Malińskiego na tym zebraniu, lecz nie zamierzał się tych konsekwencji przestraszyć.

W mesie usiadł u szczytu stołu i czekał na nich. Improwizował, ale był prawie pewien swojej gry, bo rewelacje Barcza złożyły mu układankę śmierci Gorzewskiego w całość. Wszyscy akurat przebywali w bazie, mógł więc spodziewać się tutaj całej dziewiątki. Uśmiechał się, kiedy wchodzili i siadali, lecz nie odpowiadał na żadne pytania. Wszedł Maliński, z trudem tłumiąc radość, widać było, że

oczekuje, iż Smith dokona rozprawy z mordercami Gorzewskiego. Usiadł za stołem i niecierpliwie bębnił palcami o blat. Ostatni weszli Kumor i Barcz, z przerażonej twarzy profesora Smith wyczytał, iż Barcz już wszystko szefowi opowiedział.

- Wybaczą panowie, że musiałem ich zbudzić, ale sprawa nie pozwala na zwłokę. Będę mówił krótko i konkretnie. Smith to nie jest moje prawdziwe nazwisko. Nazywam się Jan Dobrawa-Winnicki i jestem pułkownikiem polskiego tajnego wywiadu. Prawdziwego polskiego wywiadu, nie bolszewickiego. Mam utaj dowód tożsamości wystawiony przez premiera Pająka kontrsygnowany przez prezydenta Zaleskiego, proszę podać dalej.

Wręczył papier Zielińskiemu, którego miał po prawicy, ten podał dokument dalej. Maliński siedział, jakby dookoła jego krzesła nagle stanął czas, nawet palce lewej dłoni, przed chwilą jeszcze bębniące po blacie, teraz zastygły jak palce pianisty, gdy zawiesza dłonie nad klawiaturą przed rozpoczęciem utworu, Smith kontynuował:

- Wiem, że z jednym wyjątkiem wszyscy jesteście prawymi polskimi patriotami. Dowiedliście tego, z rozwagą i determinacją wykluczając ze swojego grona bolszewickiego kapusia.

- Ożżż, psia bladź jego, w dupę kołkiem jebana... - mimowolnie wypsnęło się Gołębiowi, który siedział parę lat w warszawskim więzieniu i tam przyswoił sobie bogatą leksykę przestępczego światka. Reszta patrzyła to na papier, to na „pułkownika” z mieszaniną ulgi, zdziwienia i obawy. Maliński zaś zerwał się z krzesła. Chciał coś powiedzieć, wykrzyknąć, ale wyszło mu tylko

niezbyt artykułowane:

- O co... co... o... jak... o co?...

- Niech pan się uspokoi, panie Maliński. Pan również będzie musiał zginąć, ma pan trochę czasu, aby przygotować się duchowo na śmierć - powiedział Smith z całkowitą powagą. - Nie ma tu księdza, ale na szczere nawrócenie nigdy nie jest za późno.

Uśmiechy, które już zaczęły się pojawiać na twarzach zgromadzonych przy stole polarników, nagle zniknęły. Maliński zaniemówił zupełnie, stał z otwartymi ustami, z ręką podniesioną do jakiegoś gestu, lecz nie był w stanie wymówić ani słowa. W końcu pojął, że „pułkownik” nie żartuje, i nagle rzucił się w stronę drzwi. Juszcak, wiedziony instynktem chyba, bo przecież nie żądzą krwi, podstawił mu nogę i młody botanik wyrznął jak długi na podłogę.

- Zwiąż go pan i zaknebluj - rzucił Smith do Juszczaka.

Maliński zaczął wrzeszczeć, nic konkretnego, po prostu rozciągnięte i głośnie samogłoski, Zieliński rzucił kawał sznura Juszczakowi, który niewprawnie wiązał Malińskiemu ręce na plecach.

- Myślicie pewnie, że Gorzewski był podlecem, zdrajcą i dlatego zasłużył na śmierć, nawet tak okrutną, jaka go spotkała, a tymczasem Maliński, chociaż bolszewik, jest człowiekiem osobiście uczciwym, wierzącym w komunizm nie z niskich pobudek, lecz szczerze...

Nie reagowali na jego słowa w żaden sposób, nie potakiwali mimowolnymi skinieniami głowy, nie protestowali, jakby wiedzieli i czuli, że cała władza nad sytuacją jest w rękach Smitha, że tylko on może decydować o tym, co się stanie.

- I rzeczywiście tak jest - ciągnął. - Maliński to uczciwy człowiek, chociaż komunista. Swoją drogą, ptak wśród nich raczej rzadki. Tym bardziej jednak, panowie, musi zginąć. Lenin też był osobiście uczciwym komunistą, szczerze wierzącym w idee, które głosił, nieprzekupnym, w całości poświęcającym się walce o to, co wydawało mu się lepszym jutrem. Mimo to gdyby ktoś z was spotkał kiedyś Lenina w ciemnej uliczce, czy mając brauning w ręce nie wpakowalibyście całego magazynka między te kałmuckie oczka?

Dopiero teraz Zieliński potaknął i aż trzepnął się po udzie, tak trafiła doń argumentacja Smitha.

- Uczciwy komunista jest groźniejszy od zwykłego oportunisty, panowie. Oportunistami jest większość ludzi i nikt nie wykazuje się ani gorliwością w krzewieniu idei, której właśnie służy, ani w nią szczerze nie wierzy. Uczciwy komunista zaś, panowie, to Pawlik Morozow, który doniósł do CzeKa na własnego ojca.

- Panie pułkowniku, to młody chłopak jest, głupi, ze wsi. On może jeszcze się wyrzec komunizmu, jak tylko pojmie, w co naprawdę wierzy... - przerwał Barcz Smithowi, który w tej chwili uznał, że przeholowali z tym pułkownikiem, kiepsko to wypada, za młody jest na taki stopień. Mogli go mianować majorem albo kapitanem, wypadłoby lepiej. Na Barcza popatrzył z uznaniem. Trzeba hartu ducha, żeby się w niesprzyjającej atmosferze przeciwstawić tak gwałtownej retoryce. Reszta polarników czekała, czyje zdanie przeważy.

Smith postanowił zaryzykować i zawierzyć swojemu osądowi

ludzi.

- Zapytajmy więc pana Malińskiego, czy wyobraża sobie, że mógłby wyrzec się komunizmu. Panie Juszczak, odknebluj go pan.

Maliński był już spokojny, zabiegom Juszczaka poddał się bez protestów i teraz, kiedy geofizyk wyciągnął mu szmatę z ust, warknął:

- Wyrzec się komunizmu?... Nigdy! - Z warknięcia zaś przeszedł do krzyku: - Zdrajcy! Reakjoniści! Mordercy! Już was dopadnie karzące ramię partii, zobaczycie!

Juszczak zakneblował go z powrotem, nie czekając na polecenie Smitha.

- A więc jednak... Czy któryś z panów pod groźbą śmierci wyrzekłby się Polski?... - popatrzył po nich wyczekująco. - Nie odmawiamy temu młodemu, oczadziałemu bolszewizmem człowiekowi moralnej odwagi i hartu ducha. Jest naszym wrogiem, ale nie musimy nim pogardzać ani go nienawidzić. Musimy go zgładzić, mimo to możemy go szanować chociażby dla tych paru ludzkich cnót, które ma.

Jeszcze nie byli przekonani, lecz nic dziwnego - przedstawił im na razie tylko ideologiczną nadbudowę. Nikt chętnie nie zabije kolegi tylko dla ideologicznego konstruktu. Teraz zamierzał przejść do wynikającej z życia bazy, praktycznej i emocjonalnej.

- Być może w innych warunkach moglibyśmy zostawić go przy życiu. Tyle że właśnie z jego powodu musiałem wyjawić panom swoją prawdziwą tożsamość. Maliński odkrył, że Gorzewski nie zginął przez przypadek, i zamierzał was Wydać po powrocie do kraju.

I zrobi to niechybnie, jeśli uda mu się do Polski wrócić. Musi więc zginąć, żebyście wy zachowali życie. Nie dla siebie to życie macie zachować, nie dla waszych rodzin nawet, tylko dla Polski. A poza tym, panowie - przeszedł do argumentu emocjonalnego - ilu dobrych patriotów od dwunastu... - ba! od czterdziestu lat nawet, licząc od samego początku rewolucji, ginie ciągle z bolszewickiej ręki? Ilu z nich, jak oficerowie w Katyniu, poszło na rzeź jak bezbronne zwierzęta, marząc tylko, aby ktoś dał im do ręki pistolet, by paru bolszewików mogli zabrać ze sobą? Teraz na krótki moment i na maleńką skalę możemy odwrócić tę zasadę: niech w tej wojnie, która ciągle trwa, i oni poniosą chociaż jedną ofiarę, tym większą, im lepszy z Malińskiego komunista.

Zamilkł na długą chwilę, patrzył po zgromadzonych przy stole i po Juszczaku, który ciągle przyciskał wątlęgo Malińskiego do podłogi.

- Czy ktoś jest przeciw? - zapytał, przezornie w tej właśnie kolejności.

Gdyby zapytał: „Kto jest za?”, być może nikt nie podniósłby ręki, ze strachu przed stanowczym wypowiedzeniem się w sprawie tak wielkiej wagi. Pytając najpierw: „Kto jest przeciw?”, odwracał sytuację: strach przed zajęciem jednoznacznego stanowiska pozostawał taki sam, tyle że działał na jego korzyść. Może czekali, aby podnieść ręce, aż zgodnie z parlamentarnymi zasadami zapytał: „Kto się wstrzymał?”. Postanowił jednak, że nie da im tej możliwości, skoro w pełni wszystko kontroluje.

- Wstrzymywać się w takiej sprawie nie wolno. Kto jest zatem za śmiercią dla Malińskiego?

Wszyscy podnieśli ręce, a każda z nich była jak palec naciskający na spust. Maliński zaczął wierzgać i miotać się na podłodze, fundując Juszczakowi małe rodeo. Być może dopiero teraz uwierzył, że to nie żart.

- Nie ma czasu do stracenia - powiedział Smith. Wyciągnął pistolet z kieszeni kurtki. - Macie tutaj osiem kul, jedną w komorze i siedem w magazynku. Każdy wystrzeli raz. Chodźmy.

Próbowali się ociągać, dopiero teraz szeptali coś w rodzaju „czy pośpiech jest konieczny”, któryś wyrażał nawet wątpliwość, czy chce być katem, i tak dalej. Smółdziński rzucił, że przecież odwilż, że zdobycze pałdziernika, Gomułka i polska droga do socjalizmu i że może by jednak jakoś inaczej dało się to rozwiązać...

Boże, jak on tego nienawidził! Tej odwiecznej polskiej obawy przed czynem, tego strachu przed każdą nawet najbardziej uzasadnioną przemocą, tych filtrów, które wszyscy zakładali sobie na oczy, aby widzieć rzeczywistość nie taką, jaka była lub jest w istocie, tylko taką, jaką widzieć by woleli. Beck w trzydziestym dziewiątym odgrażający się, że nie da ani guzika od płaszcza, a oddał w dwa tygodnie całe państwo, dwa dziesięciolecia ciężkiej pracy całego narodu, ojca i matki Smitha również. Przesrał to wszystko w dwa tygodnie, bo mu się chciało uwierzyć, że są silni, zvarci i gotowi, a Niemcy przewalili się po nich, jakby jechali na piknik. Albo potem jeszcze gorzej: układ Sikorski-Majski i na podstawie niedopowiedzeń



Sowieci panowie emigracja założyli, że będzie Polska w granicach z trzydziestego dziewiątego. Szkoda, że nie założyli od razu, iż będzie od morza do morza!... A w czterdziestym piątym akowski Plan „Burza” i znowu filtr - będziemy witać Sowieci jak oswobodzicieli i sojuszników, a oni uznają nasze pierwszeństwo tutaj i będą się zachowywać, jak na sojuszników przystało. Filtr absolutnie szczelny. Jeśli ktoś próbował go rozerwać, jak pan Mackiewicz, któremu dużo Smith zawdzięczał, i w ogóle jak każdy, kto znając naocznie sowiecką rzeczywistość, ośmielał się wskazywać na nieco zbyt optymistyczne założenia akowskiej polityki, był klasyfikowany albo jako wariat, albo jako niemiecki kolaborant, a ta ostatnia klasyfikacja miała przecież wagę ołowiu. O tym wszystkim Józef Mackiewicz opowiadał mi w zeszłym roku, Smith odwiedzał go, podając się za młodego emigranta, i rozmawiał z nim wyłącznie o historii politycznej drugiej wojny światowej - oczywiście to Firma go doń wysłała, ale już po pierwszym spotkaniu Mackiewicz zrobił na nim takie wrażenie, że w raporcie dla Firmy scharakteryzował go jako obiekt, którego nie ma po co rozpracowywać, po czym chodził do niego, już prywatnie. Nigdy mi się oczywiście nie przyznał, kim naprawdę jest i gdzie pracuje, ponieważ ten pryncypialny wilniuk nie chciałby z nim wcale gadać. Występował więc niezmiennie jako pracownik firmy handlowej i słuchał.

I może dzięki tym rozmowom teraz nie zamierzał pozwolić polskim polarnikom na kolejne nicnierobienie w imię rzeczywistości o rozmytych konturach. Na szczęście już zapanowała tutaj sprzyjająca

aura. Wczorajszy przybłąda, trzymany w stacji z gościnności, ale nie liczący się wcale w jej służbowej i ludzkiej hierarchii, w której przewyższał jedynie outsidera Malińskiego, stał się nagle pułkownikiem Dobrawą-Winnickim, emisariuszem, oficerem wywiadu wolnej Polski! Zdaje się, że sama fraza: „wywiad wolnej Polski” brzmiała tak cudownie dla ich zmęczonych komunizmem uszu, że chętnie w zgoła nieprawdopodobne istnienie takiego wywiadu uwierzyli. A on, pułkownik Dobrawa-Winnicki, wytypował ich wszystkich, jednego po drugim, na wykonawców wyroku, który wydali nie udając nawet, że robią proces. O podobnych sprawach słyszeli, wiadomo było, jaki los spotykać powinien zdrajców w czasie wojny, to przecież było tak niedawno. A ci z nich, którzy byli w jakiejś konspiracji - Barcz w NSZ, Kumor i Smołdziński w AK - ci byli przekonani nawet, że to co zamierzają zrobić, wpisuje się jakoś w takie konspiracyjne decorum.

Maliński zaś szarpał się przez chwilę, po czym oklapł nagle, jakby uznał dalszą walkę za bezcelową. Podnieśli go pod ramiona Juszcak z Zakrzewskim, Juszcak oswobodził mu nogi i wyszli przed stację, po czym ruszyli za „pułkownikiem”, który wskazał im drogę - na Przylądek Wilczka.

Nie szli daleko, kilkaset metrów. Maliński patrzył na nich oczami szeroko otwartymi, wypełnionymi raczej nienawiścią niż przerażeniem. Na przylądku, wyciągniętym na pół kilometra w morze, oddzielającym Isbjørnhamna od Hornsundu, między skałami rozpaczliwie czepiały się życia tundrowe mchy, trawy i kwiaty. Od

strony Zatoki Białego Niedźwiedzia zebrało się na plaży trochę poszarpanej kry, którą wiatr przygnał spod schodzącego do zatoki czoła lodowca Hansa. Przy samym czubku przylądka z morza wyrastały sieczone falami głazy. Zatrzymali się dopiero, kiedy z trzech stron otaczało ich morze, jakby tylko taka dramatyczna scenografia przystawała do tego, co zamierzali właśnie zrobić. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, niewidoczne przez chmury, grube i gęste jak kozuch pleśni. Rozproszone światło, szare morze, szare niebo i szare skały, i zatrzymująca spojrzenie po jakichś dwustu metrach mgła, cienka, ale jeszcze bardziej i jeszcze mocniej izolująca ich od całej reszty świata. Nawet budynku stacji nie było już widać. Smith wyciągnął Malińskiemu knebel.

- Pacholek imperialistów! - wrzasnął botanik. - Judasz!...

- Mirosławie Maliński, czy chcesz w jakiś sposób wyrazić swoją skruchę, nawrócić się do Boga, skoro już wspominasz Judasza? - powiedział i poczuł się jak ostatni kabotyn.

- Zdrajca!... Pacholek!... Faszysta!... - Maliński był wyraźnie uniesiony swoim heroizmem. - Partia was dopadnie, partia wam tego nie wybaczy!... Zbrojne ramię partii pomści moją śmierć, jeszcze polecą wasze głowy, szuje, zdrajcy, skurwysyny!...

Barcz nagle nie wytrzymał, szarpnął się, jakby ktoś go ukłuł szpilką, w dwóch skokach znalazł się koło Smitha i warknął cicho:

- Dawaj pan to kopyto i kończmy ten żaloszny teatr.

Smith podał mu broń. Maliński zamilkł i spojrzał na Kumora, chciał coś powiedzieć, pewnie błagać, ale nie zdążył, Barcz bowiem

odbezpieczył, jednocześnie podnosząc rękę, i natychmiast strzelił Malińskiemu w czoło, tak że zanim jego ciało zwaliło się bezwładnie na przerośnięte rudym mchem kamienie, botanik już nie żył.

- Banda idiotów, komedianci cholerni - wyrzucił z siebie z nienawiścią Barcz. - Strzelajcie se teraz do trupa!...

Podał pistolet Kumorowi, który chwycił broń bezwiednie - a Barcz odwrócił się i nie mówiąc już nic więcej, poszedł w stronę stacji.

- Ja nie będę do niego teraz strzelał... nie będę strzelał do trupa! - płacząco jęknął szef.

- Teraz rzeczywiście nie ma sensu do trupa strzelać - dodał Zakrzewski. - To by było jak bezczeszczenie zwłok.

Smith zgodził się z nimi. Był zły na Barcza, że zepsuł mu to przedstawienie, bo gdyby każdy z nich przyłożył rękę do tej śmierci, miałby też lojalność każdego z nich zarówno z osobna, jak i - jak to mówią komuniści - jako kolektywu. Postanowił więc uratować to, co dało się uratować.

- Zgadzam się. Chciałem, żeby każdy z was pociągnął za spust, bo złączyłaby was wspólna tajemnica, dzięki czemu nie musielibyście do końca życia obawiać się, czy któryś z was nie wyda reszty. Ale zrobimy inaczej. - Zwrócił się do Kumora: - Panie profesorze, pan tu jest szefem: niechże pan podzieli obowiązki tak, aby każdy jakoś do tego ręki przyłożył. Trzeba znaleźć coś, czym można będzie obciążyć ciało Malińskiego. Trzeba sporządzić mocny brezentowy całun, w którym go razem z ciężarem zaszyjecie. Ktoś musi później wypłynąć i

morzu oddać ciało.

Kumor słuchał uważnie, a kiedy „pułkownik” skończył, profesor ciągle płaczącym tonem wyraził swoją wątpliwość:

- A co potem?... Drugi trup w tak krótkim odstępie czasu, i to najpierw ich agent, a teraz komunista. Zaczną coś podejrzewać, będzie śledztwo...

- Po pierwsze, Gorzewski był agentem sowieckim, bardzo możliwe, że zwerbowanym bez powiadamiania o tym polskiego „sojusznika”. Po drugie, śmierć Malińskiego zgłosicie dopiero za parę miesięcy. Do tego czasu i tak nikt was nie będzie odwiedzał. Wiadomości do Polski, dla rodzin, przesyłacie morse'em, musicie więc udawać, że jest z wami. On i tak nie miał żadnej szczególnej rodziny, napiszecie od niego jakieś konwencjonalne „pozdrowienia z za koła polarnego zasyła Mirosław” albo że się cieszy dobrym zdrowiem i tyle. Potem zgłosicie zaginięcie, na morzu najlepiej, kiedy tylko uznacie za stosowne, ale dopiero kiedy ucichnie sprawa Gorzewskiego. Dwa życia podczas pierwszej polskiej całorocznej wyprawy polarnej to nie jest ofiara, jakiej polskie środowiska akademickie nie złożyłyby na ołtarzu nauki, prawda?

Kumor niechętnie skinął głową.

- Ja mam gdzieś sporą płachtę brezentową, igłę do szycia żagli i juzing. Mogę tego skurwysyna bolszewika zaszyć - powiedział Gołąb.

- No i dobrze, niech pan skurwysyna zaszyje - odparł Smith, czując bolesną niestosowność obelżywego słowa rzuconego w dziurawą twarz trupa. Popatrzył jeszcze w zalane krwią oczy zabitego.

Zapłaczą za Malińskim w mazowieckiej wsi, wyrosłej pośród równiny nie przeciętej nawet skrawkiem lasu, z wierzbami przydrożnymi, których każdy konar gościnnie zaprasza potencjalnych wisielców.

Odwrócił się i poszedł w stronę stacji.

## ROZDZIAŁ 14

Nad wodami unosił się samotny wydrzyk, dwa długie pióra w ogonie wyróżniały go ze świata mew, jak czarny „Jolly Roger” pod topem grotmasztu odróżnia piracką fregatę od spieszących po swój profit merchantmen. Wydrzyk wypatrywał słabszych ptaków, które mógłby obrabować z ich znojnie w polowaniu wypracowanej zdobyczy, jednakże nad Isbjørnhamna nie było żadnych mew, toteż wydrzyk powoli zmierzał na zachód, aż w końcu wypatrzył samotnego alczyka prującego powietrze nisko nad ziemią w panicznym poszukiwaniu stada. Pirat spadł na tłustego ptaszka jak myśliwiec. Smith wyobraził sobie potężny dwusilnikowy samolot, messerschmitt bf-110, jak zauważył nad wodami kanału La Manche krępy kadłub brytyjskiego łącznikowego lysandera, przewraca się przez skrzydło i wali się w stronę powolnego samolociku, plując z wszystkich luf.

Wydrzyk nie zabił jednak alczyka w pierwszym ataku, był na to za słaby, nie był przecież rasowym drapieżnikiem. Stracił go tylko na ziemię, przetrącając mu skrzydło, i wyglądało na to, że zamierza przerażonego nibypingwinka wykończyć, zamęczając go na śmierć, bo kiedy alczyk zmykał niezdarnie po tundrze, wydrzyk krążył nad nim, spadając co chwila, podrzucając swoją zdobycz w powietrze, przewracając i dziobiąc dotkliwie. Niczym kot bawiący się z myszą, aż ta zdechnie w końcu z wyczerpania albo ze strachu.

Minął wydrzyka człapiącego za swoją zdobyczą i dalej zmierzał w kierunku stacji. Myślał o Malińskim. Matka nie wybaczyłaby mu

tę, co właśnie zrobił. Chyba żadna kobieta by mu nie wybaczyła, w każdym razie żadna prawdziwa kobieta nie mogłaby tego zrozumieć ani wybaczyć. Tylko jakieś oszalałe fanatyczki, komsomołki na traktorach albo młode nazistki z Bundesmädchen czy młode dziewczyny z AK, zdolne zabić narzeczonego, gdyby komenda dała taki rozkaz, jako jedyne uzasadnienie podając, że wymaga tego racja stanu. Albo różne emancypantki i sufrażystki, których wyschłe łona napełniały je nienawiścią do prawdziwej kobiecości. Tylko takie kobiety byłyby w stanie zrozumieć i wybaczyć to, co właśnie zrobił. Takie jak porucznik Majewska, o której powiedzieli mu później, w więzieniu, że wstąpiła do partii i do UB po tym, jak pobił ją narzeczonego, kiedy się przyznała, że jest w ciąży. Poroniła dzień później, może poroniłaby i bez tych paru ciosów i kopniaków, narzeczonego był zaś skumplowany z jakimiś młodymi licealnymi antykomunistami, więc jak tylko Majewska doszła do siebie, zrobiła to, co wydawało się jej najbardziej logiczne. UB nie narzekało wtedy na nadmiar kadr, a dziewczyna od początku dowiodła swojej absolutnej lojalności, denuncjując narzeczonego i idąc do łóżka z panem majorem. Oddawała urzędowi siebie i nieocenione usługi aż do momentu, gdy zajrzała w wylot lufy pistoletu Smitha.

Dla takich kobiet Maliński mógłby być wrogiem - komunistą, reakcjonistą, faszystą czy kogo tam za wroga uważały. Dla kobiet prawdziwych Maliński pozostawałby tylko młodym chłopakiem i nie mogłyby myśleć o tym, co się wydarzyło, nie stawiając się na miejscu jego matki, żony albo siostry - w zależności od tego, jakie uczucia



wyzwoliliby w nich ten niezbyt inteligentny, pracowity i tępo w swoje przekonania wierzący chłopak. A matka Smitha była właśnie kobietą prawdziwą - światem, który miał dla niej faktyczną wartość, był świat określony granicami jej miłości: świat jej męża, jej syna, domu i przyjaciół. Sprawy, które targały namiętnościami ojca - powstania, autonomia, Korfanty i Grażyński, Niemcy i Polacy - były dla niej o tyle ważne tylko, o ile były sprawami ważnymi dla najdroższej jej osoby, a ojciec był człowiekiem inteligentnym i wiedział, jak ogromną wartość ma prawdziwa kobiecość, dlatego nigdy nie próbował od swojej żony Niemki wymagać jakiegokolwiek zaangażowania w polityczne sprawy. A dla niej to, czy mały „Jaszo”, jak mówiono do niego w domu, będzie Polakiem czy Niemcem, czy czymś pomiędzy, a może naraz jednym i drugim, miało znaczenie, ale tylko takie jak to, czy będzie lekarzem czy może inżynierem.

I dlatego nigdy nie wybaczyłaby mu, że kazał zabić młodego chłopaka, który miał przecież matkę. To, że był komunistą, nie miało żadnego znaczenia, chociaż komunizmu i komunistów nienawidziła bardziej niż czeokolwiek innego na świecie, ponieważ zamordowali jej męża i odebrali syna. Nie potrafiłaby jednak utożsamić tego młodego chłopaka z ludźmi, którzy gdzieś tam na Ukrainie zabili strzałem w potylicę Wojciecha Kowolika, jej męża - na chrzcie dano mu Wilhelm, lecz już w 1912 roku zmienił sobie w urzędzie imię, bo nie chciał być Wilusiem, jak cesarz, chciał mieć imię, jak mówił, „polskie i słowiańskie”.

To, że Mirosław Maliński był komunistą, Katyń uważał za dzieło

faszystowskich oprawców, a gdyby tylko partia mu kazała, bez oporów uznałby ten mord masowy za konieczną samoobronę wątlej ojczyzny światowego proletariatu przed wrogimi zakusami polskich imperialistów - to wcale nie zmieniłoby jej optyki. Maliński byłby dla niej ofiarą polityki, tak samo jak jej mąż, i nie potrafiłaby wybaczyć synowi, że przyłożył do tego ręki.

Tak jak zapewne nie potrafiłaby wybaczyć ojcu, gdyby wiedziała, jakie rozkazy kapitan Kowolik wydawał podczas trzeciego powstania śląskiego. Ojciec nigdy jej o tym nie mówił. Nie dlatego, że była Niemką, tylko właśnie dlatego, że była prawdziwą kobietą, nieodartą z kobiecości przez ideologiczne szaleństwo i niezdolną pojąć prostej prawdy: że czasem trzeba kogoś rozstrzelać albo powiesić, nawet jeśli ma tylko dwadzieścia lat i jest czyimś synem, bratem albo ojcem nawet. Niewinnym synem, bratem lub ojcem.

I on jej tego też nigdy nie powie, tak jak nigdy nie opowie jej o swoich sprawach, kiedy uda się już ściągnąć ją na Zachód. Ani jej, ani Sophie, która jeśli Bóg pozwoli, będzie czekała na niego w dalekim Zurychu.

- Kowolik - powiedział głośno, kiedy myślał o ojcu. Jakby zapomniał, a sam tak się przecież nazywał, Jan Kowolik. Ciepłe i swojskie brzmienie tego nazwiska tak bardzo nie pasowało do jego życia, że już przestał myśleć o sobie jako o Janie Kowoliku. Rodzice mówili do niego „Jaszo”, co wzięło się chyba od sposobu, w jaki zwracał się doń macierzysty oupa. Dla kolegów w szkole był Hanysem, dla nauczycieli Janem, a dla urzędników, kiedy przyszli

Niemcy, został Johannem. W ich pierwszej, młodzieżowo żarliwej i głupiej konspiracji nadali sobie pseudonimy po bohaterach „Trylogii” i Jan Kowolik został wtedy Ketlingiem. UB nie było wyrozumiałe dla młodzieżowych konspiratorów, a głowę ocalił wtedy, ponieważ dzięki pomocy stryja udało mu się uciec z Polski. Od tego czasu miał już dziesiątki różnych nazwisk i imion, w kompaniach był Piotrem Żegotą i jako Piotr Żegota dał się zwerbować - jak by powiedział Maliński - zachodnim imperialistom. Do Polski zrzucili go z kilkoma paszportami, każdy na inne, fałszywe nazwisko, ubekom na przesłuchaniu powiedział, że naprawdę nazywa się Alfons Cipa, urodzony w Nędzy, i nie zmienił zdania nawet po mocnym biciu, aż w końcu któryś z bywalszych funkcjonariuszy przypomniał sobie, że na Górnym Śląsku rzeczywiście jest takie nazwisko, bez żadnych wulgarnych konotacji, oznaczające po prostu kurę - i miejscowość Nędza również jest. Na nazwisko Alfons Cipa wystawiony został wyrok śmierci i jako Alfonsa Cipę Firma wyciągnęła go z więzienia, ale tam znali już jego prawdziwe nazwisko - dostał jednak nową tożsamość wraz z pięknym paszportem poddanego brytyjskiego Johna Williama Smitha. Sam wybrał sobie to imię i nazwisko, John Smith. Chciał się nazywać tak banalnie, jak to było tylko możliwe, a równocześnie nawiązywał do tego, jak nazywał się naprawdę. John Smith pozostał mu jako tak zwana tożsamość główna, uzupełniana na przykład pułkownikiem Janem Dobrawą-Winnickim.

Przed stacją spłoszył szarego lisa, który próbował wygrzebać coś do jedzenia ze śmietnika. Na widok nadchodzącego Kowolika-

Ketlinga-Żegoty-Cipy-Smitha-Dobrawy-Winnickiego uciekł lekkim krokiem, niezbyt pospiesznie, i zatrzymał się pięćdziesiąt metrów dalej, czekając, aż człowiek o tak wielu nazwiskach wejdzie do baraku i pozwoli mu z powrotem szperać w tym luksusowo obfitym miejscu.

Człowiek o wielu nazwiskach, który w myślach, kiedy nie używał zaimka „ja”, określał się jako Smith, wszedł zaś do stacji i poszedł prosto do pokoju Barcza. Glacjolog siedział na krześle zapatrzony w otulony mgłą arktyczny krajobraz za oknem. Zza ściany dobiegał niezbyt głośny, stłumiony warstwami desek klekot dieslowskiego agregatu.

- I co? Zadowolony, żeś go pan wykończył naszymi rękami? - zapytał, nie odwracając głowy.

Smith zastanowił się, czy poznał go po krokach, lecz zauważył swoje odbicie w szybie.

- W czasie wojny - dodał Barcz już łagodniejszym głosem - jak mi się udało w walce kogoś trafić, gratulowałem sobie pewnego oka. Raz dostałem rozkaz zlikwidowania komunistycznego konfidenta, kolega to był zresztą... Zrobiłem to bez wahania, bez mrugnięcia i spałem tamtej nocy spokojnie. I nawet przy Gorzewskim ręka mi nie drgnęła, może dlatego, że był kiedyś moim przyjacielem i poczułem się osobiście zdradzony. Wołał za mną, prosił, błagał, a ja się nawet nie odwróciłem. A Malińskiego zastrzeliłem, żeby ratować życie już nawet nie dla siebie, tylko dla dzieci, dla żony... Przecież mnie potrzebują, a w więzieniu albo martwy w trumnie na nic im się nie przydam. A martwego sowieciarza nigdy mi żal nie było, myśmy w

eneszecie komuchów nigdy nie kochali, nie to, co w AK...

Przerwał na chwilę, a Smith zrozumiał, że Barcz chce mu powiedzieć coś ważnego. Glacjolog odwrócił się razem z krzesłem, spojrzał na „pułkownika” oczami błyszczącymi. Od łez zapewne.

- Ale to co się tutaj odbyło, odkąd pan wszedł do mojego pokoju, cała ta komedia z głosowaniem i jeszcze gorsza zabawa w zabójców Cezara, osiem kul w pistolecie... To było obrzydliwe. I wcale nie dlatego, że to ja pociągnąłem za cyngiel, raczej dlatego, że nie zrobiłem tego wcześniej. I że pozwoliłem, żebyście nadali pozory jakiejś zasranej legalności temu, co było zwierzęcą koniecznością: zabij, jeśli chcesz żyć. Dobrze, żeś pan mu obrońcy nie wyznaczył jeszcze, składu sędziowskiego nie wybrał i prokuratora...

- Musiałem działać szybko, bałem się, że jeśli będą mieli czas na zastanowienie, nie będą potrafili go zabić - przyznał Smith.

- Zabiłem w życiu paru ludzi, panie pułkowniku, takie mamy czasy, ale dziś po raz pierwszy czuję do siebie odrazę.

Smith w pierwszym odruchu chciał protestować, spierać się, udowodniać zasadność tego, co zrobili, już otworzył usta, aby wypowiedzieć jakieś rozpoczynające się od „ależ” zdanie, lecz zrozumiał, co Barcz ma na myśli, rzekł zatem tylko:

- Zgadza się z panem. Takie mamy czasy, niestety.

Barcz odwrócił się z powrotem do okna.

- Lepiej niech pan już idzie - powiedział, nie patrząc na Smitha.

I Smith posłuchał. Kiedy zamykał za sobą drzwi, usłyszał jeszcze głos Barcza:

- Pogoda taka, że pewnie pan nie zauważył, ale dzisiaj po raz pierwszy zaszło słońce.

Szpieg nie odpowiedział nic, poszedł do swego pokoju. Sprawdził w notatkach - rzeczywiście, dzisiaj skończył się dzień polarny i po trzech miesiącach słońce po raz pierwszy schowało się za horyzont. Ale jeszcze przez dobry miesiąc nie zrobi się tak naprawdę ciemno.

Położył się spać. Pod poduszką ukrył pistolet i spał na brzuchu, z prawą dłonią obejmującą zimny metal i w kratkę nacinane drewno rękojeści colta.

## ROZDZIAŁ 15

Nazajutrz rano wszystko się zmieniło, chociaż nie zmieniło się nic. Przy śniadaniu takie same uśmiechy jak zwykle, błaha konwersacja, w której gwoździem programu była nie śmierć Malińskiego, lecz wczorajszy zachód słońca, rozmowy o jedzeniu, utyskiwanie na konserwy i na kucharza, na co pan Stasio odpowiadał po swojemu: „Nie smakuje? No to idź pan do restauracji!” - zanosząc się przy tym swoim charakterystycznym rechotliwym śmiechem.

Nic się nie zmieniło, chociaż Maliński zniknął, jakby go nigdy nie było, Smith zaś zrozumiał, że wcześniej nie był jedynym widzem komedii pod tytułem „Gorzewski, o którym się nie mówi”. Grali również dla siebie, takie przyjmowali decorum, jak obdarzone licznym potomstwem dystyngowane wiktoriańskie małżeństwo, w którym żona nigdy nie wypowiedziała słowa w jakikolwiek sposób nawiązującego do miłości cielesnej. Wiadomo, że musiała się tego uczynku dopuszczać, skoro powiła tyle dzieci - jednakże o tym po prostu się nie mówi.

Równocześnie wszystko się zmieniło, bo teraz Smith był również na scenie, miał być jednym z aktorów grających komedię pod tytułem „Nie mówmy o tych, których zabiliśmy”.

- Co z ciałem Malińskiego? - zapytał i przy stole zapadła głucha cisza, jakby ciotka przy rodzinnym obiedzie zaproponowała dorastającemu bratankowi miłość francuską zamiast deseru.

- Zieliński z Zakrzewskim wzięli... - Kumor zawiesił na chwilę głos, szukając odpowiedniego zaimka, i w końcu się zdecydował: -

Wzięli je na „Morsa” i poszli na zachód, żeby wyjść z Hornsundu, tam je zatopią. Sam dopilnowałem szycia brezentu i obciążenia kamieniami.

Smith z aprobatą pokiwał głową, po czym wepchnął do ust łyżkę pełną jajeczniczy z jajek w proszku. Skoro już przyjęte wcześniej decorum i tak zostało złamane, Kumor postanowił to wykorzystać:

- Do kiedy pan u nas zostanie, panie pułkowniku?

Smith przełknął niesmaczną, przesoloną masę.

- Jakiś czas, profesorze. Musimy jeszcze omówić parę spraw - odparł.

Do końca śniadania panowało milczenie.

Smith zaś zrobił, jak powiedział - został jeszcze na jakiś czas. Szybko zauważył, że zmienił się również sposób, w jaki go traktowano, był w końcu panem pułkownikiem, nie jakimś naukowcem przybłądą, nikt więc nie miał teraz śmiałości przydzielać mu dyżurów w kuchni czy przy agregatach. Przez pierwsze dwa dni narzucał się ze swoją pomocą, ale spotykało się to z takim oporem, że w końcu dał sobie spokój. Miał swoje powody, aby czekać, czekał zatem. Dalej zapraszali go na wszelkie wypadki rozrywkowe, na polowania, przejażdżki i wspinaczki, lecz nie prosili już o pomoc w wyjściach naukowych, jakby noszenie plecaka z próbkami geologicznymi było poniżej jego godności.

Parę dni później poszedł z Kumorem na spacer plażą w stronę lodowca Hansa, wzdłuż szarej moreny. Na tym spacerze w kategorię wyłożył profesorowi zasady kontaktu z Firmą w



ciągu nadchodzącego roku, bo tyle co najmniej miała jeszcze na Spitsbergenie polska wyprawa pozostać. Kumor spodziewał się tej rozmowy i zamierzał odmówić, kiedy jednak „pułkownik” sformułował swoje żądania, zrozumiał, że nie może zaprotestować. Odetchnął z ulgą, gdy Smith absolutnie zabronił wszelkich kontaktów z terenu Polski. Współpraca kończy się z momentem odpłynięcia ze Spitsbergenu. Do przybycia „Bałtyku” z wyprawą letnią raporty będą przekazywać drogą radiową, szyfrem bazującym na książce kluczu, według technicznych warunków określonych przez Smitha. Potem, aż do odjazdu, w miarę możliwości pocztą z Longyearbyen, wypisane atramentem sympatycznym, tym samym szyfrem, pod pozorem jakiejś kurtuazyjnej sprawy na wskazany przez Smitha adres.

Interesowały go wszelkie sprawy związane z próbami bolszewickiej infiltracji stacji lub przejęcia wyników badań, ale i również same badania, szczególnie meteo. Wręczył Kumorowi listę spraw, jakie powinny być w raportach poruszane. Najważniejsze i tak już miał: raporty i maszynkę szyfrującą Gorzewskiego.

Powód, aby opuścić stację, pojawił się po próżniaczych dwóch tygodniach. Barcz wszedł doń do pokoju z marszu, w butach, czapce i z drylingiem na ramieniu, praktycznie bez zapowiedzi, bo zapukał i otworzył drzwi tym samym ruchem ręki. Zignorował nieco zbyt późno wymierzony weń pistolet i powiedział:

- Widziałem kogoś na stokach Arieammen, ze dwa kilometry od stacji. Nie był to nikt z naszych. Teoretycznie mógł to być jakiś traper, ale traperzy nie włączają się bezsensownie latem po górach i nie

uciekają na widok ludzi. Traper, który z jakiegoś powodu włóczyłby się tutaj, na pewno zaszedłby do stacji, żeby zjeść coś i ogrzać się wedle polarnego prawa gościnności.

Smith dawno już schował pistolet, słuchał teraz uważnie. Kiedy usłyszał ostatnie zdanie, podjął decyzję, musiał tylko uściślić dane.

- Łądem przyszedł czy morzem? - zapytał.

- Łądem?... W lecie droga z Ziemi Nordenskiølda zajęłaby mu co najmniej dwa, trzy tygodnie, a co dopiero teraz! Na pewno łodzią. Musiał gdzieś zacumować, wyciągnąć łódź na brzeg między Przylądkiem Wilczka a Kwarcytowym Wybrzeżem. - Barcz myślał głośno podniecony. - Jeśli więc weźmiemy samochód i ruszymy wybrzeżem, mamy szansę go dognać.

Smith już był ubrany, pasek kabury dopinał po drodze. Zderzyli się przy drzwiach kierowcy.

- Ja znam teren! - krzyknął Barcz.

- A ja potrafię prowadzić samochód terenowy. Najlepiej więc, żebym ja prowadził, stosując się do pana wskazówek - odparł spokojnie Smith.

Siadł na twardym fotelu, złożył przednią szybę, radziecki gazik nie miał dachu. Z kabiny wypukła maska zwężała się do obłej chłodnicy, dwa potężne błotniki, na nich reflektory. Smith zwolnił hamulec, wcisnął sprzęgło, wrzucił bieg i pozwolił pojazdowi rozpędzać się powoli na pochyłości, po czym powoli zwolnił sprzęgło, aż silnik zaskoczył, wtedy nacisnął na gaz i wyjechali szybko na brzegowy wał, ciągnący się od stacji aż do ujścia Revelvy. Po tej

wzniesionej siłami natury autostradzie ruski gazik mógł spokojnie pruć i sześćdziesiąt na godzinę, Smith cisnął więc na gaz i zmieniał biegi, rwąc samochodem po zimnym wybrzeżu, a Barcz zapierał się rękami o kokpit i drzwi, między kolanami ściskając karabiny, żeby ich nie zgubili.

- Tu w lewo i koło kamienia przez wodę - wrzasnął Barcz, kiedy dotarli do Revelvy.

Smith zredukował bieg, zjechał z wału, opony wgrzyły się w miękką tundrę, po czym już na pełnej prędkości walili przez rzekę, woda tryskała spod kół wysokimi strugami, a Smith wiedział, że nie może zwolnić, jeśli bowiem zwolni, terenówka ugrzęźnie w błotnistym dnie z podlodowcowych osadów i we dwójkę nigdy jej nie wyciągną. Revelva, jak każda polarna rzeka, rozlewa się w dziesiątkach i setkach strumieni przeplatających się jak w warkoczu. Przejechali pierwszy strumień i samochód wyskoczył w powietrze, po czym z jękiem resorów i trzaskiem karoserii wylądował na łasze żwiru, przemielił ją oponami, wdarł się znowu w strumień.

- Ależ szofer z ciebie! - wrzasnął zachwycony Barcz, przekrzykując ryk silnika żyłowanego na kolejnych biegach.

Szybko jednak Smith musiał zwolnić, bo teren stał się trudny. Za rzeką tundra wyrastała w ciasno upakowanych obok siebie miękkich poduchach wielkości pufa z mieszczącej kamienicy, niektóre były miękkie jak plusz, inne twarde, opona, zdzierając mech i trawy, odsłaniała jądro ze śliskiego litego lodu, toteż musiał uważać, by nie przewrócić samochodu.

- Jest! - krzyknął Barcz.

I rzeczywiście był. Przecinali cięciwą Worcesterpynten i nagle ujrzeli człowieka w szarym swetrze i wełnianej czapce na głowie, nie dalej jak dwieście metrów przed nimi spychającego na wodę małą, pomalowaną na czerwono łódź.

Smith zatrzymał samochód i stwierdził, że nie mogą przecież tak po prostu strzelić do człowieka, który spycha na wodę łódź. Nie wiedzą nawet, kim facet jest. Wskoczyli więc z wozu, chwycili broń i krzyżąc po polsku i angielsku, aby się zatrzymał, aby zaczekał, pobiegli w jego stronę, gotowi paść między poduchy tundry i otworzyć ogień, gdyby tylko sięgnął po broń.

Nie sięgał jednak. Łódź kołysała się już na płytkiej wodzie, mężczyzna w swetrze wskoczył do środka, szarpnął linkę zgrabnej penty, silnik zaskoczył za pierwszym razem i od razu ryknął wysokimi obrotami, kiedy sternik odkręcił mu gaz. Łódeczka przysiadła na rufie, aż dziób wyszedł z wody, i dziarsko ruszyła przed siebie. Facet ryzykował, że rozbije silnik albo nawet kadłub o przybrzeżne skałki i kamienie, ale widać wolał zaryzykować, niż odchodzić na wiosłach, co skończyłoby się spotkaniem z goniącymi go Smithem i Barczem. Smith przystanął więc, zarzucił karabin na ramię i podniósł do oczu potężną marynarską lornetkę, którą zabrał ze stacji.

Odnalazł szybko łódkę i jej sternika - właśnie obejrzał się na kilwater. I wtedy Smith go rozpoznał. To był Kjell, norweski górnik, który podwiózł go pierwszego dnia samochodem. Brat Haakona Sammlinga. Bohater wojenny. Ktoś inny mógłby mieć wątpliwości,

ale Smith nie zapominał twarzy, trenował tę umiejętność przez dobrych parę lat, nie mógł się mylić. To był Kjell Krag, który osobiście strzelał do „Tirpitz”.

Podjechali jeszcze dalej, aż do skrytki Gorzewskiego pod Russepynten, i Barcz stwierdził, że ktoś w niej grzebał, chociaż próbował ją przywrócić do pierwotnego stanu. Zostawili pióro larusa między dwoma charakterystycznymi kamieniami, a teraz znajdowało się w innym miejscu.

Wracając, nie pędzili już przez brudne wody Revelvy i w efekcie zakopali się tak, że błoto sięgnęło po osie, a woda zalała wydech. Sami nie byli w stanie ruszyć samochodu, musieli więc resztę drogi do stacji przebyć piechotą i prosić kolegów o pomoc. Smith milczał, obmyślając, coż wypada mu dalej czynić, skoro zasadniczy cel misji może uznać już za wypełniony. Ciszę przerwał Barcz.

- Wie pan, kiedy ja czułem się wolny? - Nie czekał na odpowiedź, lecz od razu zaczął swój cichy monolog: - Raz w życiu tylko. Nie przed wojną, kiedy trzeba było dbać o studia, o to, żeby się mamusia i tatuś nie pogniewali, o to, co pomyślą koledzy i ciotki, żeby ktoś nie nazwał kłamcą albo złodziejem, żeby honoru nie uraził. Trzeba było myśleć o przyszłości, jak to mówił tato, i nikt, kurwa, nie pomyślał, że przyszłości nie ma, bo przyjdą Niemcy, a potem Ruskie i zabiorą wszelką przyszłość. I trzeba było patrzeć, jak się trzyma widelec, z kim się przesiaduje i czy aby dziewczyna, co się nam podoba, nie ma złej reputacji.

- Oczywiście nie czułem się też wolny po wojnie - ciągnął - w

kompaniach, gdzie byliśmy nocnymi stróżami udającymi wojsko. Daj pan spokój, jaka w tym była rozpacz!... Jak robiliśmy apele, baczość, marsz, sztandary, saluty, czarne mundury, a Amerykańce śmiali się do rozpuku, Murzyni w amerykańskich mundurach się z nas nawet śmiali, że nam się ciągle wydaje, że jesteśmy czymś więcej niż uzbrojonymi na wszelki wypadek portierami. Nam się na początku wydawało, że jak mamy karabin i pistolet w kaburze, to jesteśmy żołnierze, a że u Amerykanów byle ciec na poczcie chodzi z rewolwerem, tośmy dopiero potem zrozumieli. I w koszarach każdy złamany reperował swoje złamanie tak, jak umiał, niektórzy się oczywiście nie dawali, ale inni albo chlali, albo kradli jak szaleni, jakby pięćset guzików do battledressu miało być początkiem jakiejś fortuny. Jeden taki łąził po mieście, brał sobie niemieckie prostytutki i lał je w hotelikowych pokojach, jakby objając pysk niemieckiej kurwie mógł się odegrać za swoje krzywdy, za żonę, co zginęła jeszcze w trzydziestym dziewiątym w bombardowaniu, za syna, co zaginął pod Sowietami, za kacety i za łagry, za Oświęcim i za spaloną Warszawę, i za Bóg jeden wie co jeszcze. Potem prostytutki się poskarżyły jakiemuś alfonsowi i pan Stasio ze Lwowa, co przeżył wrzesień, Sowiety, konspirację, powstanie, uciekł z transportu jeńców i jeszcze przeżył cały szlak bojowy Brygady, taki szczęściarz jak pan Stasio zginął od noża niemieckiego alfonsa. I nie pomógł mu colt w kaburze, a alfons nawet pistoletu nie tknął, wsadził mu majcher między żebra i zniknął. Niby jeszcze wierzyliśmy, że pójdziemy bić komunistów razem z Amerykanami, nawet z Niemcami, ale to trochę

tak, jak się wierzy wbrew rozsądkowi. I głównie dlatego postanowiłem wrócić, żeby się wyrwać z tych czarnych szeregów rozpaczki do normalnych ludzi, choćby pod sowiecką niewolą, ale normalnych, bo żyjących normalnie, nie z dnia na dzień.

- Jak wróciłem do Warszawy, niewola była taka sama. Do nikogo gęby nie otworzysz, co drugi kolega może kapować, więc każdy zaszywał się w swoich czterech kątach i tyle... I wiesz pan, kiedy ja się naprawdę czułem wolny? W tych najniebezpieczniejszych chwilach tylko. W sumie to nie było nawet tak długo, kiedy przez Polskę toczył się sowiecki front, a myśmy szli, cała Brygada, między Niemcami a Sowietami, gotowi bić się z każdym, kto nam podskoczy. Nie baliśmy się klęski, bo nic nie mieliśmy do stracenia, a Niemcy, co srali ze strachu przed Sowietem na mostach i drogach, jak wychodziliśmy do nich ze śmiercią w oczach, bali się jeszcze bardziej i puszczaali nas bez wystrzału. Jeszcze nam salutowali, wystaw pan sobie! Idziemy obdarci jak dziadowski tabor, z bronią każdy inną, ale uzbrojeni po zęby, to fakt, szturmogewera miałem i dziesięć pełnych magazynków, i jeszcze litewskiego browninga trzynastostrzałowego w kaburze, pan sobie wystaw, jaka to siła ognia!... W powstaniu idioci by ze mnie zrobili pewnie jednoosobowy batalion szturmowy, skorom miał dwie lufy i ponad trzysta naboju... No więc idziemy, a ci Niemcy, oficerowie i żołnierze w czołgach i samochodach, salutują nam, bo się już boją każdej walki.

- Jak szedłem na patrol, wiedziałem, że tak naprawdę kogokolwiek spotkam, Niemca, bolszewika, Czecha takiego czy

innego, Amerykanina czy Bóg wie kogo jeszcze, być może z każdym będę musiał walczyć. Jeśli spróbuje mnie rozbroić albo zatrzymać, ja go zabiję albo sam zdechnę, próbując. Nie było wrogów ani przyjaciół, tylko my i cały świat przed wylotem lufy.

- Ja wtedy, proszę pana, byłem naprawdę wolny. Mogłem każdego dnia umrzeć i zabić każdego bez zmrużenia oka, i niczego nie było mi żal, ani Polski, ani życia młodego, ani kobiet, ani tego, co wydawało mi się już tak odległe i egzotyczne, jakby się nigdy nie wydarzyło: mieszczańskiej przedwojenności, jeśli pan rozumie, co mam na myśli... Dlatego tak łatwo pociągnąłem za spust, rozumie pan? Dlatego nie mogłem znieść tego rajcowania, sądzenia, całej tej komedii, dlatego wziąłem od pana pistolet i strzeliłem mu w łeb.

Barcz zamilkł tak samo raptownie, jak zaczął mówić. Szli kilka minut w milczeniu, w końcu Smith powiedział po prostu:

- Ja pana rozumiem doskonale, panie Barcz. Kiedyś, nie tak dawno temu, z siedem lat będzie, jeszcze Stalin żył... Szedłem wtedy lasem z ręką w kieszeni na kolbie walthera, miałem misję i każdy, kto by się przede mną pojawił, mógł być wrogiem. I wtedy byłem wolny. Byłem też wolny później, w więzieniu, jak już mi dali czapę i siedziałem w celi pewien, że za dzień lub za miesiąc zakneblują, zabiorą do piwnicy i palną w łeb... Tak, byłem wolny. Wie pan, wtedy przestałem nawet myśleć o matce, którą przedtem i potem bardzo kochałem i kocham, ale wtedy, jako trup, nie mogłem już kochać nawet jej. Siedziałem, proszę pana, na pryczy, nikt mnie nie bił, nikt niczego ode mnie nie chciał, patrzyłem na skrawek nieba widoczny



przez wysokie okno, na chmury, cieszyłem się jak dziecko, kiedy na oknie usiadł ptak. Przychodził ksiądz, a ja mówiłem mu, że Boga niet i nie budiet, i ksiądz uciekał przerażony. Bóg mnie wtedy nie interesował, mówiłem sobie po prostu: nic. Nic. Nic. I śmiałem się do tego nic, proszę pana.

- Jak się pan dostał... To znaczy, jak się panu udało... - zaczął Barcz, lecz urwał, bo Smith pomachał ręką przecząco, zrozumiał więc, że to sprawy, o które nie powinien pytać.

Dalej szli już w milczeniu, ustalili tylko, że nie powiedzą reszcie, po co jechali gazikiem aż za Revelwę, zamiast tego skłamią, że chcieli zapolować na foki, ale nie znaleźli żadnych, a wracając, zakopali się w rzece.

Kiedy polarnicy wstali rano, kłamstwo nikomu nie wydawało się nieprawdopodobne. Poszli w sześciu z linami, wielokrażkiem i deskami, mordowali się godzinę i w sześciu, zmęczeni, ścisnęli się w wyciągniętym z bagna samochodzie. Wrócili do bazy, ustrzeliwszy po drodze dwa edredony na obiad.

Jeszcze tego samego wieczora Smith oświadczył, że nazajutrz rano wyjeżdża. Spakował swoje rzeczy i poszedł spać, tym razem jednak na wszelki wypadek spał bardzo czujnie, nie wypuszczając kolby z dłoni.

Rano pomogli mu zepchnąć załadowaną łódź na wodę i na wiosłach odchodził od brzegu, siedząc plecami do dziobu, tylko zerkając co jakiś czas przez ramię, sprawdzając kurs. Patrzył więc na nich. Pożegnali się sucho, oficjalnie, nie ściskali sobie nawet rąk.

Tylko Barcz w ostatniej chwili, stojąc już w wodzie, wyciągnął do niego rękę i Smith jego dłoń uściśnął. A teraz patrzył na nich: stali na kamienistej plaży, cała ósemka, między kadłubami łodzi tak niezgrabnych na lądzie jak wysztrandowane wieloryby, przeważonych na jedną burtę lub drugą, zadzierających głupio dzioby ku niebu lub ryjących nimi w ziemi. Stali w pulowerach, kurtkach i anorakach, w gumiakach i butach do wspinaczki, w czapkach i kapturach na głowach, Kumor patrzący za Smithem z wyraźną ulgą, Gołąb obojętny, jakby nic się nie wydarzyło, Juszcak, Zakrzewski i Zieliński zdezorientowani, przestraszeni perspektywą powrotu do kraju i rozmiarami własnego zwycięstwa nad Malińskim, którego nie cierpieli, ale przecież nie aż tak... Smołdziński, z którego twarzy wyzierał autentyczny strach, że może być następny, przecież należał do partii. I Barcz. Wszyscy połączeni jedną winą lub nie-winą za dwie śmierci, za morderstwa lub wykonane wyroki, i sam widział, że nie umieją tego rozsądzić. Może nawet przestali już próbować. W końcu Arktyka to surowa kraina. Tyłu już zabiła, zabije jeszcze wielu, lodem, zimnem, wodą, kłami niedźwiedzia, głodem, szczeliną lodowca czy wreszcie kulą wroga, ale to ona, [Arktyka](#), nie oni.

Patrzył więc na nich, jak stali tam, na brzegu, taka mała Polska pod biegunem, ale Polska na opak. W zgwałconej aroganckimi granicami Polsce od Bałtyku po Tatry tacy jak Maliński od dwunastu lat mają pod paznokciami resztki krwi tych, na których donieśli tacy jak Gorzewski, złamani, zaprzędani albo po prostu źli. Spod tych paznokci resztek krwi nie wymyśl Październik, nie tak łatwo da się

wydrapać krew tych wszystkich zamęczonych w więzieniach resortu, rozwalonych po lasach, zastrzelonych w Poznaniu, a jeszcze trudniej usunąć spod paznokci kleiste resztki zdrady, gorszej i wstrętniejszej niż krew - resztki tych zdradzonych przez przyjaciół z oddziału, przez kochanki i żony, przez życzliwych kiedyś chłopów. I tych wszystkich, którzy przez całą okupację nosili w partyzanckim albo konspiracyjnym plecaku jeśli nie marszałkowską buławę, to przynajmniej sędziowską togę, pułkownikowskie szlify, teczkę dyrektora, wszystko to, o czym śnili, śniąc o wolnej Polsce, swoim w niej miejscu - i nie zamierzali się tego wyrzec tylko dlatego, że Sowieci przyszli przed Amerykanami, więc szli do nowych włodarzy i prześcigali się w lojalności i gorliwości, aby nikt nie uznał ich za gorszych od tych, co z Sowiecami byli od początku - i aby w końcu z plecaków wyciągnąć te sędziowskie togi i dyrektorskie tecki.

Czy tak się pocieszali, czy tak uspokajali sumienie? Czy myśleli o tym kawałku surowej svalbardzkiej ziemi, o tundrze, morenach, lodowcach i skałach jako o skrawku jakiejś Polski, takiej, w której chociaż trochę stało się zadość sprawiedliwości?

Czy raczej myśleli o tym, jak niewiele lat miał Maliński, i czy będą mogli spojrzeć w oczy starej matce Gorzewskiego?

Smith zaś w końcu wyciągnął wiosła z dulek, linką szarpnął trzy razy, aż uruchomił silnik, i poszedł, lawirując między krą idącą od lodowców Hansa i Horna. Stalową rurkę rumpla trzymał pod pachą, siedział na ławeczce, nogami zapierając się o wręgi kadłuba, bo łódź mocno pracowała na fali. Kiedy wyszedł z Hornsundu, nagle zrobiło

się pogodnie, siwa mgła i stalowe chmury gdzieś zniknęły i nad ziemią i morzem niebo rozpalilo się polarnym błękitem. Bialo-szary fulmar sunal nisko nad falami, lekko wyprzedzajac lodz. Zrobilo sie naraz cieplo, Smith zdjal parke i zostal w samej koszuli i pulowerze. Chwile powalczyl z paczka i zapalniczka, odpalenie papierosa jedna reką na mocnej fali nie bylo wcale proste, ale w koncu sobranie rozzarzyl sie ladnie i Smith zaciagnal sie glęboko dymem.

Fuck you all. Niech was wszystkich jasna cholera.

Postanowil, ze komus o tym opowie. Moze Mackiewiczowi, jezli bedzie mu dane znów go spotkac. Opowie o tych osmiu polskich naukowcach, ktorzy stali na kamienistej plazy Zatoki Bialego Niedzwiedzia tak bardzo wstrzasnieni tym, co zrobili. A taki profesor Kumor, kiedy lecial swoim halifaxem albo lancasterem nad Hamburg, Drezno, Berlin czy gdzie tam latał zrzucac bomby, czy byl wstrzasniety, kiedy przylepil oko do celownika bombowego i zrzucal ladunek fosforu w plonace pieklo? Czy ktos tam na dole, jakis Niemiec czy Niemra, bardziej zasluzyli na smierc niz Maliński czy Gorzewski?

A przeciez spośród nich nie tylko Kumor i Barcz znali wojne.

Fala nie zmniejszala sie, ale niebo bylo ciagle niebieskie, postanowil wiec nie zatrzymywac sie na postoj, tylko ciagnac wzdluz wybrzeza, aby maksymalnie wykorzystac dobra pogode.

I pogoda sie nie psula, slonce zachodzilo, rozczzerwieniajac niebo, lecz zmierzch nie zamienial sie w zmrok i bylo tak jasno, ze mozna by swobodnie czytac, a co dopiero prowadzic lodz. I moglyby

tak płynąć dalej, pewnie aż do samego Longyearbyen, jednakże po trzydziestu sześciu godzinach był już tak śpiący, że obawiał się, iż zaśnie przy sterze, wysztrandował się więc na czarnym bazaltowym piasku plaży nadmorskiej równiny Nordenskiöldkysten. Pogoda była piękna, toteż nie rozbijał namiotu, położył się tylko w śpiworze i zasnął od razu. Spał długo, kilkanaście godzin, obudziła go mżawka. Dopiero zaczęło padać, śpiwór jeszcze nie przemókł, mógł zatem włożyć ciągle suche ubranie, przekąsić szybko konserwę na zimno i ruszać w dalszą drogę. Kiedy minął wystający z morza ogromny głaz na Festningsodden, przy wejściu do Grønfjorden, miał przed sobą kilka kilometrów otwartych wód do pokonania, odłożył więc kurs na południowy wschód, aby podpłynąć nieco bliżej Barentsburga, drugiej radzieckiej osady.

Bure murowane budynki wyrastały na stromym zboczu schodzącym prosto w wody fiordu Grøn. Niektóre obite deskami, inne pomalowane na jaskrawe kolory, w porcie wielki żuraw i opasłe kadłuby masowców, nieruchome i rdzawe. Pomiedzy domami popiersie Lenina, niewielkie, na potężnym postumencie, ledwie widoczne przez lornetkę. A przy porcie długie taśmociągi czarne od węglowego pyłu. I nieliczni ludzie w watowanych kufajkach. Ktoś pokazał go palcem i po chwili, kiedy z silnikiem na niskich obrotach powoli przesuwiał się wzdłuż nabrzeży Barentsburga, śledziło go już kilkanaście par oczu. Nie machali, nie wykonywali żadnych przyjaznych gestów, ale też nie próbowali go odpędzić, po prostu patrzyli, jak płynie. Pomyślał sobie, że dlaczego w zasadzie nie

miałby trochę pofotografować? Rosjanie mu tego nie mogą zabronić, wyciągnął więc z plecaka leicę, wyłączył silnik i dryfując na falach, zrobił zdjęcia domom, statkom, ze szczególnym uwzględnieniem nazw i portów macierzystych, obfotografował szczegóły kopalnianej infrastruktury, po czym schował aparat, uruchomił silnik i poszedł, nie ociągając się już, ku celowi swojej podróży.

## ROZDZIAŁ 16

Do Longyearbyen dopłynął nocą, ciągle jaśniejszą niż niejeden pochmurny dzień w Londynie, z niebem płonącym czerwienią nad górami. Civil twilight. Zacumował łódkę tam, skąd ją wziął, i poszedł do siebie. Miasteczko albo spało po barakach, albo fedrowało w niskich sztolniach kopalń, w drodze z portu do swojego mieszkania nie spotkał żywej duszy. Wchodząc do pokoju, sprawdził, czy podczas jego nieobecności ktoś w nim nie urzędował, lecz nic podejrzanego nie zauważył. Wziął prysznic, twarde od morskiej soli ubrania rzucił w ką, zapalił jeszcze papierosa, zanotował parę uwag o podróży w dzienniku i poszedł spać.

Rano nic nie jadł, kawą splukał z ust gorzki posmak tytoniu, odział się w czyste spodnie, koszulę i pulower, po czym poszedł prosto do gubernatora.

Po drodze zamyślony omal nie wpadł pod gąsienice potężnego ciągnika prowadzonego przez rośłego Norwega, który zakrzyknął do Smitha coś po norwesku, dziarsko i radośnie - dzięki okrzykowi Smith zorientował się na czas i uskoczył z drogi pojazdu. Gąsienicowy traktor wlokł przyczepę, która również zamiast kół miała gąsienice.

W biurze piękna sekretarka przywitała go uprzejmie po angielsku zaraz po tym, jak wychyliwszy się zza swojego biurka stwierdziła, że Smith, jak należało, zjął buty. Gubernator co prawda jest zajęty, ale uprzedzał, że dla pana Smitha zawsze znajdzie czas. Paplała ze szczebiotliwą uprzejmością, jaką wszystkie sekretarki świata mają dla gości cieszących się szczególnymi względami u

pracodawcy, którego sekretarka strzeże.

Chwilę później Egil Tønnesen ścisnął prawicę Smitha w obu swoich dłoniach i potrząsał nią energicznie, w swojej twardej angielszczyźnie rozpluwając się nad tym, jak bardzo jest szczęśliwy, mogąc znów Smitha oglądać.

Smith usiadł i upił łyk lurowatej kawy, którą w cienkiej porcelanie podała nordycka piękność. Nie oparł się pokusie zaczepienia wzroku na tyłku dziewczyny, kiedy wychodziła z biura, gubernator zauważył to spojrzenie i uśmiechnął się pod nosem. Był to uśmiech specjalnego rodzaju, tak uśmiecha się pewny siebie mężczyzna, kiedy inni zawistnie spoglądają na posągowe kształty jego kobiety. Smith ten uśmiech zauważył i nie bez żalu stwierdził, że gubernator bez wątpienia sypia ze swoją asystentką, bo z kim innym miałyby tutaj taka dziewczyna sypiać? Żadna porządna świętoszka nie wyjeżdża sekretarkować młodemu urzędnikowi tysiąc kilometrów od rodziny. Ogarnęła go zazdrość, lecz taka delikatna, jaką Smith odczuwał względem wszystkich kobiet, które spotykały się z kimś innym niż on - uczucie tak absurdalne, że nic z niego nie wynikało. Patrzył na krągłe biodra Norweżki i uświadomił sobie, że przecież kocha swoją Sophie, swoją małą ciemną Francuzeczkę, i za nic w świecie nie miałby jej ochoty zdradzić z jakąś samicą wikinga za kołem polarnym. A że się za nią oglądał... Na Boga, w Zurychu miał w garażu piękną alfa romeo giulietta spider, jasnoniebieską z białym dachem, otwieranym. Prawie wcale nią nie jeździł, ponieważ nie miał kiedy. Czasem tylko zabierał Sophie na wycieczki do Mediolanu albo



do Genui. I mimo to patrzył ciekawym okiem, nawet nie pożądlwym, na inne rasowe samochody. I tak samo czasem patrzył, ciekawie, na kobiety.

Sekretarka zamknęła za sobą drzwi, a Smith wrócił myślami do swoich spraw. Wydawało mu się, że im lakoniczniej wyrazi to, co ma do powiedzenia, tym mniej pytań będzie mógł mu sysselemann zadać.

- Sir, na podstawie starannej obserwacji i nieformalnych przesłuchań jestem przekonany, że żaden z polskich polarników nie miał nic wspólnego ze śmiercią Gorzewskiego.

Gubernator patrzył na niego spojrzeniem nieprzeniknionym - Smith spodziewał się, że Tönnesen może być zawiedziony, ale twarz sysselemanna nie wyrażała nic.

- Nie mam na to żadnych bezpośrednich dowodów - kontynuował Smith - ale sam pan wie doskonale, że dowodzi się raczej winy, nie niewinności. Każdy z polskich polarników ma mocne alibi.

- Rozumiem - odparł Tönnesen. - Ufam panu całkowicie, panie Smith.

Szpieg uśmiechnął się i zachęcony osobistym tonem gubernatora, powiedział:

- To akurat już znaczenia szczególnego nie ma, bo to wyłącznie moje prywatne impresje, ale, proszę mi wierzyć, sir, oni wszyscy robią wrażenie ludzi absolutnie szlachetnych, zaangażowanych w swoją pracę. Mimo że Polska jest krajem komunistycznym, naukowcy z bazy w Hornsundzie w żadnym stopniu nie są przesiąknięci

komunistyczną ideologią, Gorzewski, podobnie jak kilku innych, był przez komunistów prześladowany.

Sysselmann słuchał z zainteresowaniem, więc Smith pozwolił sobie nawet na porównanie, że polscy polarnicy bez wątplenia podzielają raczej system wartości norweskiego króla Haakona (zachowaj go, Boże, w zdrowiu) niż polskiego genseka Gomułki.

- Paru z tych polarników - kontynuował - walczyło u boku brytyjskich i norweskich żołnierzy w czasie wojny, a konkretnie w Anglii.

I mówił dalej, podając gubernatorowi kilka bezsensownych charakterystyk moralnych, jakby z „walki u boku” i „podzielania systemu wartości” miało cokolwiek wynikać.

Ale Egil Tønnesen ochoczo uległ sile sugestii Smitha. W końcu perswazja nie zasadza się na argumentach, nie zasadza się nawet na tym, co mówimy, a raczej na tym, jak mówimy. Ile przekonania potrafimy sami włożyć w słowa, które wychodzą z naszych ust. Od tonu głosu, od uśmiechu, od spojrzenia, od tego, czy słuchający jest nam coś winien, czy nas lubi, czy chce nam wierzyć. Czy kobiety nie wierzą swoim kochankom głównie dlatego, że chcą im wierzyć? Wiara w kłamstwa czasem jest po prostu łatwiejsza od prawdy.

Pospieszył więc sysselmann Svalbardu z radosnym zapewnieniem:

- Jestem nadzwyczajnie szczęśliwy, że tak się ta cała sprawa zakończyła, panie Smith.

I był rzeczywiście szczęśliwy. Stosunki norweskich władz z

Polakami z Hornsundu układały się bardzo dobrze. Kiedy rok wcześniej, w pięćdziesiątym szóstym, był tu na wyprawie rekonesansowej Stanisław Siedlecki, spotkał się z przyjęciem entuzjastycznym, jako że cieszy się poważaniem i przyjaźnią wielu znanych w polarnicznych środowiskach Norwegów, którzy doceniali jego przedwojenne jeszcze wyczyny polarnicze, jak trawers całego Spitsbergenu Zachodniego czy zimowanie na Wyspie Niedźwiedziej. Wszystkie drzwi i serca otwierała szczególnie przyjaźń Fritza Öyena, który jako porucznik radiotelegrafista Jego Królewskiej Mości wspólnie z towarzyszami obronił przed Niemcami zagubioną na środku Atlantyku wyspę Jan Mayen. Ten długi na kilkanaście kilometrów kawał porośniętej wątłą tundrą skały nie miał oczywiście innego znaczenia poza możliwością utrzymywania tamże stacji meteorologicznych, ważnych dla prowadzenia wojny lotniczej w Europie tak samo jak stacje na Svalbardzie, Grenlandii i Ziemi Franciszka Józefa, gdzie toczyła się ta najmniejsza bitwa drugiej wojny. Ganiały za sobą tutaj uzbrojone armie meteorologów i radiotechników liczące po pięciu, ośmiu a nawet dziesięciu ludzi. I czasem nawet ktoś ginął. Ale nawet od prognoz pogody z Jana Mayena ważniejsze było to, że był to skrawek terytorium Norwegii, który nie wpadł w łapy Niemcom. I to Fritz Öyen go dla Norwegii utrzymał. A Stanisława Siedleckiego Öyen darzył szacunkiem i przyjaźnią i to uczucie natychmiast przeszło na resztę norweskich ludzi Północy. Kiedy wewnętrzne gierki polityczne w PAN-ie wykluczyły Siedleckiego, zastępując go profesorem Kumorem,

entuzjazm Norwegów odrobinę osłabł, lecz bez wątpienia nie zniknął, zwłaszcza że Siedlecki z właściwą mu szlachetnością - tak stało w raporcie, który Smith czytał: „z właściwą mu szlachetnością” - napisał serię listów, w których prosił o obdarzanie profesora Kumora taką samą przyjaźnią, jak obdarzali jego. Öyena przekonywał do Kumora osobiście, podlewając te przekonywanie sporą ilością wódki. Dla dobra nauki polskiej, jak mówił w prywatnych rozmowach, mimo że Kumor był facetem, który w pewnym sensie Siedleckiego z wyprawy wygryzł.

I tak się przyzwyczaili polarni Norwegowie Polaków lubić. Smith był pewien, że głównie dlatego, iż rzadko widywali Polaków nie posiadających stopnia doktora przynajmniej. Gdyby tylko poznali polskie chłopstwo, tych gruborękich chamów w mundurach oficerów resortu, którym mundur, oficerki i pistolet w kaburze wydawały się czymś niewiele ustępującym cesarskiej koronacji!... Napatrzył się na nich Smith. W śląskim UB jeszcze parę lat temu rzadko awansowali wyżej porucznika, bo teren był zbyt trudny, aby powierzać go tym ledwo piśmiennym, od pługą oderwanym półdidiotom, więc wydawaniem rozkazów zajmowali się Żydzi ściągani na Śląsk pospiesznie z całej Polski. Również nie błyszczeli intelektem, szczególnie na tle całej rasy, ale przynajmniej radzili sobie z wypełnianiem dokumentów i prowadzeniem archiwów. Brudną robotę wykonywali zaś razem.

Takich Polaków Norwegowie raczej by nie polubili, a Smith nie umiał się zdecydować, którzy Polacy są bardziej Polakami.

W każdym razie Tønnesen przyjął opinię Smitha z radością. Następnie poprosił o utrzymanie całej sprawy w ścisłej tajemnicy.

- Nie powinno się rozpowiadać górnikom o trupach wśród Polaków - mówił. - Tutaj wiem o tym tylko ja, lekarz i załoga „Nordsyssela”. Pan, panie Smith, nie powinien również wspominać, że był pan u Polaków. Niepotrzebne im tutaj sensacje, prawda?

- Oczywiście, gubernatorze. Niepotrzebne - zgodził się Smith natychmiast.

Porozmawiali chwilę o niedogodnościach podróży, pożegnali się wylewnie, Smith na odchodnym zapytał, czy mógłby jeszcze parę razy skorzystać z łodzi, którą płynął do Hornsundu, gubernator oczywiście zgodził się natychmiast, jak najbardziej.

Smith zaszedł więc do kantyny, kupił flaszkę koniaku i karton lucky strike'ów, wpadł na chwilę do baraku, spakował najpotrzebniejsze rzeczy do plecaka, do kieszeni spodni wsunął tekturową kostkę podsłuchu, włożył sztywną od morskiej soli kurtkę i ruszył na przystań.

Z bosmanatu wziął bańkę benzyny, posługując się tym samym papierem z gubernatorskim podpisem, na który raz już pobrał paliwo, kiedy płynął do Hornsundu. Zatankował, szarpnął linkę, zapalił silnik, a potem papierosa i wyszedł na wody fiordu Advent. Opłynął po raz któryś już z kolei Vestpynten, minął rozłożyste wrota do Bjørndalen, po czym płynął wzdłuż wyniosłych klifów Fuglefjella, ciemnozielonych od trawy rosnącej na kwaśnym, ptasim guanie. Na wysokości Little Bjørndalen mało nie wpadł do wody, gdy zatrzymał

się, puściwszy silnik na luz, i zaczął sikać z rufy, a wtedy z wody, może metr od miejsca, w które padała struga moczu, wyłonił się nagle biały uśmiechnięty delfini pysk i zaćwierkał. Smith poczuł się nieco zażenowany i zaczął pospiesznie zapinać spodnie, w wyniku czego potknął się i wytrącił chwiejącą się na falach łódkę z wątej równowagi. Uratował sytuację w ostatniej chwili, ale i tak lewą burtą wziął do środka trochę morskiej wody, którą następnie przez kwadrans wylewał czerpakiem. Ptaków było mniej, zauważył, że powietrza nie przecinają już hałaśliwe stada alczyków: widocznie odleciały na południe. W końcu zobaczył murowane i drewniane domki Grumantbyen i dumny znak osady: szkielety sierpa i młota zespawane z rur i pomalowane na jaskrawoczerwony kolor. Przed wejściem do tunelu dymiła obficie mała lokomotywka, do której postacie w szarych kufajkach doczepiały kolejne wagoniki kopiasto załadowane węglem.

Szukał miejsca, gdzie mógłby wyskoczyć z łodzi już na plażę, aby nie zamoczyć butów i spodni, ale nie znalazł. Perspektywa spędzenia następnych paru godzin w przemoczonym ubraniu i obuwiu wcale mu się nie podobała, w końcu więc zatoczył kółko i zdjął spodnie i buty, nie przejmując się spojrzeniami Ruska, który stanął tymczasem na plaży z rękami wbitymi w kieszenie tleogrieki i gapił się na Smitha. Podpłynął znowu, wskoczył do morza, które przewierciło mu golenie i stopy lodowatymi kolcami bólu, wyszarpał łódź tak daleko, jak się dało, lecz darował sobie pełne sztrandowanie, skoro Rosjanin na plaży wcale nie kwapił się, aby mu pomóc. Ubrał

się na powrót, wziął plecak z prezentami i karabin i poszedł w górę, do mieszkania Aleksiejewa, ignorując Ruska, który dalej gapił się bezczelnie.

Zapukał do izby swojego rosyjskiego przyjaciela, otworzyła mu kobieta. Zapytał o Fiodora Wasiliewicza, a kobiecina zaprosiła Smitha do izby, usadowiła go i powiedziała, jakby trochę z ukraińska, że już po Fiodora Wasiliewicza idzie.

I rzeczywiście poszła, Smith zaś nie mógł uwierzyć, że poszło mu tak łatwo. Wyciągnął z kieszeni tekturowe pudełko z mikrofonem, zdarł z jednego boku ochronną folię i przykleił pudełeczko do tylnej ścianki szafy opartej o mur, po czym usiadł na zydlu przy stole i czekał na swojego rosyjskiego przyjaciela - bo tak właśnie nazwał go, kiedy Aleksiejew w końcu przyszedł po kwadransie i przywitali się wylewnie, biorąc się w ramiona.

Był oczywiście pewien, że Fiodor Wasiliewicz nie jest tutaj byle kim, skoro bez żadnych obaw i środków ostrożności nadzwyczaj szczerze rozmawia z inostrąncem z kapitalistycznego kraju. Był również przekonany, że Aleksiejew prowadzi z nim jakąś grę, której elementem musiała być opowiadka o osadzie Pomorców na Edgeøya - jednakże głównym powodem, dla którego postanowił go przez jakiś czas pasywnie podsłuchiwać, było to, że Fiodor Wasiliewicz wydał się Smithowi materiałem na nadzwyczaj atrakcyjnego informatora. Informatora, donosiciela, kapusia, judasza, zdrajcę - tak na współpracowników tajnych służb mówiło się w Polsce. W firmie używano neutralnego określenia „information source” albo po prostu

„source”. As our sources claim... I tak dalej. Będzie Fiodor Wasiliewicz jednak trudny do zwerbowania, Smith zamierzał go po prostu kupić, tyle że aby kogoś kupić, trzeba znać akceptowaną walutę. Jedni przyjmują tylko dolary, inni za propozycję pieniędzy gotowi unieść się honorem, z przyjemnością natomiast przyjmują przyjacielski prezent. Jeszcze inni akceptują tylko płatność w naturze. Kobiecej lub chłopięcej. I tak dalej - Smith miał nadzieję, że jeśli trochę Aleksiejewa posłucha, to może tę walutę pozna i z Bożą pomocą zdoła go zwerbować. A zwerbowany Aleksiejew w połączeniu z perfekcyjnie wypełnionym głównym celem misji to gratulacje od Rabbiego, uścisk dłoni, flaszka koniaku. Oraz odpowiednio więcej pieniędzy na koncie. A więcej pieniędzy na koncie to kupiony w końcu dom w Zurychu, do którego będzie mógł ściągnąć matkę i Sophie, jeśli zechce z nim zamieszkać jako jego żona.

Posiedział więc teraz z Fiodorem Wasiliewiczem, wręczył mu prezent i z radością przyjął zaimprovizowany podarunek, którym Rosjanin się odwdzieczył: piękną puszystą skórką niebieskiego lisa. Wartą tyle co - tak na oko - dziesięć koniaków. Smith opierał się trochę, po czym przyjął w końcu, myśląc o etoli dla Sophie.

Pogwarzyli sobie godzinkę o pogodzie, o polowaniu na lisy i o łowieniu palii alpejskich, wypili bimbru pół flaszki, po czym Rosjanin ze smutkiem oświadczył, iż przeprasza, ale obowiązki wzywają - i zaprosił znowu, w każdym dogodnym terminie, aby zacieśniać więzy między narodami i wypić za pokój.



Pożegnali się i Smith odpłynął w swoją stronę. Nie przybił jednak do przyjaznej kei w Port of Longyear, tylko znów wysztrandował się na plaży w niepozornej Little Bjørndalen. Wziął plecak, karabin i ruszył w górę doliny. Wspinaczka nie była łatwa, bo skały zwietrzałe szpetnie osypywały się pod nogami i czasem zjeżdżał w dół nawet parę metrów razem z warstwą kamieni i wyrosłych na ptasim guanie mchów i trawy. Miał do pokonania wzniesienie przekraczające pół kilometra, kiedy więc w końcu znalazł się na płaskim wierzchołku Fuglefjella, usiadł na kwadrans i odpoczywał, przez parę minut oddychając ciężko. Gdy tylko odsapnął, nie chcąc marnować czasu ruszył z powrotem w stronę Grumantbyen. Kierował się w to samo miejsce, z którego fotografował rosyjską osadę pierwszego dnia. To było dobre miejsce.

Dotarł tam po godzinie z okładem, nie spieszył się. Z plecaka wydobył zeltbahnę, rozłożył na ziemi, wyjął jeszcze aparat fotograficzny, obiektyw, radio w obudowie z detefonu i słuchawki, zrzucił karabin z pleców i położył się na nieprzemakalnej tkaninie peleryny, po czym przykrył się drugą częścią. Kamuflaż w brązowo-zielone plamy wydawał mu się idealny. Uruchomił odbiornik, nałożył słuchawki i długo dostrajał urządzenie, aż w końcu przez szумы i trzaski usłyszał głos Aleksiejewa rozmawiającego z kobietą o kolacji. Do leiki założył nowy film i długoogniskowy obiektyw, sfotografował te same miejsca, które fotografował wcześniej, i zostawiwszy aparat w pogotowiu, leżał, ziębnąc i słuchając tego, co się dzieje w izbie Fiodora Wasiliewicza.

A nie działo się nic. Aleksiejew wchodził i wychodził, zamienił czasem parę słów z kobietą, która ciężko wzdychała, krzątając się po izbie. Przyszedł ktoś i surżykiem - mieszaniną rosyjskiego i ukraińskiego - zapytał o to, czy można jakiemuś Iwanowi Mohyle dać pozwolenie na wyjście do Barentsburga do dentysty, bo go ząb boli. Aleksiejew się zgodził. Można.

I nic. Potem mlaskanie przy posiłku, szczęk sztucców. Potem chrapanie. I nic więcej.

Leżał tak osiem godzin, dwa razy wymieniając baterie w odbiorniku, aż Grumantbyen zasnęło, a on zjadł wszystkie kanapki, wypił resztkę kawy z termosu i przemarzył do szpiku kości. Leżąc na klifie nad doliną Grumant miał piękny widok na miejsce, w którym Isfjorden wychodził na Morze Grenlandzkie. Trochę na prawo zaś, nad górami i nad schodzącymi prosto do morza jezorami lodowców, których czoła z tej odległości widział jako wąską ciemną kreskę, nad Protektorfjellet i nad zatokami tonęło czerwone słońce. A jeszcze dalej niebo rozpalało się już powoli tam, gdzie słońce będzie po godzinie wschodzić. W końcu więc wstał, schował wszystkie rzeczy do plecaka, zwinął zeltbahnę, wrócił do łodzi i po spokojnym już Lodowym Fiordzie popłynął do Longyearbyen.

Nie martwił się, że nie usłyszał nic cennego. Żałował tylko, że nie ma magnetofonu, który mógłby ukryć razem z nadajnikiem i potem przesłuchiwać taśmy w spokoju. Albo najlepiej zlecić przesłuchiwanie taśm analitykom. Uśmiechnął się do swojego lenistwa. Nie była to jednak tylko kwestia lenistwa: porządnie

zorganizowany podsłuch, z nagraniem i tak dalej, to jak spuszczenie wody ze stawu i metodyczne wybranie wszystkich ryb z dna. Podsłuchując osobiście, przez słaby odbiornik o zasięgu nie większym niż półtora kilometra w dobrym terenie i przez parę godzin co jakiś czas, rzucał tylko sieć. Czy coś w nią złapie czy nie, zależało od szczęścia. W zasadzie nie lubił tak pracować, wolał utkać metodycznie całą operację, surveillance, analytics, operations, wtedy to była normalna praca, jak inżyniera, który ma do rozwiązania problem, więc najpierw go rozpoznaje, potem analizuje wyniki rozpoznania i na końcu podejmuje działania. Te na wpół wariackie misje na drugim końcu świata, na które każdy z pracowników operacyjnych Firmy co jakiś czas musiał się wybrać, w pojęciu Rabbiego miały zapewne dodawać ich nudnej pracy odrobiny romantyzmu. Bez zaplecza, za to z bronią, której robiąc normalną robotę nigdy nie nosili, w terenie ledwie rozpoznanym. I nieobowiązkowo. I kręcili nosami, narzekali, stukali się w czoło - lecz jeździli. Do Korei, Indochin, do Afryki i na Spitsbergen. Oficjalnie - żeby Rabbi się cieszył, żeby mu zrobić przyjemność. Choć przecież wiedzieli, że można odmówić. A Rabbi później słuchał ich opowieści i wspominał swoją młodość. Gadali o nim, że był w Rosji od siedemnastego do dwudziestego roku, na Syberii głównie, potem w Mongolii i w Chinach, a potem w Hiszpanii, a potem nosił na prawym ramieniu opaskę Brandenburczyków. Rabbi oczywiście do niczego się nigdy nie przyznał, opowieść jednak miała sens - podobno właśnie między stepami Mongolii a Hiszpanią miał się zrodzić konkretny

profil Firmy, dzięki któremu Rabbi mógł liczyć na zdecydowaną lojalność swoich pracowników wynagradzanych nie tylko pieniędzmi. Oczywiście za darmo by nie pracowali, ale pieniądze były za pracę, za lojalność natomiast płaci się inną walutą. Rabbi miał ich dla niej pod dostatkiem. Stąd w zeszłym roku w Firmie pojawiło się kilku nowych, dwudziestoparoletnich zaledwie Węgrów.

I te urlopy w odległych krajach, na wojnach, gdzie ryzykowali głowę, to też była jakaś waluta, za którą ich Rabbi kupował. Młody chłopak, który jeszcze niedawno siedział w ławce, słuchając pogadanek o Leninie, i bał się donosicieli, teraz jechał land-roverem po czerwonej afrykańskiej glebie, w tropikalnym mundurze, z pistoletem u boku i sycił się romantyzmem.

Smith zamiast romantyzmu wojny w tropikach miał romantyzm polarnej przygody. I przypuszczał, że wojna w tropikach również nie bardzo przystaje do wyobrażeń, z jakimi w serce Afryki jechali jego koledzy. Mało tego - był pewien, że rzeczywistość, jakiej doświadczali na tych egzotycznych wojnach, nie przystawała również do historii, których potem wysłuchiwał od nich Rabbi, stary awanturnik na emeryturze. Nie chodzi o to, że kłamali: po prostu przedstawiali mu romantyczne opowieści o przyrodzie, pomijając tropikalne biegunki, smród, upał, nudę, smutek, cierpienie zwykłych ludzi, zdradę, kłamstwa i zwichnięte przyjaźnie. Nie opowiadali o kumplach, na których nie można liczyć, tylko o tych, co wierni są do ostatniego naboju. Mówiąc o kobietach, mówili po prostu, że są piękne, nie dodawali, że zarazili się od tych pięknych kobiet tryprem,

że dawały każdemu, kto płacił, i że śmierdziało im z ust tymi wszystkimi facetami, którzy mieli je tej nocy.

On też pewnie skłamię.

Przycumował łódź do nabrzeża, pozbierał bagaże i poszedł do siebie. Był bardzo zmęczony, zamierzał się rozebrać z wilgotnych ubrań i od razu kłaść się spać, ale na betonowych schodkach baraku siedział Haakon Sammling. Siedział i czekał na niego. Zapytany, potwierdził z prostotą - tak, czeka tu na niego od siedmiu godzin. Całą noc jasną. Uścisnęli sobie dłonie. Smith zaprosił go do środka. Ufał mu, mimo że widział jego brata przy skrytce komunistycznego szpiega. Nie wiedział dlaczego, po prostu ufał mu, bo ufał swojemu instynktowi, a instynkt podpowiadał mu, że ten mały chudy brunet jest po prostu porządnym człowiekiem.

Przed drzwiami Sammling zzuł gumki i Smith natychmiast poczuł smród jego skarpetek. O tym też przecież nie opowie Rabiemu. Opowie, że Norwegowie mają taki śmieszny zwyczaj, że ściągają buty przed wejściem do mieszkania, i to będzie taka ciekawostka krajoznawcza, ale nie powie, że niektórym przeraźliwie śmierdzą skarpety, bo po co? Sammling zaś przeszedł od razu do rzeczy, bez żadnych wstępów. A więc Haakon-Harald pracuje jako spawacz, a Kjell jako kucharz w kopalnianej stołówce, osiem godzin i ani minuty dłużej, z doby odejmuje się jeszcze osiem godzin snu i osiem godzin pozostaje im na działalność, dla której obaj na Svalbard przyjechali. Zaczęli z niczym, nikt ich nie znał, nie są ani inteligentni, ani towarzyscy, ani specjalnie odcytani. A jednak po roku pracy mogli

już mówić o „komórce” - w nieformalnych rozmowach udało im się zainteresować tematem dwóch górników rodem z Vardo, z którymi od początku łatwo było im trzymać sztamę, bo obaj trzydziestolatkowie, Olaf i Jan, nie postępowali się zbyt chętnie żadnym z dwóch przyjętych standardów języka norweskiego - ani bøkmalem, ani nynorskiem, swobodnie mówiąc jedynie w dialekcie z okolic Vardo właśnie, i tylko Haakon-Harald i Kjell nie uczynili z tej językowej niewydolności powodu do kpin.

Kjell nie musiał kłamać co do swojej biografii, był w końcu bohaterem wojennym, służył tutaj, na Svalbardzie, strzelał nawet z działa w stronę „Tirpitz” - dlatego on pełnił rolę agitatora. Haakon zaś zaprzyjaźnił się z polarną biblioteką. Biblioteka w Longyearbyen była znakomicie zaopatrzona, jakby w ten sposób kompania węglowa chciała zrekompensować swoim pracownikom arktyczne wygnanie. Oprócz bardzo bogatego działu górniczego był również dział ogólny i z tych półek właśnie brał książki Haakon-Harald. Powieści nie tykał, nie interesowała go rozrywka, Haakon-Harald szukał wiedzy. Za pośrednictwem biblioteki zamówił parę emigracyjnych rosyjskich pism i nawiązał korespondencję, w miesiącach zimowych z konieczności bardzo powolną, z solidarystami z paryskiego NTS. Podpisywał się w tej korespondencji jako Haakon Sammling, ale nie ukrywał już swojej znajomości rosyjskiego. Grigorij Aleksandrowicz Rozanow, stary emigracyjny inteligent, po czterdziestu latach ledwie pamiętający Rosję i pracujący na co dzień jako paryski taksówkarz, postanowił zająć się korespondencyjnym kształceniem dziwnego

Norwega i posyłał mu książki. I Harald-Haakon czytał Lwa Szestowa, czytał Miłukowa i Bierdiajewa - to po rosyjsku. W Waffen-SS nauczył się trochę niemieckiego, czytywał więc również Schmitta i Jüngera.

Zdawał sobie sprawę, że nie rozumie wszystkiego, całe partie tekstu były dlań niedostępne, czasem prosił listownie Rozanowa o jakieś wyjaśnienia, czasem po prostu godził się z tym, czego nie rozumiał - bo też Harald-Haakon nie szukał wiedzy o świecie, nie szukał zrozumienia rzeczywistości, on po prostu szukał duchowego i intelektualnego oręża dla jedynej sprawy, jakiej był oddany: do walki z bolszewikami. Przyswajał zatem to, co wydawało mu się słuszną diagnozą sowieckiej rzeczywistości, albo to, co stanowiło przeciwko tej rzeczywistości broń. Wszystko inne, inteligentkie dzielenie włosa na czworo, historyczne konieczności, odwaga Lenina, sens rewolucji - wszystko to pomijał, wyrzucał z pamięci, jak wyrzuca się szary papier, w który opakowano ważną przesyłkę.

Tak pokrótce wygląda ich walka. A opowiada o tym, aby Smitha, który wydaje mu się porządnym antykomunistą, zaprosić na zebranie. Jako słuchacz żeby przyszedł. Jutro o dwudziestej drugiej w starym magazynie obok elektrociepłowni. To taki brązową farbą pomalowany budynek. Zapukać trzy razy, przerwa i znowu trzy razy.

- I co pan odpowie, Herr Smith?

Herr Smith odpowiedział, że przyjdzie. Sammling tylko skinął głową, podał Smithowi dłoń, naciągnął gumki i poszedł.

Smith rozebrał się szybko, zwałił się na łóżko i spał długo, śniąc o betonowej celi, aż zapadł w czerń snu bezświadomego.

## ROZDZIAŁ 17

Obudził się po czternastej i załatwił parę pilnych sprawunków: odniósł ubrania do pralni, kupił chleb, ser, szynkę i puszkę neski i zrobiło się już późne popołudnie. Resztę dnia spędził z książką i papierosami. Przed ósmą zaniósł plecak ze sprzętem i karabin do łodzi i zostawił go w zamykanym forpiku. Zabrał ze sobą pistolet i lornetkę, po czym poszedł pod elektrociepłownię, znalazł budynek, który pasował do opisu Haakona, i miejsce, z którego mógł go bezpiecznie obserwować: załom za głazem w żlebie wydrążonym przez spływającą wodę w stokach Platåberget.

Nie wyglądało to na zasadzkę - na zebranie schodzili się górnicy w roboczych ubraniach, po jednym, czasem po dwóch, powoli, co kwadrans lub co pół godziny. Pukali do drzwi, po chwili drzwi się otwierały. W końcu przed samą dziesiątą stwierdził, że może pójść. Pistolet przełożył z kabury do bocznej kieszeni kurtki, zabezpieczony z napiętym kurkiem i nabojem w komorze. Okrążył elektrociepłownię i do starego magazynu podszedł drogą od strony portu. Zapukał dwa razy po trzy razy, otworzył mu Kjell Krag.

Uśmiechnął się i zaprosił gestem do środka. Smith wszedł.

I jakież było to zebranie! Zawsze te same twarze - głodne sprawiedliwości, zacięte słusznym gniewem, oddane bez drwiny, bez ironii, bez kpin. Widział już dziesiątki takich zebrań, najczęściej innej konfesji, raczej lewicowej, lecz twarze były te same - czy to u komunistów w Zurychu, młodych trockistów w Londynie, czy u podstarzałych weteranów Wehrmachtu, którzy wbrew logice historii



zbierali się w pewnym prywatnym mieszkaniu w Monachium, gdzie występował były kapitan Abwehry z pięknym „von” przed nazwiskiem i jeszcze piękniejszymi szramami po burszowskich szlegrach na twarzy. Mówił o nowym Wersalu, o upokorzeniu Niemiec, o rozerwaniu przez Amerykanów i bolszewików i o szansie, jaka stanie przed Niemcami, kiedy okupanci wreszcie rzucą się sobie do gardeł. Kapitan wierzył w swoje idee szczerze, co nie przeszkadzało mu brać pieniędzy od CIA, za które mógł sobie pozwolić na przyjemne życie i częste podróże między Hamburgiem, Bonn i Monachium, gdzie organizował swoje komórki. W Monachium miał siedmiu ludzi i jeszcze z pięciu sympatyków, Smith szacował, że z tego co najmniej czwórka była konfidentami różnych służb oddelegowanymi - jak Smith - do rozpracowania ewentualnej rewizjonistycznej konspiracji. A CIA, z tego co mówiło się w Firmie, płaciło kapitanowi, bo woleli mieć tych pięciu czy sześciu autentycznych rewizjonistów pod kontrolą.

Ale twarze tych, którzy wierzyli w słowa kapitana, przypominały twarze górników, którzy słuchali przemowy Kjella Kraga. Przerwał tylko na chwilę, aby wpuścić Smitha, przywitano go gromkim: „Cześć, kolego!” i mówił dalej.

Smith usiadł obok Haakona i doświadczony życiem górnik zaczął mu szeptać niemieckie tłumaczenie przemowy Kjella, na ucho, tak że Smith czuł jego oddech na policzku. Nie było to zbyt przyjemne doświadczenie, panował jednak nad sobą na tyle, aby powstrzymać się od nieświadomych nawet gestów odrazy.

I mówił Krag o okropnościach bolszewizmu. Opowiadał o strasznym terrorze CzeKa, o wszystkich okropnościach rewoucji, o zamordowaniu cara Mikołaja - aby wagę tej zbrodni górnikom przybliżyć, powoływał się na przykład ukochanego przez wszystkich Norwegów króla Haakona: cóż by oni uczynili, gdyby bolszewicy zamordowali im króla? A cara lud Rosji kochał nawet bardziej niż Norwegowie swego króla! Tak bardzo, że morderstwo to musiał krwawy Lenin zlecić komunistom innej narodowości, Węgrom i Żydom, bo nie znalazłby się chyba Rosjanin, nawet bolszewik, któremu przed obliczem carskim ręka by nie zadrżała.

Górników opowieść Kraga porywała niczym film albo kryminał, słuchali w napiętym oczekiwaniu na opis kolejnych okropieństw, wzdychali, kiedy należało, i kiedy należało unosili się świętym oburzeniem. Krag nie szczędził im okazji: opisywał ze szczegółami okrutne czekistowskie kazamaty, gdzie bestialscy bolszewicy dręczą niewinne dziewczęta, gwałcąc je tak długo, aż te oddadzą ducha. O tym szczególnie długo opowiadał, ze szczegółami, widząc na twarzach słuchaczy oburzone podniecenie i nienawistną fascynację. Mówił potem o tym, jak Stalin morduje całe narody, przerzucając je z jednego końca imperium na drugi. O tym, jak wymordował polskich oficerów. A później gładko przeszedł do tego, że Chruszczow niczym się od Stalina nie różni, że uczestniczył osobiście w najstraszniejszych stalinowskich zbrodniach na Ukrainie i że Związek Radziecki po śmierci Stalina wcale nie stał się innym ani lepszym państwem.

Stąd już tylko minuty dzieliły go od przejścia do svalbardzkiej

teraźniejszości. Rząd Norwegii toleruje komunistów na swoim terytorium! Na Svalbardzie! Wszyscy wiemy, do czego to może doprowadzić!

Ani słowa o traktacie spitsbergeńskim. Smith aż pokiwał głową z uznaniem. Dobry mówca, sprawny retor. Aż dziw bierze, że mówi do tak skromnej publiki, w magazynie nie było więcej niż dwudziestu górników, twarze pobrużdżone, czarne obwódki węgla na skrajach powiek, czarne kreski pod paznokciami i węglowy pył wtarty w głębokie linie na skórze dłoni. Krag ani Haakon nie mieli tych znaków, nie pracowali bezpośrednio w ziemi.

A Kjell Krag przestrzegał: jeden Bóg wie, jak to może się skończyć! Czy naprawdę nie mają żadnych ukrytych żołnierzy w Grumantbyen, w Barentsburgu czy w Pyramidien? Cóż to za sztuka przebrać batalion spadochroniarzy za górników? A w takim wypadku - biada nam.

A zatem: precz z bolszewikami! Wyrzucić bolszewików ze Svalbardu!

Górnicy odpowiedzieli chętnymi okrzykami. Smith przyłączył się do okrzyków bez przesadnego entuzjazmu, wyszeptał Haakonowi do ucha wyrazy uznania za tak odważną działalność oraz że w pełni popiera, wszystko to prawda, co Kjell mówi, i tak dalej. A teraz musi już iść, do zobaczenia wkrótce.

I poszedł, odcumował łódź i popłynął tą samą drogą co ostatnio, minął głaz, z którego uratował go Aleksiejew, za pomocą kotwicy zacumował łódź przy klifie, przy Litle Bjørndalen, małej dolinie, która

wycinała w Fuglefjella dziurę do połowy wysokości urwiska. Zostawił długą linę kotwiczną, żeby mu łodzi nie zerwał przyptyw, wspiął się na płaskowyż i wrócił na miejsce między dwoma głazami, z którego ostatnio podsłuchiwał Rosjanina. Dziś był już lepiej przygotowany, w plecaku oprócz zeltbahny miał śpiwór i obfity prowiant, dwa duże termosy z kawą, papierosy i książkę, żeby zabić nudę. Starannie przygotował sobie punkt obserwacyjny. Na ziemi rozłożył płachtę peleryny, na pelerynie śpiwór i w zasięgu ręki plecak z jedzeniem, aparat fotograficzny, odbiornik podsłuchowy i broń. Zdjął buty i położył je na pelerynie, po czym sam wlaź do śpiwora i przykrył się połą zeltbahny, naciągając ją sobie na głowę jak kaptur. Nałożył słuchawki, dostroił odbiornik, zrobił parę zdjęć tym samym miejscem, które fotografował wcześniej, i zastygł, słuchając wszystkiego, co działo się w izbie Aleksiejewa.

Wytrzymał osiem godzin bez ruchu, później wstał, odszedł kawałek, aby nie było go widać na tle nieba, wysikał się, rozprostował kości, potruczał w kółko, zrobił parę przysiadów i wrócił do swojego posłania z podsłuchem.

Porobił fotografie ludziom, którzy wchodzili i wychodzili z izby Aleksiejewa, i innym, którzy chodzili między zabudowaniami Grumantu. Da je potem analitykom, może znajdą jakąś znajomą gębę, kto wie?

Do wieczora nic. Nic co warto by chociaż zanotować w zeszycie. Bez emocji słuchał, jak Aleksiejew je, śpi, pierdzi, załatwia jakieś sprawy z górnikami mówiącymi mocno z ukraińska, znowu je,

podśpiewuje pod nosem, kopuluje z kobietą, która mu gotuje i sprząta, ona dyszy, a on szepcze jej imię: Nadieżda, Nadieżda, Nadieżda... Potem przynoszą mu ryby, Nadieżda je oprawia, ale nie wszystkie. Część chyba dalej pływa w wiadrze.

Leżał więc, jadł kanapki, pił powoli kawę, czytał książkę, gapił się i słuchał. Wreszcie, po kilkudziesięciu prawie godzinach, zaczęła ogarniać go senność. Wiedział, że i tak zaśnie w końcu, leżąc w ciepłym śpiworze na miękkim mchu, toteż postanowił dłużej się nie opierać - nastawił głośność odbiornika na maksimum i zasnął ze słuchawkami na uszach.

Obudziło go trzaśnięcie drzwi.

- Wot, durak! - warknął Fiodor Wasiliewicz Aleksiejew kilometr dalej.

- Izwinitie, towariszcz starszyj lejtnant - odpowiedział pokornie głos, który Smith na pewno znał, znał dobrze, ale za nic nie potrafił połączyć głosu z człowiekiem. Zapewne przez to, że słyszał ten głos zniekształcony przez szumy i trzaski w słuchawkach. I teraz dopiero załapał: towariszcz starszyj lejtnant. Stopień służbowy. KGB albo bojowaja rozwiedka. Żaden inny obywatel Ojczyzny Światowego Proletariatu nie siedziałby na końcu świata w cywilnych łachach, nudząc się i leniuchując jak angielski lord na wakacjach. Oczywiście podejrzewał Fiodora Wasiliewicza o służbową przynależność, nikt inny tak chętnie nie rozmawiałby z inostrąncem, ewidentnie prowadząc jakąś grę.

Durak zaczął zaś zdawać raport. Wszystko w najlepszym

porządku. Mówił szybko i krótko, bardzo konkretnie. Organizacja idzie coraz lepiej, jest już dwadzieścia osób. Co do tego Smitha czy Schmidta, co go towarzyszc lejtnant kazał sprawdzać, to nic na razie więcej nie wiemy, nie było go dość długo, nie wiemy, gdzie był, potem wrócił i Harald łatwo go namówił, żeby przyszedł na zebranie. Spasibo, towarzyszc lejtnant.

Smith już notował i już wiedział, kto przyszedł do Fiodora Wasiliewicza. Kjell Krag. To już nie było takie oczywiste, ale domyślał się tego, odkąd zobaczył Kraga w okularach lornetki przy skrytce Gorzewskiego. Wszystko pasuje. Kolski Norweg, porwał kuter i uciekł bolszewikom. A Harald Krag dostał się do niemieckiej niewoli, żeby wstąpić do „Wikinga”. Jak dziesiątki innych kretów KGB. Jako komunistyczny szpieg infiltrujący Niemców, Harald Krag nie musiałby nieść brzemienia nędznego losu kolaboranta, quislingowca. W końcu w czasie wojny z bolszewikami można było współpracować, czemu nie? A że panowie raczej nie ocierali się na rautach o generałów i przemysłowców? No cóż, na szkoleniach w Firmie wszyscy słuchacze dziwili się, jakie legendy czekał się wymyślali dla swoich kretów, to znaczy - dziwili się ich powszedniością. Rzemieślnicy. Drobnii przedsiębiorcy w Kanadzie. Artysta narkoman w Nowym Jorku. Potem były problemy, kiedy okazywało się, że właściciel salonu samochodowego w Kanadzie nie jest w stanie dostarczyć wartościowych informacji i na dodatek nie wytrzymuje presji podwójnego życia. Ale w przypadku Kraga pomysł zdawał się sprawdzać. Pewnie główne swoje usługi oddał im w czasie

wojny, a teraz po prostu do czegoś go trzeba było użyć, używali go zatem, do czego mogli.

- Nie udało się stwierdzić co z „Grafem” - mówił dalej Krag. - Nie zostawił wiadomości w podstawowej ani w rezerwowej skrytce, rezerwowa wyglądała na spenetrowaną, obserwacja przy stacji nie przyniosła żadnych efektów.

Towariszcz lejtnant pomilczał chwilę i wreszcie po namyśle powiedział:

- Kjell Kanutowicz, wy „Hrabią” nie zajmujcie już się, bo z centrali donoszą, że ten kontakt jest i pozostanie nieaktywny.

Czyli wiedzą już, kanałem przez biały wywiad w Polsce. W Polsce przecież na pewno napisali o tym w gazetach, „Śmierć polarnika” - mógłby się założyć, że tak brzmiały nagłówki.

Smith zanotował, że Krag ani słowem nie wspomina o tym, że przepalił obserwację i musiał uciekać czym prędzej. Też nic dziwnego, nie ma się czym chwalić, on również nie wpisałby takiej porażki do raportu, gdyby tylko był przekonany, że nikt tego niedomówienia nie zdemaskuje.

I dalej parę jeszcze faktów. Norweskiej, amerykańskiej ani innej obecności militarnej w Longyearbyen nie stwierdzono. Żadnych zmian nastrojów wśród klasy pracującej Longyearbyen nie stwierdzono. Wszystko jest już przygotowane, robotnicy wystarczająco nasyceni antykomunistyczną propagandą. Wystarczy iskra, a ruszą na Grumant. Znakomicie. To wszystko, towarzyszu. Spasibo, towariszcz. Się spisaliście. A tutaj są wasze ryby. A więc

jutro w nocy, towarzyszc starszyj lejtnant. A więc jutro w nocy. Partia wam tego nigdy nie zapomni, Kjell Kanutowicz. Spasibo, towarzyszc starszyj lejtnant.

Smith przygotował aparat. Drzwi izby Fiodora Wasiliewicza otworzyły się, wyszedł z nich Kjell Krag, niosąc w dłoni wiadro. Seria zdjęć, miał Kraga z Aleksiejewem na co najmniej dziesięciu ujęciach.

Niczego więcej nie potrzebował. Zamierzał przekroczyć zalecenia Firmy co do angażowania się w konkretne sprawy, ale był pewien, że Rabbi nie będzie miał mu tego za złe. Skoro można bolszewikom przeszkodzić, należy to zrobić. Można nawet pozwolić sobie na pewną dekonspirację, czemu nie?

Wrzucił swoje rzeczy do plecaka, śpiwór, płachtę, aparat fotograficzny i odbiornik, zabrał broń i pospiesznie ruszył w stronę Litle Bjørndalen. Nie tracąc czasu na ściąganie butów i spodni, zepchnął łódź na wodę, uruchomił silnik i na pełnych obrotach pojechał w górę fiordu, w stronę Longyearbyen.

Zacumował w porcie i pobiegł prosto do gubernatora. Kiedy dotarł, była piąta nad ranem i w biurze oczywiście nikogo nie było, a on nie wiedział, gdzie gubernator mieszka. Rozejrzał się szybko - przed jednym z baraków stał siwowłosy górnik i ćmił fajkę. Smith podniósł rękę, krzyknął międzynarodowe „hej!” i biegiem ruszył w stronę porannego amatora tytoniu. Norweg na szczęście nie uciekł, Smith chwycił go więc za rękaw, przypomniał sobie te parę słówek po norwesku, jakie zdołał opanować przed wyjazdem, i nie przejmując się gramatyką zapytał, wymawiając trzy słowa:



- Hvor Søvn Sysselmannen?

Górnik popatrzył się na Smitha jak na wariata, ale kiedy Smith nie puszczał rękawa jego górniczego drelichu, zrozumiał, że dziwak odczepi się wtedy dopiero, kiedy uzyska coś, co uzna za odpowiedź. Pokazał zatem palcem miejsce, gdzie rezydował gubernator. Zadziałało, wariat się odczepił i górnik mógł dalej ćmić swoją amforę w fajce z wiśniowego drewna.

Smith pobiegł zaś do domku o ścianach z desek pomalowanych na żółto, dopadł drzwi, nacisnął klamkę, były otwarte. Wszedł do środka, eleganckie meble, firanki w oknach, idealnie czysta podłoga, dywany, obrazki. I bardzo ciepło, gubernator musiał lubić wysoką temperaturę. Otworzył drzwi, które jak mu się wydawało, prowadziły do sypialni, i rzeczywiście była to sypialnia. W podwójnym łóżku gubernatora spała naga dziewczyna, rozpuszczone białozłote włosy rozsypały się po całej poduszce. Ramię trzymała na piersi gubernatora, która unosiła się i opadała, kiedy ten oddychał głęboko, śpiąc na plecach snem uczciwego i spełnionego człowieka. Nie obudzili się, kiedy Smith otworzył drzwi. Dziewczyna spała na brzuchu, odrzuciwszy koldrę, i Smith wbrew dobrym obyczajom, przyzwoitości i wbrew zwykłemu rozsądkowi nawet nie mógł się oprzeć i gapił się przez chwilę na świetnie wyrzeźbione białe ciało, na linie pośladków, bioder i talii. W końcu przywołał się do porządku, wycofał się za drzwi i zamknął je bezszelestnie. Pomyślał o Sophie, o tym, jak wygląda jej matka, którą już poznał, i o tym, jak starzeją się Norweżki, w wieku lat czterdziestu często prezentujące się gorzej od

sześciodziesięcioletnich Francuzek. Tęsknił do niej.

Przypomniał sobie, że pośpiech jest co najmniej wskazany, zapukał więc do sypialnianych drzwi najgłośniej, jak umiał, wołając donośnie po angielsku pana gubernatora, żeby koniecznie wstawał czym prędzej.

Sysselmann przywykł był widocznie do takich nagłych pobudek, bo odpowiedział natychmiast, żeby tylko chwilkę poczekać, że już idzie. Po minucie wymknął się z sypialni, w spodniach i rozpiętej koszuli, ledwie rozwierając drzwi, tak że Smith zapewne nie mógłby dojrzeć dziewczyny w łóżku, gdyby nie widział jej wcześniej.

Tønessen nie był zły na Smitha, nie żądał też natychmiastowych wyjaśnień, jakim prawem i po co tenże budzi go w środku nocy. Jako dżentelmen uznał zapewne, że skoro Smith dopuścił się czynu tak drastycznego, to znaczy, że miał ku temu powody. Zaprosił więc gościa do kuchni, nastawił kawę w elektrycznym ekspresie i dopiero wtedy zapytał, co się stało.

Smith zaś odparł po prostu:

- Sir, muszę przyznać, że pana okłamałem. Nie jestem socjologiem, pracuję w branży gromadzenia informacji. Przepraszam za kłamstwo, było konieczne. Please, accept my apology.

Gubernator ze smutkiem pokiwał głową. Jasne, był człowiekiem inteligentnym. Smith zaś wyjaśnił pokrótce, co wie - Kjell i Sammling jako radzieccy szpiedzy. Sammling to w rzeczywistości Harald Krag, brat Kjella Kraga, obydwu komunistyczne służby wysłały jako kretów w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Kjell prawdopodobnie infiltrował

Norwegów i innych aliantów już w czasie wojny, a potem w Norwegii, jako uznany bohater wojenny, chociaż raczej niższego szczebla, mógł służyć jako agent wpływu. Gubernator drapał się w nasadę nosa, nie zdecydował się jeszcze, czy uznać Smitha za wariata czy potraktować go poważnie. Skłaniał się ku temu drugiemu chociażby z tego powodu, że wcześniej darzył go przecież sporym zaufaniem.

Smith ciągnął zaś swój krótki raport: Harald Krag vel Haakon Sammling służył w dywizji Waffen-SS „Wiking” i podał się za zmarłego kompana z obozu jenieckiego, żeby uniknąć deportacji do Związku Radzieckiego - zapewne za radą swojego prowadzącego. Liczyli, że może do czegoś się przydać w Norwegii, ale widocznie niski status byłego kolaboranta uniemożliwił mu działania, wysłali go zatem tutaj, na Północ, aby jego brat, który jest agentem cennym, miał zaufanego pomocnika.

Ekspres zadzwonił, w dzbanku było kawy już dość na dwa kubki. Gubernator rozlał gorący napój i podając Smithowi naczynie, oświadczył, że to wszystko bardzo ciekawe, lecz musi wiedzieć, w jakiż to sposób Smith zdobył tak ważne informacje oraz dla kogo pracuje.

- Pan wybaczy, nie mogę powiedzieć, dla kogo pracuję, ponieważ nie jestem do tego upoważniony, a nie chcę pana znowu okłamać. Proszę więc o to nie pytać. Nie zakładam jednak, że zaufa pan moim słowo. Mam dowód, solid proof, tutaj, na kliszach fotograficznych.

Sysselmann zgodził się na solid proof. Dopili kawę, po czym razem wybrali się do ciemni, gubernator obudził człowieka, który obsługiwał laboratorium fotograficzne, i nie zważając na jego protesty zażądał kluczy, po czym wpuścił Smitha do laboratorium i pozwolił mu zająć się wywołaniem zdjęć i zrobieniem odbitek, cały czas patrząc mu przez ramię. Smith nie obrażał się o ten brak zaufania, w końcu przed chwilą przyznał się, że jest szpiegiem, ubierając to tylko w odrobinę znośniejsze słowa.

Po dwóch godzinach Egil Tønnesen trzymał w ręku serię dwunastu fotografii, na których Kjell Krag żegnał się z Fiodorem Wasiliewiczem Aleksiejewem, trzymając w ręku wiadro z rybami.

Poszli do gubernatorskiego biura, gdzie za kontuarkiem czekała już sekretarka, ani jednym spojrzeniem nie zdradzając, że z sysselmannem mogłoby łączyć ją coś więcej niż dokumenty i telefony.

Smith skinął jej uprzejmie głową, jakby widział ją dziś po raz pierwszy, weszli do gabinetu, usiedli w fotelach. Tønnesen myślał intensywnie, w końcu zaczął powoli przedstawiać Smithowi swoje wątpliwości - bo czy z faktu, że sfotografował pan Kraga z jakimś Ruskiem, wynika to wszystko, co mu pan tutaj opowiedział? Nie wynika. Smith zgodził się. Nie wynika. Skąd więc takie wiadomości? Z podsłuchu. Gubernator podrapał się w nasadę nosa.

- Czego pan ode mnie oczekuje, panie Smith?

I wyjaśnił gubernatorowi, czegoż by od niego oczekiwał. Opowiedział mu o zebraniach antykomunistycznej komórki w

magazynie obok elektrociepłowni. Sysselmann pokiwał głową, że tak, owszem, doszły go takie słuchy, ale nie wiedział, że właśnie Krag i Sammling są w to zaangażowani.

I w końcu Smith wypowiedział to słowo. Prowokacja, panie gubernatorze. Prowokacja. Gubernator nie zrozumiał. Smith chciał mu opowiedzieć Fiodorową historię o Pomorcach, lecz w porę ugryzł się w język. Nie było teraz sensu przyznawać się do kontaktów z tym samym Rosjaninem, z którym kontakty były koronnym dowodem obciążającym Kjella Kraga.

Powiedział więc po prostu - Rosjanie chcą Svalbard. Spitsbergen, tak go nazywają. Chcieli go już dwadzieścia lat temu, a teraz w końcu przygotowali prowokację. Bo po co innego agentowi KGB „antykomunistyczna” komórka? W jakiś sposób Kjell Krag namówi swoich górników, żeby napadli na Grumant, co Rosjanie uznają za casus belli i natychmiast dla obrony swoich obywateli wysadzą swoje wojska, które zajmą Longyearbyen i Ny-Ålesund. Gubernator myślał bardzo intensywnie i zaraz przypomniał sobie, że w okolicach Ny-Ålesund przebywa „Lena”, radziecki lodolamacz. Na którym spokojnie można zaokrętować batalion wojska. A do Longyearbyen mogą wysłać żołnierzy z Barenstburga albo z portu w Colesbukta, statek, ze statku łodzie. I jak ich powstrzymamy? To działo na nabrzeżu, z którego Krag podobno do „Tirpitz” strzelał, nawet nie ma zamka, nie mówiąc już o amunicji.

Smith ucieszył się, że gubernator sam zaczął rozwijać hipotezę - to oznacza, że przyjął ją już jako swoją, uwierzył po prostu. Pociągnął

więc gubernatorskie myśli, kierując je w stronę jasno wynikających z historii faktów: Sowieci od czterdziestu lat cokolwiek robią, robią metodą fait accompli. Tutaj będzie tak samo. Najpierw zbrojna okupacja, potem wypowiedzenie traktatu spitsbergeńskiego i zobaczymy - postawi się Zachód czy nie? Doktryna Eisenhowera chyba nie będzie miała zastosowania do tego przeklętego polarnego końca świata?

- No tak, ale co tu zrobić, panie Smith? Wierzę panu, tylko że...

Smith zauważył to wcześniej niż sam gubernator. Dobrze, że pan gubernator wierzy, dobrze. Smith też wierzył, tylko jeden mały szczegół nie dawał mu spokoju. Dlaczego starszyj lejtnat Fiodor Wasiliewicz Aleksiejew opowiedział mu historię o Pomorcach, którzy mogli się stać pretekstem do aneksji Spitsbergenu już dwie dekady temu? Po co nakierowywał go na myślenie o tym, co teraz stało się z tak spójną teorią? Po co po raz kolejny utwierdzał go w przekonaniu o sowieckiej politycznej bezwzględności? Może nie podkreślał nadmiernie aktualności całej tej historii, ale Smith teraz nie mógł się oprzeć, aby za pomocą dostarczonych przez Aleksiejewa analogii nie tłumaczyć sobie rzeczywistości, którą odkrywał.

Lecz przecie Aleksiejew nie mógł zakładać, że Smithowi uda się go podsłuchać. Albo mógł. Smith podświadomie coraz bardziej obawiał się spójności swojej teorii, nie miał jednak innej, a coś musiał przyjąć jako podstawę działania.

Co do tego zaś, że działać należy, i to bez zwłoki, nie miał wątpliwości.

Sysselmannen på Svalbard Egil Tønnesen również nie miał wątpliwości.

- Ruszajmy - powiedział, wyciągając z szafki sztucer i pas z pistoletem. - Weźmiemy psy, i tak się nudzą latem.

## ROZDZIAŁ 18

- Harald, bracie mój, jesteś? - zawołał Kjell Krag. Kręcił się u czoła lodowca Grumant, wdrapywał się na osuwające się błota morenowych wałów i czekał na swojego brata. - Harald, chłopie, gdzie jesteś? - wołał, a głos jego niósł się w tym wymarłym, nieludzkim krajobrazie.

Morena wznosząca się na przełęczy pod szczytem Lindströmfjellet niczym nie przypominała bujnej tundry z rozciągającej się poniżej doliny Bjørn. Zamiast gęstego dywanu z mchów, traw i płożącej się wierzby tutaj ziemię pokrywało brunatnoczarne błoto niesione przez lodowiec, podmokłe i oblepiające buty wstrętną lepłą skorupą.

Tutaj nikt nie chodził, do Grumantu szło się przez Fuglefjella i potem przełęczą, w dół doliny. Jeśli ktoś szedł do Colesbukta, gdzie Grumant miał swój port, to wybierał podobną drogę, również przez Fuglefjella, potem przełęczą i dalej trawersem po stoku Lindströmfjellet.

Żyły tu tylko biegusy arktyczne, małe niepozorne ptaszki, które udawały ranne i odbiegały od gniazda, kiedy ktoś nadchodził. Lisy dawały się na to nabrać, biegły za łatwą zdobyczą, kiedy zaś skrzydlaty oszust odciągnął je od gniazda, wzbijał się w powietrze. A lis był zbyt głupi, aby pamiętać o gnieździe, w którym spoczywało biegusowe potomstwo, w skorupkach lub bez.

W powietrzu z furkotem przesunęło się wielkie stado alczyków.

- Psiakrew, Harald, gdzie jesteś? - wrzasnął Kjell ze złością.



- Nie denerwuj się, człowieku, jestem, jestem - odkrzyknął Harald Krag, pojawiając się na szczycie morenowej wydmy czterdzieści metrów dalej.

Kjell był już wystarczająco zdenerwowany tym, że Wasiliewicz uparł się, żeby zaczekali na niego tutaj, jakby Kjell sam nie mógł tego załatwić. A teraz jeszcze Harald się spóźnia i zaraz wszystko się zacznie rozsypywać. Jakże on tego nie znosił, tych drobnych utrudnień, minut spóźnień, brakujących drobiazków, marginalnych niedomówień, które opóźniały każdą akcję, a zniweczyć mogły najlepszy nawet plan.

- Dobra - mruknął. - Tutaj czekamy.

Harald nie dopytywał się, po co i na kogo mają czekać, taki już był. Słuchał Kjella, bo Kjell był mądrzejszy i zawsze wiedział, co robić. Nie miał potrzeby dopytywania się o to, co będzie za chwilę. Skoro Kjell kazał mu przyjść na tę wstrętną morenę i tu czekać, to znaczy, że miał ku temu jakiś dobry powód, Kjell nie był kimś, kto robiłby cokolwiek bez powodu albo bez sensu.

Po kwadransie od strony Grumantu wyłoniła się wreszcie ludzka sylwetka. Kjell był już wściekły, bo ten dureń Aleksiejew, którego dziwnym zrzędzeniem losu uczyniono jego przełożonym, spóźnił się całe pół godziny, a jemu na dodatek nie wypadało okazać złości ani zniecierpliwienia. Fiodor Wasiliewicz pomachał im z daleka.

Czekali cierpliwie, aż w końcu Rosjanin, zmęczony piekielnie, spływający potem i dyszący jak lokomotywa, stanął przy nich.

- Wy jesteście Harald Kanutowicz Krag? - zapytał.

Harald dopiero teraz zdziwił się naprawdę.

- Rusek? Jakim cudem on zna moje... - zapytał Kjella i zebrał się w sobie jak napięty łuk. Umiał jeszcze walczyć, był tego pewien.

- Odpowiadaj, Harald - warknął Kjell po rosyjsku.

Fiodor Wasiliewicz Aleksiejew uśmiechał się dobrotliwie.

- Choroszo. To ja - odparł Harald.

- No to słuchaj teraz, swołocz. Myślałeś, że minęło dwanaście lat i że myśmy zapomnieli albo wybaczyli? Partia niczego nie zapomina i nigdy nie wybacza zdrady. W imieniu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich wymierzę ci teraz karę śmierci - oświadczył Fiodor i wyjął z kieszeni tetetkę.

Harald nie myślał o bracie, nie myślał w zasadzie o niczym - po prostu zareagował odruchowo: rzucił się na starego Rosjanina i był szybszy. Nim Aleksiejew zdążył skierować lufę pistoletu w stronę Kraga, potoczyli się razem po mokrym błocie, które przyklejało się do ich pleców równą warstwą jak gęsta farba do chłonnego tynku. Siłowali się przez chwilę, obaj posunięci w latach, Fiodor większy i cięższy, ale Harald silniejszy, zwinniejszy i w lepszej formie dzięki ciągłej fizycznej pracy. I już ścisnął prawy nadgarstek Rosjanina w mocarnym robociarskim uchwycie, już palce czekisty powoli się rozwierały, wypuszczając rękojeść tetetki, kiedy Fiodor Wasiliewicz w końcu uznał, że ma dość równej walki, i przez zaciśnięte zęby wydusił z piersi przyciskanej ramieniem Haraldą dwa słowa:

- Kjell Kanutowicz...

Kjell zaklął pod nosem, splunął na ziemię, zrzucił z ramienia

karabin, przeładował, przystawił bratu lufę do ucha tak, jak postępuje się z chorym bydłem, i pociągnął za spust. Myśliwski pocisk roztrzaskał czaszkę Haralda Kraga, syna Kanuta, i rozrzucił jego mózg i krew na miękkim błocie.

Fiodor Wasiliewicz Aleksiejew z odrazą zepchnął z siebie wiotczące ciało, wstał, ocierając brudne z błota dłonie o nogawki spodni. Z rozbitej głowy Haralda Kraga wyciekała krew i białe smugi mózgu. Kain i Abel, pomyślał Fiodor Wasiliewicz i z bólem serca pomyślał o swojej jednoosobowej wewnętrznej konspiracji, o swoim wyimaginowanym carskim panoplium, którego obraz pielęgnował na wewnętrznych stronach powiek.

- Żał nawet, dobry muzyk z niego był - powiedział. - Ale taka jest logika historii. Jednostka niczym. Chodźcie, teraz wasza kolej.

Kjell skinął głową, zgodził się, chociaż bardzo mu się ten punkt planu nie podobał.

- Jestem gotów. Strzelajcie, towarzyszc starszyj lejtnant.

Fiodor Wasiliewicz podniósł z błota pistolet, otarł go o fałdzistą powierzchnię teliogiejki, wymierzył i nacisnął spust. Spowita mosiężnym płaszczem kula kaliber 7,62 wyrwała się z ciemnej matni lufy, wirując jak fryga pognąła do przodu i uderzyła w lewy biceps Kjella Kraga i przebiła go na wylot, mijając kość o centymetr.

Kjell wrzasnął, chwycił się drugą ręką za ramię, podskoczył parę razy w miejscu, klnąc jak okradziona Cyganka.

- Pomażcież se gębę krwią, będzie lepsze wrażenie. Jak będziecie bliżej Longyear, strzelcie parę razy w powietrze. Ja

tymczasem oporządę trupa, żebyście go łatwo z górnikami znaleźli.

- Tak jest, towarzyszu starszy lejtnant - odparł Kjell i pomyślał o sobie, że jest Kainem. Abel zdechł, Kain przeżył. Jestem Kainem.

Ściskając palące żywym ogniem i krwawiące jak cholera ramię, ruszył w swoją stronę.

Czterysta metrów dalej, ukryci w pagórkach i wąwozach lodowcowej moreny, leżeli gubernator Egil Tønnesen, starszy specjalista do spraw kontaktów zagranicznych znany jako John William Smith oraz szpic grenlandzki przez ludzi nazwany Piratem z powodu braku jednego oka - a którego prawdziwe psie imię pozostanie dla nas na zawsze tajemnicą.

Patrzyli przez mocne lornetki, lecz wyciągniętego pistoletu nie zauważyli, z tej odległości dojrzeliby tylko, że siłuje się dwóch ludzi, których - na podstawie mikrej figury i wielkiej szarej brody - zidentyfikowali jako Fiodora Wasiliewicza Aleksiejewa i Haakona Sammlinga. Kiedy padł strzał, kiedy brat zabił brata, Tønnesen chciał zareagować, Smith go jednak powstrzymał, cóż bowiem mogli zrobić? Przecież nie posklejają przestrelonego łba.

Drugiego strzału nie rozumieli przez chwilę, bo nie było ani walki, ani próby ucieczki - a po strzale jeszcze chwila rozmowy. Pierwszy zrozumiał Smith. Syknął do gubernatora, że nie ma czasu do stracenia, prowokacja właśnie się dzieje, strzał w ramię Kjella ma uczynić jego historię wiarygodną, a ciało zamordowanego Haakona Sammlinga ma skłonić górników do przemocy, do tego, aby napadli na Grumantbyen.

Trzeba powstrzymać Kjella Kraga. Przed magazynem czekają uzbrojony szyper „Nordsyssela” i zastępca gubernatora, ale lepiej nie sprawdzać, czy górnicy posłuchają ich czy zranionego przez Sowieców bohatera wojennego.

Pirat znowu zanurzył pysk w poszewce z poduszki, zabranej z łóżka człowieka, za którym aż tutaj doprowadził ich rudy grenlandzki szpic o potężnym łbie, szerokiej klatce piersiowej i ogonie noszonym w powietrzu niczym pióropusz. Ruszyli jego śladem.

Drogi i psa pilnował Tønnesen, Smith po prostu szedł za nim, obserwując otoczenie, lecz to mógł robić bez udziału świadomości. A świadomość jego skupiła się tylko na jednym.

Mylił się co do Haralda Kraga, którego zwlókł tam teraz z ubrań ten kagiebista z brodą proroka. Harald Krag opowiedział mu swoją prawdziwą historię i zginął z ręki brata, któremu zaufał. Bolszewicy nigdy i nikomu nie wybaczą zdrady, dlatego pewnie Harald Krag został wyznaczony na ofiarę, która ma spowodować atak zaangażowanych przeciwko bolszewizmowi górników na radzieckie Grumantbyen.

Kjell Kanutowicz Krag szedł trudniejszym, prawym zboczem Bjørndalen. Przekraczał kolejne piargi, z trudnością zsuwał się do kolejnych wyplukanych lodowcowymi rzekami wąwozów i z trudnością jeszcze większą wdrapywał się z powrotem na górę. Szedł powoli, przestrelona ręka strasznie krwawiła i Kjell zastanawiał się, czy Fiodor Wasiliewicz Aleksiejew był tak pewien swoich umiejętności, że strzelił ledwie celując, czy po prostu nie obchodziło

go, czy kula strzaska Kragowi kość czy tylko ledwie zadrapie skórę.

Żał mu było brata, polubił tego cichego, spokojnego człowieka, który tak niewiele się zmienił od jasnego dzieciństwa, od czasów, kiedy jeszcze był dom, matka, ojciec i jego kuter, i dorsze suszące się przed chatą, i psy, i oswojona foka, której razem rzucali świeże ryby specjalnie przez ojca przynoszone w cebrzyku.

Było mu żal, lecz ani przez chwilę nie wahał się, kiedy dobre już parę miesięcy temu Fiodor Wasiliewicz powiedział mu, że trzeba go zgładzić. Spokojnie przyjął argumenty przełożonego i odparł po prostu: „Tak jest, towarzyszc starszyj lejtnant”. Trzeba, to trzeba.

Strasznie ciążył mu karabin i przeszkadzał, objając kolbą biodro, nie mógł go przytrzymać, bo cały czas dłonią ścisnął ranę, puszczał tylko wtedy, kiedy musiał się podeprzeć, wspinając się na zbocze parowu.

Obiecali mu: to ostatni rok. W 1958 wróci do ojczyzny, zamieszka w pięknym mieszkaniu w Moskwie, zostanie kapitanem KGB i będzie służył ojczyźnie, nauczając norweskiego i angielskiego oraz zachodnich zwyczajów i mód młodych kagiebiów. I obiecali mu, że będzie mógł mieć tyle pięknych moskwianek, ilu tylko podola. I samochód. Często myślał o tej nagrodzie, która przecież mu się należała za dwadzieścia lat ciężkiej, ofiarnej, niebezpiecznej, a przede wszystkim owocnej służby. Z Norwegii, ze Szkocji, ze Spitsbergenu, znowu ze Szkocji, znowu z Norwegii, znowu ze Spitsbergenu, z wojska, z kół weteranów, spośród górników i naukowców wydobywał, opracowywał i słał do Ojczyzny meldunki. Nigdy nie

padł cień podejrzenia na niego, uciekiniera ze Związku Radzieckiego, bohatera wojennego autentycznego przecież, nie udawanego - niemieckie kule naprawdę śmigały mu nad głową, nie były wcale elementem jego legendy, były rzeczywiste, tak jak rzeczywisty był „Tirpitz” na wodach Isfjorden i nawet ten strzał armatni, jeden jedyny, który Kjell Krag oddał. Że do „Tirpitz”, to dużo powiedziane, po prostu ogólnie, w stronę niemieckich okrętów, które waliły do Longyearbyen z wszystkich luf, cóż to za różnica, że strzał nie był wycelowany i pewnie pocisk znikł gdzieś w morzu, przecież i tak nie zrobiłby krzywdy potężnemu pancernikowi działem zdjętym z jakiegoś starego niszczyciela. To od początku było pomyślane jako symbol oporu i tym symbolem - widocznym i głośnym - było. I nikt inny, tylko on sam nacisnął pedał spustu armaty. A więc strzelał do „Tirpitz”.

Często zatem myślał o nagrodzie, ale to nie ta myśl go napędzała. Czasem nawet obawiał się tego trzeciego okresu w swoim życiu. Póki działał tutaj, był ciągle na etapie lat dojrzałych. Kiedy znajdzie się w końcu w Moskwie, z mieszkaniem, daczą, samochodem i dorodną moskwianką w łóżku, nieodwołalnie wkroczy w starość. Chyba nawet lubił to życie, nie żałował tych dwudziestu lat. Przeżył je intensywnie, często myślał sobie nawet, że żyjąc podwójnym życiem, żyje jakby dwa razy dłużej. Co czeka go potem? Mundur oficera KGB, mieszkanie, praca, młodzi Rosjanie, adepci sztuki wielkiego Dzierżyńskiego, samochód, dacza na wsi, jakieś polowanie i w końcu śmierć - trzeba będzie odwalić kopyta. Cóż mu po moskwiankach,

skoro za dziesięć lat pewnie już odechce mu się kobiet?

I dlatego może nie żałował tak bardzo. Najpierw usłyszał za sobą miękki odgłos łap, ciche warknięcie i zęby wczepiły mu się w kark, a ciężar i siła uderzenia obaliły go na ziemię. W pierwszej chwili myślał, że to niedźwiedź, padł, przeturlał się na plecy i zobaczył rudego psa z gubernatorskiego zaprzęgu, szczerzącego nań wielkie żółte kły. Z parowu wygrzebywał się sam sysselmann i Smith, ten przeklęty przybłęda. Kjell Kanutowicz Krag zrozumiał, że nie będzie mieszkania w Moskwie, moskwianek w mieszkaniu i dachy pod Moskwą ani moskwicza w garażu.

Ani oficerskiego munduru, ani resortowych żółtodziobów maczkami notujących w kajetach to, co on do nich mówi. Ani orderów, bankietów i gratulacji. Może i dobrze, że nie będzie, wiódł życie szpiega przez dwadzieścia lat, niechże przynajmniej umrze jak prawdziwy szpieg, a nie gnije powoli jak Burgess i reszta Cambridge Five. Aleksiejew opowiadał mu o nich. Z odrazą.

Pies wbił mu zęby w goleń, przebił materiał, skórę, zacisnął potężne szczęki i zaczął szarpać, jakby chciał go pożreć żywcem. Gubernator i Smith biegli ku niemu najszybciej, jak pozwalał trudny teren, krzyczeli, że ma się nie ruszać, i próbowali udawać, że w biegu można mierzyć z karabinu i jeszcze grozić, że się strzeli.

Pies niech gryzie, jego prawo, od tego jest psem. Krag sięgnął po karabin, przestreloną ręką przycisnął go do piersi, zdrową przeladował. Gubernator potknął się o jeden z tundrowych pagórków i wywalił się jak długi, Smith biegł, skacząc z jednego wzgórzka na



drugi, cały czas z bronią przy ramieniu, idiota.

- Niech żyje komunizm! - krzyknął Kjell Kanutowicz Krag, przekrzykując warczenie psa i głupie wrzaski Smitha. Przycisnął karabin do brzucha chorą ręką, zdrową przystawił lufę do brody, zadzierając głowę, po czym kciukiem nacisnął na spust i odstrzelił sobie łeb.

Pirat zaskowyczał przerażony, puścił łydkę i rzucił się do panicznej ucieczki. Gubernator pozbierał się w końcu z ziemi i obaj ze Smithem stanęli nad ciałem szpiega.

- Sądziłem, że nie da się strzelić sobie w łeb z karabinu, nie pomagając sobie nogą albo sznurkiem - zamyślił się sysselmann, rozważając techniczne szczegóły tego samobójstwa.

Smith, który naprawdę nazywał się Jan Kowolik, patrzył na martwe ciało i nie potrafił pozbyć się uczucia podziwu i szacunku. Ten norwesko-ruski bolszewik był jego wrogiem, komuniści winni byli śmierci jego ojca, niczego na świecie nie darzył nienawiścią głębszą niż komunizmu i komunistów - a ten tutaj na dodatek przed chwilą zastrzelił własnego brata - a jednak Jan Kowolik, syn Wojciecha (ochrzczonego jako Wilhelm) i Anny, urodzony w Katowicach pracownik firmy Mischke & Johns, Ltd., nie mógł nie podziwiać człowieka, którym przed minutą był ten leżący na tundrze trup.

I sam siebie przekonywał, że to tylko zwykły profesjonalny szacunek, nic więcej.

## ROZDZIAŁ 19

Fiodor Wasiliewicz Aleksiejew stał na brzegu, oparty plecami o zespawany z rur sierp i młot, i patrzył na oddalający się powoli, wraz z coraz cichszym terkotem motoru, biały kształt łodzi, którą odpływał z Grumantbyen człowiek przedstawiający się jako John Smith.

Otworzył paczkę sobranie, pożegnalny prezent od dziwnego inościa, wyciągnął papierosa, postukał nim o pudełko, przetoczył w palcach gładki złoty filtr. Zapalił, zaciągnął się dymem.

Kiedy Smith przyplłynął do Grumantu, zupełnie niespodziewanie, starszy lejtnant Aleksiejew mocno się przestraszył. Minęło trochę czasu, zanim się dowiedział, jak niefortunnie zakończyła się realizacja błyskotliwego planu prowokacji, w dokumentach opisywanego kryptonimem „Polarnaja zwiezda” - zbieg okoliczności nadzwyczajny, tak samo jak kolchoz rybacki, do którego kiedyś należeli bracia Kragowie. Ech, w Barentsburgu i pod pokładem „Leny” czekali już bojcy, doborowe desantniki w paskowanych tielniaszkach pod zielonymi bluzami, z automatami towarzyszy Kałasznikowa i Szpagina w mocnych garściach, gotowi na pierwszy sygnał skoczyć i zająć norweskie osady. Bez żadnej zbędnej przemocy, ale gdzie tylko jakiś opór - to zmiążdżyć.

A teraz noce były już coraz dłuższe, zaczęło się robić naprawdę ciemno i w tych ciemnościach przyszedł mróz i ściał, zbrylił tundrę i lepkie moreny lodowców, cienkim szkiełkiem pierwszego lodu przykrył kałuże między budynkami w Grumancie. Wraz z przyjściem paru kwadransów prawdziwych ciemności jakoś domyślił się, że

Smith mógł mu zostawić pluskwę, zaczął szukać - i znalazł. Szczwany lis z tego Smitha.

Cóż mógł więcej zrobić? Napisał raport i czekał, aż go odeślą na kontynent i wykopią gdzieś na zapadły błotnisty koniec świata jako starszego archiwistę albo bibliotekarza. Albo nawet przeniosą na referenta do jakiegoś klubu sportowego. Koniec kariery czekisty tak błyskotliwie rozpoczętej jeszcze za Jeżowa. Potem zwolniła mocno, jak się góra dowiedziała o kadeckiej przeszłości, tak że nigdy wyżej starszego lejtnanta nie awansował, chociaż w tym wieku powinien już być pułkownikiem, a mógłby generałem. Za samą wysługę lat na osłodę emerytury powinien dostać majora. A teraz - koniec zupełny. Miał nadzieję, że „Polarnaja Zwiezda” zapewni mu honorowy awans, jakiś order, uścisk dłoni szefa i ładną daczę na emeryturze, którą urządzi sobie w staroruskim stylu, będzie zbierał stare samowary i różne stare porcelanowe bibelociki, których nie strzaskali bolszewicy podczas rewolucji.

I co?... Koniec. Mogą wywalić z resortu, każą pracować w jakimś biurze planistycznym albo w klubie sportowym. I donosić na kolegów.

Ech, życie...

Zaciągnął się papierosem. Wypuścił błękitny dym, wiatr porwał go i rozproszył.

Ale przynajmniej pogwarzyli sobie miło, jak starzy wojacy. Smith, czy Schmidt, żadne z tych nazwisk na pewno nie było przecież prawdziwe, zapytał, po co opowiedział mu historię o Pomorcach. Bez

niej podobno nigdy nie wpadłby na pomysł, że chodzi o prowokację, i nie zdołałby mu przeszkodzić.

I wtedy Fiodor Wasiliewicz rzucił ot, tak sobie, w przestrzeń: „A może ja chciałem, żebyś mi przeszkodził, kolego? Smith ani trochę mu nie uwierzył. Pewnie myślał sobie nawet, że to jakaś finta w fencie, podwójna kombinacja. Może nawet myśli sobie ten Smith, że wszystko potoczyło się po myśli Fiodora Wasiliewicza? Wdech, dym szczypie przyjemnie płuca, wydech. Papieros skwierczy cichutko. Zakaszłał, znowu się zaciągnął.

A Smith już nie myślał o tym wcale. Siedział na ławeczce z aluminiowym rumplem pod pachą, mruzczał sobie coś pod nosem w tonacji silnika. W Port of Longyear czekała na niego koja na „Lyngenie”, parę dni wstrętnego rejsu do Tromsø, a dalej już samolotem do Oslo i do Zurychu. Myślami już opuścił zimne wybrzeża, myślami był już w spokojnym szwajcarskim mieście, mieszczańskim do znudzenia, w łóżku z Sophie. Rabbi da mu na pewno parę tygodni wolnego, weźmie kabriolet i pojedą sobie do Włoch, we Włoszech będzie pięknie o tej porze roku. Winnice, małe hoteliki, chianti w butelce oplecionej wikliną, na białych tarasach z widokiem na morze błękitu i nieba. Sophie w letniej sukience. Pojadą krętymi drogami dookoła porośniętych winnicami wzgórz, z otwartym dachem, słońce rozgrzewać będzie bordową skórę foteli giulietty. A kiedy wróci, przedstawi Sophie mamie. Może się udać, naprawdę może się udać.

Spojrzał przez ramię. Fiodor Wasiliewicz palił oparty o sierp i

młot. Uniósł rękę w pożegnalnym geście. Smith też nabrał ochoty na papierosa, jeszcze raz sprawdził, czy na pewno nie pomylił paczek. Nie, w kieszeni miał to pudełko sobranie, które powinien mieć, bez naderwanej paznokciem folii na dolnej krawędzi. To z naderwaną folią wręczył Aleksiejewowi.

Otworzył, szcęknął benzynową zapalniczką, zaciągnął się czystym tytoniem.

Przed nim całe życie. Tyle jeszcze do stracenia.

KONIEC

Pilchowice-Santa Catherina-Longyearbyen-Pilchowice, 2007 -  
2008

Większość występujących w książce postaci jest fikcyjna, podobnie jak fikcyjne są opisane w książce wydarzenia. Do postaci autentycznych, oprócz Stalina, Jeżowa, Litwinowa i Mołotowa, należy pojawiający się w tle Stanisław Siedlecki, w rzeczywistości szef pierwszej polskiej wyprawy polarnej w roku 1957. Wszyscy pojawiający się w książce polscy polarnicy są postaciami fikcyjnymi, jednakże dołożyłem wszelkich starań, aby jak najwierniej oddać scenografię i realia polarniczego życia sprzed pół wieku.

Dziękuję za pomoc, konsultacje lub krytyczną lekturę:

Larsowi Fastingowi, uczestnikowi polskiego zimowania na Svalbardzie w roku 1957;

Andrzejowi Fiderkiewiczowi;

Aleksandrowi Kopińskiemu;

Perowi Kyrre Reymertowi, doradcy ds. dziedzictwa kulturalnego z biura sysselmanna Svalbardu;

Barbarze Śmigiel;

Agacie Twardoch.

W pracach nad powieścią korzystałem z następujących książek:

K. Birkenmajer, *Pod znakiem białego niedźwiedzia*, Warszawa 1961.

N. Gniłorybow, *Szpicbergen. Strana ostrych gor*, Moskwa 1979.

- P. Kłysz, *Na spitsbergeńskim szlaku*, Poznań 1997.
- T. Makarewicz, R. Trehciński, *Halo, Spitsbergen!*, Warszawa 1960.
- E. C. Pielou, *A Naturalist's Guide to the Arctic*, Chicago 1994.
- R. Stange, *Spitsbergen - Svalbard. A complete guide around the arctic archipelago*, Hof Tatschow 2008.
- J. J. Szczepański, *Zatoka białych niedźwiedzi*, Kraków 1964.
- A. Umbreit, *Spitsbergen*, Third Edition, Guilford 2005.